



# TOYSTORIES

zbiór opowiadań

**TOYSTORIES**

**Zbiór Opowiadań**

# **SPIS TREŚCI:**

Wstęp

OSTATNIA SIPKA WĘGLA Marek Zychla

FULL PLASTIC JACKET Kacper Kotulak

OSTATNI PREZENT Juliusz Wojciechowicz

...I ZASZŁO SŁOŃCE MATTELA Adam Froń

BOGOWIE W SZACHY GRAJĄ Sylwia Błach

LALKA Michał Stonawski

ARTE FACTUM Grzegorz Gajek

MIŚ Jędrzej Feranos Bargłowski

SŁODKICH SNÓW Marcin Rojek

ŚPIJ, CHŁOPCZYKU Marta Krajewska

ZBRODNIA Sylwia Finklińska

ZABAWECZKA Jan Maszczyszyn

SKLEPIK Z ZABAWKAMI Marcin Rusnak

ZABAWKI Z GALATEI Kornel Mikołajczyk

ZABAWY W WOJNĘ Bartłomiej Żarnowski

W TYM ROKU ŚWIĄT NIE BĘDZIE Krzysztof T. Dąbrowski

Drogi Czytelniku,

przed Tobą zbiór opowiadań będący wypadkową niczym nieokiełznanej wyobraźni jego twórców; ich lęków, obsesji, emocji, a przede wszystkim wrażliwości, cechującej ludzi, którzy nie obawiają się sięgnąć do pokładów swoich jaźni, by wydobyć na powierzchnię drzemiące w niej dziecko.

Szesnastu autorów zmierzyło się z tematem, który od zawsze był mi bliski. Za pióra, klawiatury, a być może nawet kredki świecowe chwycili zarówno zaproszeni do projektu pisarze – już rozpoznawalni na literackim rynku – jak i laureaci konkursu zorganizowanego przez portal Ex Fabula.

Kilkanaście opowieści, tyle samo punktów widzenia, jeden fantastyczny tygiel.

Świat zabawek to świat jednocześnie piękny, pełen dziecięcej magii, ale też mroczny, tajemniczy, czasem wręcz groteskowy. Co knuje pluszowy miś, wciśnięty gdzieś w zakurzony, ciemny kąt? Jakie wojny toczą między sobą plastikowe żołnierzyki, kiedy smacznie śpimy? Dostajesz już gęsiej skórki?

A jeśli, wyrywając się z sennego odrętwienia, uświadomisz sobie, że jesteś jedynie pionkiem na olbrzymiej, boskiej szachownicy? Dlaczego nie wolno operować lalek ani drażnić Świętego Mikołaja, tudzież upiększać swojego ciała zaawansowanymi technologicznie gadżetami?

No właśnie. W *Toystories* znajdziesz właściwe odpowiedzi, ale również pytania, postawione wprost i bez pardonu, z dorosłą konsekwencją, lecz dziecięcą, niczym nie skrepowaną dosłownością. Tu nie ma miejsca na kompromisy i konwenanse.

Zapraszam Cię na niezapomnianą przejażdżkę karuzelą wzruszeń, rollercoasterem groteski, diabelskim młynem makabry. Wstąp do naszego świata – miejsca, gdzie zabawki żyją, czują, kochają i nienawidzą. Do świątyni szalonych bogów i fanatycznych wyznawców, wirtualnej rzeczywistości i przerażającego „tu i teraz”.

Wejrzyj w samego siebie. Od dziś nic nie będzie już czarno–białe.

*Juliusz Wojciechowicz*

# Marek Zychla

## OSTATNIA SIPKA WĘGLA

Dziś rano spadł pierwszy śnieg, który szykował się do tego przez pół nocy. Bałwany stawały na straży podwórek, obsikiwane przez bezpańskie psy. Dziadek Mróz wziął się za dekorowanie szyb. Kierowcy klęli na zaskoczonych drogowców, czekając, aż silniki rozgrzeją ich zaspane auta, a wycieraczki odkleją się od zmarzniętych szyb.

Jak w każdą sobotę na osiedlowym ryneczku zebrały się tłumy. Zbliżały się święta, portfele chudły, karpie tyły, a liczba kredytów rosła. Mijały kolejne godziny.

– Po ile ten badziew? – zapytał, wskazując na pudełko z wyjątkowo bladą lalką.

– Dziesięć złotych, panie – odpowiada stara handlarka. – U mnie wszystko za tyle.

– Wszystko? – zażartował, ale starowinka nie zrozumiała tej dwuznaczności. – A co ona taka blada? Ruska?

– Taki plastik, panie. – Kobieta machnęła ręką. – W cieple nabierze kolorów.

Na stoliku leżało jeszcze pudełko drewnianych klocków i puzzle z Myszka Miki.

– Syna nie mam, to biorę jeszcze tę układankę – powiedział i podał staruszce różowy banknot. Wyglądała na skrajnie ubogą, chorowitą. Pomyślał, że pewnie będą to jej ostatnie święta.

Schowal zabawki do jednorazówki i poczłapał w stronę domu. Pojedyncze białe płatki dołączały do rodzeństwa z pośniegowego błota. Nie znosił tej brei zmieszanej z solą ani tych smętnych twarzy przechodniów, wpatrzonych w ten sam co on, szarobrazowy syf.

Po namyśle i paru kolejnych krokach odwrócił się, by kupić i te nieszczęsne klocki, ale handlarki już przed nim nie było. Zostały tylko wąskie ślady po jej stoliku na jednej z ostatnich wysepek śniegu. Wkrótce i one powoli stopniały.

Mróz wrócił dopiero wieczorem.

– Popatrz, Moniczko, jaki prezencik ci tatuś przyniósł! – zawołała mama, otwierając drzwi do salonu. – Sto lat! Sto lat! Niech żyje, żyje nam! – zaśpiewała, klaszcząc przy tym rytmicznie.

Za nią wszedł tata z szerokim uśmiechem na nieogolonej twarzy.

– Proszę – powiedział, podając dziewczynce płaskie pudełko. – Najlepszego!

– Puzzle! – krzyknęło dziecko i zabrało się za ich układanie. – Z Myszka Miki, chmurkami i Plutkiem!

Na obrazku rzeczywiście stał Myszowaty, pies Pluto i jakaś balia pełna wody, z której mlecznobiałymi zębami wyciągali jabłka. Całość poszatkowana na dwadzieścia cztery pękate kawałki, chaotycznie rozrzucone po dywanie.

– Poradzi sobie? – mężczyzna szepnął do żony. – Mogłem jej kupić lepiej klocki...

– Możesz z nią poukladać. Czas z córą spędzić.

– Cztery lata już ma – wybrnął. – Da radę!

Usiedli na łuszczącej się ze starości kanapie i włączyli trzydziestodwucalowe okno na świat. Wciągnęli się w bloczek reklamowy. Płyn do mycia naczyń robił z

przypalonym tłuszczem rzeczy, o których im się nawet nie śniło.

– Zajebioza! – jęknął mężczyzna. – Trzeba go koniecznie kupić!

– Przy dziecku byś się przynajmniej hamował. Nie jesteś w robocie!

Nie było takiej potrzeby. Monię pochłonęła kolorowa układanka. Najbardziej spodobało jej się to, że po złożeniu którejkolwiek z postaci ta zaczynała się poruszać i uśmiechać.

– Widziałeś, jak się ta tłusta plama oderwała?! – wykrzyknęła kobieta, wpatrzona w monitor.

– Eee, to pewnie komputerowo zrobili.

– Gówno się na praniu znasz! – Obraziła się na męża, zła również na siebie, że tak łatwo dała się podejść. – W życiu nic nie wyprałeś, za to do wymądrzania się jesteś pierwszy.

Wrzucasz do pralki i wciskasz przycisk, pomyślał, ale zabrakło mu odwagi, by powiedzieć to na głos.

– Ułożyłam! – przerwała im Monia.

Na obrazku zabawa szła na całego. Coraz mniej jabłek pozostawało w bali, coraz więcej wody lądowało na psie i jego opiekunie. Dało się nawet słyszeć charakterystyczny chichot Myszowatego, szum wiatru i plask spadających z psiego futra kropel. Pachniało przedwośniem, cukrową watą i... mokrą sierścią.

– Co jest? – Ojciec podniósł się z kanapy, wpatrzony w ożywiony obrazek. – Jak w tym Harrym Potterze!

– Gdzie to gówno kupiłeś?! – spanikowała pani domu. – Tylko mi nie mów, że w Biedronce.

– Na ryneczku, u takiej staruszki...

– Cześć, dzieciaki! – zawołał Miki. – Pomożecie nam wyłowić te cudowne jabłuszka?

– Aaa! – krzyknęła kobieta. – Krzysztofie, zrób coś z tym!

Krzysztof chwycił kapeć i rzucił nim w stronę upiornej układanki. Nie trafił. Za to oberwało się trochę córeczce.

– Ałć! – jęknęła obrażona.

– Odsuń się! – rozkazał jej ojciec. – Idź beczeć do mamy.

Pluto warknął ostrzegawczo. Szczeknąć się nie odważył.

– To moja zabawka! – Broniła prezentu mała. – Nie rób im krzywdy.

– Chodź do mnie, córeczko. – Zachęcała mama. – Tatuś się tym ruskim paskudztwem zajmie.

Mężczyzna sięgnął po to, co było pod ręką – po ciężką, szklaną butelkę z syropem owocowym, która z trudem i niepokojącym trzaskiem odkleiła się od ławy.

– Pogięło cię?! – wrzasnęła małżonka. – Dywan mi tym poplamisz!

Rzuciła mu swojego laczka, masywnego, z wysokim podbiciem.

– Tym dowal szkodnikom!

Dziewczynka nie podzielała morderczych zapędów rodziców. Wyrwała się matce i położyła dłoń na przerażonym Mikim.

– Nie zrobicie mu krzywdy? – Zapłakała. – To tylko malutka myszka.

Dwuwymiarowe postacie zaczęły coraz bardziej panikować. Bezskutecznie próbowały uciec z ciasnego obrazka. Wreszcie schowały się za niewielką balią. Duże stopy Mikiego wystawały poza wilgotne deski.

– Do mamy! – ponownie rozkazał Krzysztof, tonem zwiastującym nadciągającego klapsa lub serię klapsów, z ewentualnością dożywotniego zakazu spożywania słodczy. Maleńka od razu posłuchała.

Tata nachylił się nad obrazkiem, trzymając kapeć w pogotowiu.

– Wyłazić! – ryknął na parę disneyowskich zwierzątek. – I trzymać mi te blade łapska w górze!

– Ty nazisto! – pisnął Myszowaty zza balii. – Nie chcemy cię w naszym klubie!

Tego już było Krzysztofowi za wiele. Nie dość, że zapłacił za nich okrągłą dychę, to jeszcze teraz musiał się inwektyw nasłuchać.

Złapał za element układanki z wyrysowanym białym butem i szarpnął. Mysz zaczął donośnie krzyczeć, a krew chlusnęła z uszkodzonego obrazka.

– Mój dywan! – jęknęła matka, patrząc, jak spadają na niego gęste krople.

Dziewczynka rzuciła się na ratunek bohaterowi ukochanych kreskówek, który mdlał, oparty o balię. Wokół Mikiego rozrastała się czerwona kałuża, język maczał w niej ogłupiały pies.

– Pluto! – skarciła go Monia. – Nie wolno! Zły Plutek!

Kobieta nie wytrzymała. W chwili zagrożenia domostwa nieporządkiem postanowiła działać. Wybiegła do kuchni, by wrócić po chwili z szufelką i papierowymi ręcznikami. W parę sekund szkarłatniejąca zabawka wylądowała w kominku, a krew wsiąkała w czterowarstwową biel.

Po wszystkim każde z nich poczuło w sercu pewną pustkę. Nie potrafili sobie przypomnieć, co się tak naprawdę stało.

– To była jakaś mysz... – szepnął Krzysztof, wpatrzony w wysokie płomienie. – Taka mocno uszata i... pyskata?

– Raczej brzydko wyrysowany kundel... – Zamyśliła się matka.

I tylko dziewczynka wciąż pamiętała o Mikim, choć i ona powoli zapominała. Chwyciła pilota od telewizora i wcisnęła dwie dziewiątki, szukając kanału, na którym puszczano disneyowskie bajki. Zdziwiła się. Przywitały ją zwariowane melodie z Królika Bugsa.

– Co to? – spytała z odrazą. – To takie głupie...

– Jak to, Moniczko? – zaśmiał się tata. – To przecież twój ukochany Uszowaty! Co jest, doktorku? – zażartował skrzekliwym głosem, łaskocząc przy tym ukochaną córeczkę.

Monisia się nie zaśmiała. Rozejrzała się po salonie, zatrzymując wzrok na całej masie nowych, długouchych zabawek. Bródka jej drgnęła, a po policzkach, wprost na mamusi dywan, sturlały się łzy. Dziewczynka nie mogła przypomnieć sobie, za czym tęskni. Doskwierała jej jednak pustka.

– Masz dla niej coś jeszcze? – spytała Krzysztofa żona. – Głupio, żeby w urodziny nie dostała prezentu.

– Nie zostawiamy na Gwiazdkę? – spytał szeptem.

Odpowiedź odnalazł w kobiecym spojrzeniu.

– Dobra, dobra – mruknął i wyszedł na korytarz.

Po chwili wrócił, trzymając w rękach zgrabną podróbkę lalki Barbie, która faktycznie nabrała ludzkich barw. Przyglądał się zabawce uważnie, ale nie zauważył nic niepokojącego.

Nieźla, pomyślał, czym zaskoczył samego siebie.

Maleńka aż podskoczyła z najszczerzej, dziecięcej radości. Wzięła się za rozpakowywanie prezentu. Jak drapieżnik przedzierała się przez kolejne tekturowo–plastikowe warstwy.

Oswobodzona lalka poruszyła się nagle i zaczerpnęła powietrza do silikonowych płuc.

– Dłużej się trzeba było z tym pieprzyć, gówniaro! – fuknęła na Monię. – Zdechnąć mogłam w tym zasranym pudle!

Maleńka upuściła zabawkę i zaniósła się płaczem.

– Downa masz?! – warknęła blond piękność.

– Krzysztofie! – krzyknęła kobieta, wskazując na obrażoną Barbie. – Do kominka z tą suką!

Krzysztof westchnął i jak najdelikatniej chwycił niebieskooką ślicznotkę.

– Cześć, przystojniaczku – zagadnęła, przygryzając długie paznokcie. – Nie chciałbyś się ze mną trochę zabawić?

Mężczyzna z wrażenia aż zachłysnął się śliną. Nikt nigdy nie nazwał go przystojniakiem. Nawet matka nie wykazała się takim poczuciem humoru.

– Będę twoją laleczką – ciągnęła zabawka. – Mów mi Basiu, Basieńko, suczko. Zrobię ci tak dobrze, że będziesz...

W tym momencie wylądowała w zdecydowanie cieplejszym miejscu, a Krzysztofowi zrobiło się od razu jakoś tak smutno. Skwierczała w niebieskim ogniu.

– A ty co tutaj jeszcze robisz?! – warknęła na niego żona. – Do kuchni! Do garów! Do roboty, ciniasio!

Mężczyzna spojrzawszy na nią i przestraszył się jak jeszcze nigdy dotąd. Jego druga połowa wyglądała jak klasyczny John Rambo, tylko z większą ilością żył nabrzmiiałych na atletycznych rękach! Zero kobiecości, grube włókna mięśni i szeroka szczęka – zgodnie z najnowszym kanonem kobiecego piękna.

Zamiast dywanu po podłodze wałały się hantle i sztangi. Atlas do ćwiczeń stał tam, gdzie wcześniej kanapa. Monisia robiła sobie jakiś zastrzyk w udo, a w telewizji leciała bajka o paroletnich kulturystkach, które nienawidzą mężczyzn.

– Spieprzaj, tata! – warknęła mała, grożąc mu dziesięciokilowym ciężarkiem.

Co się... chciał pomyśleć, ale już nic nie pamiętał. Przeprosił i pobiegł do kuchni, gdzie wziął się za lepienie pierogów.

\* \* \*

Węgiel zsunął się z szufelki wprost do gorącego serca kaflowego pieca.

Ostatnia sipka, pomyślała zadumana staruszka.

Podniosła się z trudem i poczłapała do jasnej kuchni, gdzie usiadła na obdrapanym taborecie. Na stole leżało pudełko drewnianych klocków.



Kobieta otworzyła je z zaskakującą wprawą. Kolorowe sześciiany rozsypały się po blacie. Handlarka chwyciła za dwa czerwone klocki i ustawiła je obok siebie.

Buciki, zaśmiała się do siebie w myślach.

Następne w kolejce były tęczowe spodnie, ciemna bluza, grube ramiona i kwadratowa głowa. Drewniany ludzik leżał grzecznie na stole. Po chwili otworzył malutkie oczy, rozchylił wąskie usta, uśmiechnął się. Staruszka nie.

– Człowiek – nazwała go i spojrzała w stronę izby i kaflowego pieca. – A babci zabrakło węgla...

Na miasto spadł drugi śnieg.

### **Od autora:**

Barbie i Myszowaty są nie tylko zabawkami czy bohaterami dziecięcych animacji, ale też ikonami popkultury i jako takie mają na nasze życie większy wpływ, niż to się z pozoru wydaje.

Najbardziej oczywistym i najczęściej poruszonym wątkiem w rozważaniach na temat Barbie jest jej wygląd lub – precyzyjniej – idealna i w praktyce niemożliwa do osiągnięcia kobiecość.

Kiedyś przeczytałem, że gdyby tchnąć w nią życie, nie dałaby rady postawić choćby jednego kroku. Przy zachowaniu proporcji, zwiększona do metra siedemdziesięciu pięć wzrostu, ważyłaby zaledwie dwadzieścia parę kilo. Połowę długości jej ciała stanowiłyby nogi, a najcięższy ze wszystkiego byłby biust.

Może i dobrze, że nie wymyślono muskularnych lalek. Dla mnie dobrze, bo niespecjalnie radzę sobie w kuchni...

# Kacper Kotulak

## FULL PLASTIC JACKET

– Jimmy, Frankie! – stanowczy krzyk oderwał chłopców od telewizora, co samo w sobie było niemałym wyczynem. Stawili się posłusznie w przedpokoju, gdzie ojciec podskakiwał śmiesznie na jednej nodze.

– Chłopcy, ile razy wam powtarzałem, żebyście nie rozrzucali klocków po całym domu?!

– Ale my nie... – zaczął Frankie.

– Tak, wiem, że wy nie. Wy nigdy nie. A klocki to pewnie same rozlażą się po korytarzu?

Życie nie jest łatwe, kiedy jest się wykonanym z plastiku i to w skali 1:72. Pułkownik Courage wiedział o tym aż za dobrze, jednak takie głupoty nie mogły go złamać – był żołnierzem z najtwardszego plastiku. To znaczy, tak naprawdę był zrobiony z całkiem zwyczajnego polistyrenu, ale za to miał ducha godnego wojaka z najczystszej ołowiu. Wojna, którą armia ze strychu od lat prowadziła z klockami *LEGO* z pokoju Jimmy’ego i Frankiego, była wodą na młyn pułkownika Courage’a.

Stał właśnie na swoim stanowisku dowodzenia, zlokalizowanym na starym pudle po telewizorze i obserwował strych. Nie miał właściwie większego wyboru z powodu lornetki przytwierdzonej na stałe do twarzy. Poza tym musiał być czujny, bo w każdej chwili mógł się spodziewać podstępного ataku ze strony generała Strooma, czy raczej tego zdradzieckiego, francuskiego skurwiela – jak zwykł tytułować nienawidzonego wroga. Stroom pochodził z innego zestawu, miał szablę, twarz wolną od lornetki i mundur szeregowca piechoty liniowej z armii Napoleona. Courage przeklinał dzień, kiedy Johnny, głupi dzieciak sąsiadów, awansował Strooma na generała armii Stanów Zjednoczonych. Szczerze nienawidził dwóch typów ludzi: zdrajców i Francuzów, a Stroom w jego oczach podpadał pod jedno i drugie. Courage wysyłał nawet w tej sprawie regularne donosy do dowództwa, nic jednak nie udało mu się osiągnąć, ponieważ całe towarzystwo zostało kilka lat temu zeżarte przez psa sąsiadów. W sztabie pozostał tylko sierżant Gloome, który i tak był przez cały czas zbyt zajęty swoją plastikową bazooką, by czytać donosy oburzonego oficera.

– Panie pułkowniku – wysapał porucznik Kraust, który właśnie pojawił się na pudle po telewizorze.

– Co tam, Kraust? – Pułkownik odwrócił się twarzą do swojego adiutanta, ciężkiego kretyna uzbrojonego w plastikowy pistolet maszynowy. Porucznik pełnił zaszczytną funkcję osobistego pomagiera dowódcy tylko dzięki faktowi, że miał jedną rękę wolną i mógł w chwilach triumfu wkładać generałowi cygaro w usta. Pułkownik nieustannie żałował tego wyboru. Z wielką chęcią wyrzuciłby porucznika na zbity pysk, ale robiąc to, przyznałby się do błędu. Błędy nie były czymś, do czego Courage był gotów się przyznać. Pocieszała go tylko myśl, że na wojnie praktycznie każdy może zginąć w dowolnej chwili. Niestety żołnierze nieustannie ginęli, rozdeptywani przez *RODZICÓW* albo wciągani przez odkurzacza, a Kraust uparcie

drażnił pułkownika swoją głupotą i bezczelnym utrzymywaniem się przy życiu.

– Panie pułkowniku, ma pan coś na twarzy.

– Kraust...

– Nie, nie krostę.

– Kraust... – westchnął Courage, nie odrywając plastikowej lornetki od plastikowej twarzy. – Jesteście największym kretyńcem na całym Strychu.

– Tak jest, panie pułkowniku. Przepraszam, panie pułkowniku. Ale to naprawdę nie wygląda dobrze.

– Kraust, to jest lornetka, do cholery. Mam ją przy twarzy, odkąd mnie wyprodukowali.

– Naprawdę? Nigdy nie zauważyłem.

– Uwierzcie mi na słowo, dobrze? – mruknął pułkownik, który już wyżej plastikowych uszu miał dyskusji o tej przeklętej lornetce. – Chcieliście mi chyba o czymś zameldować?

– A, tak, tak, przepraszam, panie pułkowniku, oczywiście... Ale nie jest panu czasem niewygodnie z tą...?

– Kraust!

– Przepraszam, panie pułkowniku. Jeśli chodzi o akcję dywersyjną pod kryptonimem „podkładanie klocka”, to wszystko przebiegło dokładnie tak, jak pan pułkownik przewidział.

Courage uśmiechnął się... To znaczy uśmiechnąłby się, gdyby nie to, że jego plastikowa twarz potrafiła wyrażać tylko te emocje, które były bezpośrednio związane z przyczepioną do niej lornetką. Czyli żadne.

– Kto? – zapytał podekscytowany.

– Obiekt *TATA*. Wychodząc spod prysznic, nadepnął bosą stopą na ośmiowypustkową cegielkę przeciwpiechotną.

– Ośmiowypustkową – pułkownik mruknął z zadowoleniem. – Taak... po takim czymś na pewno zabiorą dzieciakom te przeklęte, duńskie klocki. Przynajmniej na tydzień. Wspaniały sukces. Niech tylko ten skurwiel Stroom się o tym dowie! – Courage zachichotał pod lornetką. – Szlag go trafi! Kraust, włóżcie mi cygaro do ust.

– Panie pułkowniku – zameldował sierżant Pepper z grupy wywiadowczej, który nie wiadomo kiedy i skąd pojawił się w punkcie dowodzenia. Zawsze pojawiał się nie wiadomo kiedy i skąd, co czyniło go idealnym żołnierzem grupy wywiadowczej i przy okazji bardzo denerwującym typem.

– Co tam, Pepper? Meldujcie – rzucił Courage, gryząc z zadowoleniem cygaro zrobione ze skrawka papieru pakowego. Nigdy nie palił swoich cygar, ponieważ jedyna na całym strychu zapalniczka była pusta jak głowa porucznika Krausta. Pułkownikowi wystarczał sam fakt zucia z zadowoleniem cygara. Uważał, że to mu przydaje dostojności.

– Udało się, panie pułkowniku – oznajmił uradowany sierżant Pepper. – Jimmy i Frankie dostali szlaban na całe dwa miesiące. Przeklęte *LEGO* zostaną zamknięte w szafie. Nareszcie dostaną za swoje! – Sierżant Pepper był dobrotliwym i całkowicie nieszkodliwym głupkiem, który pałał czystą nienawiścią do klocków *LEGO*. Wydział

propagandy wojennej mógł być z siebie dumny. Sierżant ślepo wierzył we wszystkie brednie, jakie tylko wymyślili. Nawet w te o opanowywaniu dziecięcych umysłów przez Czarnoksiężnika *LEGO*.

– Wiedziałem, że obiekt *TATA* nieźle się wkurzy, ale żeby aż tak... – Pułkownik Courage był pod wielkim wrażeniem swojego geniuszu.

– Przepraszam, panie pułkowniku – wtrącił sierżant Pepper – ale to nie obiekt *TATA* zarządził szlaban.

– Jak to? To *MAMA* też nadepnęła na klocek?

– Nie. *MAMA* znalazła w kołysce obiektu *EMILY* klocki, które podrzucił oddział desantowy generała Strooma. Zdenerwowała się, że *EMILY* mogłaby połknąć klocki i zrobić sobie krzywdę. Generał ułożył wspaniały plan. To naprawdę piękne zwycięstwo nad tymi parszywymi klockami.

– Stroom! – krzyknął pułkownik Courage, aż cygaro wypadło mu z ust. – Ty zdradziecki, francuski skurwielu! – Był naprawdę wściekły. Wściekły na Strooma, że wpadł na ten pomysł, na siebie, że na niego nie wpadł, na lornetkę, że nie mógł oderwać jej od twarzy, na dowództwo, że zamiast postawić Strooma przed sądem wojennym, dało się zeżreć psu sąsiadów, na porucznika Krausta, że był kretynem, na sierżanta Peppera, że był dobrotliwym i całkowicie nieszkodliwym głupkiem i w ogóle na wszystko i za wszystko. Tak naprawdę guzik go obchodziły klocki *LEGO* z pokoju chłopców. Bujdy o potrzebie stawienia czoła duńskiemu oprawcy, które z uporem maniaka wymyślał wydział propagandy, spływały po nim jak woda po kaczce. W istocie interesowała go tylko wojna, będąca świetnym pretekstem do odnoszenia kolejnych zwycięstw nad znienawidzonym generałem i podejmowanie niezliczonych prób postawienia go przed sądem wojennym. Tym razem jednak Stroom przeciągnął strunę. Nie dość, że był zdradzieckim, francuskim skurwielem, to jeszcze ułożył lepszy plan.

Pułkownik Courage stał przy kłapie wejściowej i nie mógł nadziwić się swojemu geniuszowi. Przed nim, na krawędzi otworu prowadzącego do przedpokoju, stał Ed – nadgryziony przez mole, stary koń na biegunach. Courage postanowił przeprowadzić podstępny atak, stosując najstarszą sztuczkę wojskową w historii sztuczek wojskowych i zadać klockom *LEGO* – oraz generałowi Stroomowi – cios, po którym długo się nie podniosą. Żołnierze z obsługi technicznej właśnie kończyli wyciągać z Eda pakuły, robiąc miejsce dla oddziału desantowego.

– Chłopcy – przemówił pułkownik do swojego doborowego oddziału, ustawionego w idealnym szeregu – w końcu nadszedł dzień, na który wszyscy czekaliśmy.

– Panie pułkowniku – szepnął porucznik Kraust, bardzo czymś zdenerwowany. – Przepraszam, ale ma pan coś na twarzy. To naprawdę...

– Kraust, stulcie ten swój głupi, plastikowy pysk – syknął Courage. – Na czym to ja...? A, tak. Dzień, w którym w końcu położymy kres zuchwałym poczynaniom parszywych klocków *LEGO* i pokażemy Stroomowi, kto tu jest zdradzieckim, francuskim skurwielem. Właśnie wybiła godzina „Z”...

– Panie pułkowniku – szepnął znowu porucznik Kraust – melduję, że jest piętnaście minut po północy.

– Co?

– Mówię, że jest piętnaście po północy, a nie żadne „Z”...

Pułkownik postanowił zignorować porucznika Krausta i jego niewyobrażalną głupotę.

– ...godzina „Z” jak „Zwycięstwo”! Na koń, chłopcy! Pokażemy tym Francuzom, gdzie skurwiele zimują!

– Chwila, chwila, chłopaki! – krzyknął Ed, gdy już cały oddział wraz z pułkownikiem Courage'em usadowił się w jego wnętrzu. – A jak właściwie zamierzacie przetransportować nas na dół?

– Do ataku! – wrzasnął pułkownik.

Stara kula do kręgli, pchnięta przez grupę obsługi technicznej, potoczyła się i uderzyła w bieguny Eda.

Nieludzki rumor zerwał na nogi cały dom. Dzieła dopełniła Emily, wydzierając się wniebogłosy.

– Andrew – szepnęła przestraszona mama – idź to sprawdzić, może to włamywacz.

Tata westchnął ciężko, wstał, zarzucił na siebie szlafrok i wyszedł z sypialni.

– Susan! – zawołał po chwili. – Chodź, musisz to zobaczyć.

Kłapa na strych była otwarta. Na podłodze leżał stary, nadzarty przez mole koń na bieżniach, a wokół niego walały się porzrzucone pakuły i stare plastikowe żołnierzyki chłopców.

– A dzisiaj rano wysprzątałam cały przedpokój na błysk. – Mama załamała rękę. – Idę do Emily – rzuciła do męża – a ty ogarnij ten bajzel. I wywal tego starego konia na śmietnik. Zobacz, mole go tak pożarły, że aż się z niego sypie.

Tata westchnął, chwycił Eda i poszedł do kuchni po zmiotkę.

– Panie pułkowniku, panie pułkowniku!

Courage otworzył oczy. Leżał na czymś, co przypominało obierki ziemniaków. Pochylała się nad nim kretyńska plastikowa twarz porucznika Krausta. Coś w jego genialnym planie musiało pójść nie tak. Misja najwyraźniej nie do końca się udała, a na dodatek skretyniałemu adiutantowi nie stało się nic złego.

– Kraust...? Aj, moja głowa... Co się stało?

– Ma pan coś na twarzy, panie pułkowniku. Nie wygląda to dobrze...

– Kraust... – Pułkownika zdecydowanie za mocno bolała głowa, żeby był w stanie znieść bezlitosną tępotę adiutanta. – Co wam mówiłem o waszym głupim, plastikowym pysku?

Porucznik Kraust zamyślił się.

– Żebym go stulił, panie pułkowniku?

– Brawo, Kraust. Może byście się zastosowali? Dobra. Więc jak wygląda sytuacja?

– Mmm mmmm – wymamrotał porucznik.

– Co?

– Mówiłem, że nie mogę powiedzieć, bo pan pułkownik kazał mi stulić pysk.

– Kraust... – westchnął ciężko pułkownik. – Mówiłem wam już, że jesteście największym idiotą na całym Strychu?

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł porucznik Kraust, bardzo z siebie zadowolony.

– Więc mówcie. Ale ani słóweczka o mojej twarzy.

– No więc... Plan pana pułkownika tak jakby nie do końca się udał.

– Jak to? Przecież to sprawdzona sztuczka. Nie byli zaskoczeni?

– *RODZICE* na pewno. Tak wyróżniliśmy o podłogę, że wszystkich pobudziliśmy. *TATA* zabrał Eda i prawdopodobnie wyrzucił go na śmietnik. Potem zmiotł nas i wyniósł tutaj, do kuchni. Znajdujemy się obecnie w koszu na śmieci. Los co najmniej połowy oddziału jest nieznany.

– Panie pułkowniku – wtrącił się sierżant Pepper, który zwyczajowo pojawił się nie wiadomo kiedy i skąd. – Melduję, iż ustaliliśmy, że kosz, w którym się znajdujemy, jest pełny.

– I co z tego? – warknął pułkownik, nie mogąc przeboleć klęski swego geniuszu.

– To oznacza, że powinniśmy jak najszybciej uciekać, bo rano *TATA* wyniesie nas do śmietnika przed domem.

– Dobrze, Pepper. Idźcie więc zebrać żołnierzy – mruknął pułkownik. Nagle w jego głowie zaświtał kolejny genialny pomysł. – I weźcie ze sobą porucznika Krausta.

Courage, korzystając z chwili nieobecności adiutanta i jego głupoty, starannie lustrował rozległe, oświetlone bladym blaskiem księżyca równiny kuchennego linoleum. Lornetka w końcu przydała się do czegoś poza wypatrywaniem zdradzieckich ataków generała Strooma.

Czekało ich nie lada wyzwanie. Musieli przebyć całą kuchnię, dostać się po schodach na piętro, a potem jeszcze znaleźć sposób, żeby wdrapać się na strych. I to wszystko, zanim obudzą się domownicy...

Cztery godziny później oddział pułkownika Courage'a był w połowie kuchni. Brakowało tylko sierżanta Peppera, który zniknął nie wiadomo kiedy i gdzie. Niestety nie brakowało porucznika Krausta, który – ku rozpaczy przełożonego – wcale nie zleciał z kosza na śmieci i nie rozbił się o podłogę. Nagle z oddali dobiegł dziwny szum, a po chwili w drzwiach kuchni pojawiło się coś o bardzo charakterystycznym kształcie. Pułkownik dobrze znał ten kształt. Był to stary, do tej pory zepsuty, zdalnie sterowany samochód, jedna z najstarszych zabawek na strychu. Samochód zatrzymał się o cal przed porucznikiem Kraustem, którego Courage jak zwykle wysłał przodem w roli mięsa armatniego. Z dziury w plastikowej karoserii wyskoczył generał Stroom.

– Witam, pułkowniku Courage! – zawołał wesoło. – Przybywam z misją ratunkową.

– Przecież on był zepsuty. – Pułkownik Courage nie wiedział, czy bardziej powinien być oburzony bezczelną zuchwałością Strooma, czy faktem, że udało mu się uruchomić samochód. To wszystko zakrawało na zdradę, a przynajmniej na bycie Francuzem.

– Wcale nie. Okazało się, że po prostu nie miał baterii. – Stroom uśmiechnął się niewinnie, jednak Courage wiedział, że pod tym uśmiechem kryje się zdradziecki,

francuski skurwiel. – Pozwoliłem sobie pożyczyć baterię z latarki pana pułkownika.

Courage nic nie powiedział. Pozieleniałby ze wściekłości, gdyby nie to, że z natury był cały zielony. Stroom tym razem naprawdę przegiął.

– Niech się pan nie denerwuje, pułkowniku. W końcu chodziło o to, żeby ratować pana i pańskich ludzi. Chodźmy, sam się pan przekona, jak to cacko śmiga.

– Spieprzaj, Stroom, nigdzie z tobą nie idę.

– Niech pan się ze mną nie droczy, pułkowniku Courage. – Pułkownik roześmiał się. – Pańscy ludzie już zajęli miejsca.

– Co? Gdzie? Kraust, gdzie jesteś, do cholery?

– Tutaj jestem, panie pułkowniku. – Porucznik Kraust pomachał do dowódcy z samochodu Strooma.

– Kraust! Wracaj tu, ty cholerny, sprzedajny bydlaku!

– Panie pułkowniku, niech pan wsiada – krzyknął adiutant. – Zająłem panu miejsce przy oknie.

– Gratuluję, Stroom. Udało ci się przekabacić moich chłopców, ale nie myśl sobie, że ze mną pójdzie ci tak łatwo.

Stroom westchnął ciężko i dał znak swoim podwładnym. Dwie pary plastikowych rąk chwyciły pułkownika Courage'a i umieściły w samochodzie.

– Andrew, trochę się martwię – powiedziała mama.

– Tak? Czym? – zapytał tata, nie odrywając wzroku od gazety.

– Nie wiem, czy to był dobry pomysł, żeby kupować chłopcom PlayStation. Te gry są bardzo brutalne.

– Przesadzasz, Susan. Kiedyś wszyscy twierdzili, że kreskówki źle działają na dzieciaki, a przecież wyrosliśmy na całkiem normalnych ludzi.

– Może masz rację... – Mama zapatrzyła się w okno. – Słuchaj, Andrew...

– Hmm? – mruknął tata.

– A może byś wyniósł na strych klocki *LEGO*? Tylko zawalają szafę, a chłopcy się nimi i tak nie bawią.

– Dobrze, wyniosę je zaraz po śniadaniu – powiedział tata, pociągając łyk kawy.

– O, cholera – szepnął ukryty za futryną sierżant Pepper.

Pułkownik Courage stał na swoim pudle po telewizorze i lustrował okolicę.

– Panie pułkowniku! Panie pułkowniku! – rozległ się głos porucznika Pimpusia. Porucznik Pimpus był smokiem *LEGO* i pełnił funkcję adiutanta pułkownika od czasu zawarcia sojuszu między plastikowymi żołnierzami i klockami *LEGO*. Courage nie posiadał się z radości, gdy okazało się, że dobre stosunki z nowym sprzymierzeńcem wymagają od niego, by wyrzucił na zbity pysk porucznika Krausta i przyjął jednego z „Duńczyków”. Porucznik Pimpus, choć może nieco zbyt duży i zbyt... smoczy na adiutanta, nie był przynajmniej beznadziejnym kretynem. Courage podejrzewał go za to o fałszowanie meldunków oraz skłonności pacyfistyczne, co w jego osobistym słowniku oznaczało coś pomiędzy Francuzem, zdrajcą i generałem Stroomem.

– Panie pułkowniku! Melduję, że chłopcy dostali nową grę na PlayStation. Nasz wywiad twierdzi, że jest jeszcze gorsza od poprzedniej.

– Tak, tak. Dziękuję. Dobrze się spisaliście – mruknął na odczepnego Courage, z rozkoszą lekceważąc każde słowo adiutanta. Miał w tej chwili ważniejsze rzeczy na głowie od wysłuchiwania zafałszowanych meldunków porucznika Pimpusia – musiał wypatrywać zdradzieckich ataków generała Strooma.



# Juliusz Wojciechowicz

## OSTATNI PREZENT

Słyszając delikatne pukanie do drzwi gabinetu, Ryszard natychmiast odkłada na bok egzemplarz czasopisma Forbes i wstaje z wygodnej kanapy. Kiedy Piotruś wchodzi do środka, jego ojciec siedzi już przy swoim biurku obok okna, opierając głowę o dłoń i gryzmołając coś w notatniku, tak jakby zajmował się tym od wielu godzin. Nie przestaje pisać, kiedy syn podchodzi do biurka. Chłopiec stąpa cicho po marmurowej posadzce, wiedząc, że tato jest zajęty i nie lubi, kiedy przerywa mu się bieg myśli. Chudy, grzeczny, dość wysoki jak na dziesięciolatka, o przypominających szczotkę, krótko przyciętych włosach, lekko odstających uszach i błękitnych oczach, kryjących się za okularami o czarnych oprawkach. Na jego białej koszulce widnieją ślady niedawno spałaszowanej czekolady.

– Tak, synu, o co chodzi? – pyta z wystudiowaną powagą Ryszard, obracając się do niego w swoim obitym czarną, błyszczącą skórą fotelu.

– Tato, zabierzesz mnie dzisiaj na ryby? – ton głosu chłopaka sprawia, że pytanie brzmi retorycznie. Doskonale zna odpowiedź i – choć nienawidzi się za to – cię nadziei zawsze drzemie gdzieś na dnie jego dziecięcej duszy.

– Mam dziś ważne zebranie. – Ta sama co zawsze wymówka spokojnie mogłaby być nagrana i odtwarzana za każdym razem, gdy zabiega u ojca o choćby chwilę czasu.

– Rozumiem – duka uprzejmie chłopiec, a głęboko w sercu cierń frustracji i żalu rozszarpuje go na strzępy. – To ja już pójdę...

– Zaczekaj, mam coś na pocieszenie... Taki skromny prezent.

Zawsze tak jest. Na matkę też nie może liczyć – wiecznie zabieganą, spóźnioną, nieobecną wieczornym drinkiem, zamyśloną, obcą. Prześcigają się w obsypywaniu go prezentami, tym cenniejszymi, im głębsze dręczy ich poczucie winy. Nawet wujek Robert – przyjaciel rodziny i stały bywalec w tym ogromnym, wyzutym z uczuć domu – nie ma nigdy dla swojego chrześniaka choćby pięciu minut. Za to dla mamy owszem. Chłopiec do dziś pamięta olbrzymi zestaw klocków Lego, który otrzymał od wuja dzień po tym, jak zobaczył go półnagię, wymykającego się z sypialni rodziców. Ojciec pijany w sztok spał już wtedy na kanapie w salonie. Bredził przez sen, upojony tequilą, hojnie polewaną ręką małżonki, rzucającej nerwowe, tajemnicze spojrzenia w kierunku wujka Roba. Myśleli, że on – wtedy siedmioletni smyk – nie wiedział, co jest grane. Wiedział – bardzo dobrze wiedział. Nietrudno było wychwycić tę specyficzną nutę w głosie wujka, gdy ten wymawiał imię matki chłopca. „Ewa to, Ewuś tamto”, brzmiało zawsze nieznośnie słodko i fałszywie.

Teraz znowu to samo – kolejny prezent. Na pewno będzie drogi, widowiskowy i ogólnie „superfajowy”, jak mawia ojciec, wręczając mu kolejne zabawki, których on sam w dzieciństwie nie posiadał. Podobno jego rodzina była tak biedna, że klocki wyciosane ze znalezionych desek zastępowały mu te prawdziwe „sklepowe”, a figurki rycerzy Jedi sam sobie tworzył z nazbieranych kasztanów i zużytych zapalek, nadrabiając wyobraźnią braki w podobieństwie do tych gumowych, sprzedawanych

na targu. Gdyby tylko wiedział, że jego własny syn, opływający we wszystko, o czym dziecko może marzyć, ulepił sobie rodzinę z plasteliny – tatę, mamę, wujka Roba, a nawet samego siebie – i bawi się nimi do upadłego, wyobrażając sobie, że naprawdę jeżdżą razem sterowanymi autami, obsługują dźwig budowlany, pływają kolorowym jachtem po wzburzonych falach domowego jacuzzi.

Co będzie tym razem? Jak bardzo ojciec czuje się winny? Na pewno mniej niż przyłapany kiedyś z panią Krysią – sekretarką firmową, która strasznie intensywnie szukała czegoś pod tatusinym biurkiem i wychyliła czerwoną, spoconą twarz akurat wtedy, gdy on, zaaferowany zabawą, wpadł znieczeka do gabinetu, zapomniawszy o zasadzie wcześniejszego pukania. Ojciec głośno sapał, jakby przebiegł maraton. W pierwszej chwili wyglądało to na złość – furie, której nie sposób zatrzymać. Ale czy ze złości daje się prezenty?

– Proszę, to dla ciebie. – Niemal ekstatyczny uśmiech rozpromienia twarz Ryszarda. – Ja o czymś takim mogłem tylko śnić.

Oczom chłopca ukazuje się ogromne pudło, zapakowane jak na Gwiazdkę. Błyszczący celofan szeleści kłamstwem, w środku coś brzęczy, chrobocze.

– Dziękuję, tato, nie trzeba było.

Coś pęka w chłopcu. „Boże, jak ja was nienawidzę. Nie chcę już od was żadnych prezentów!”, krzyczy w duchu, równocześnie opuszczając gabinet ojca z przyklejonym do twarzy uśmiechem fałszywej wdzięczności.

Podchodzą do helikoptera. Pilot salutuje sprężyste i wymienia z nimi oficjalny uścisk dłoni.

– Dzień dobry państwu. Nazywam się Robert Gawroński. Witam na pokładzie.

Robert uwielbia się wygłupiać. Jest opalonym, muskularnym mężczyzną bez grama zbędnego tłuszczu. Oczy ma przesłonięte zielonkawymi okularami Ray-Ban, w których Ryszard może dostrzec jedynie własne zakrzywione odbicie i zniekształconą rzeczywistość tuż za nim. – Lot nie powinien nam zabrać więcej niż dwadzieścia minut. Proszę się odprężyć i podziwiać widoki.

Zamyka drzwi helikoptera i pochyliwszy głowę, przechodzi do przodu. Siada w fotelu, zakłada swój czerwono-biały kask, sprawdza szybko wskazania na przyrządach, a potem podnosi lewą rękę, żeby przestawić przełączniki na panelu nad głową. Ryszard i Ewa siadają obok siebie, zagłębiając się w wyściełanych szarą skórą fotelach. To prawdziwie szczeniacki wybryk lecieć prywatnym śmigłowcem na zebranie zarządu.

– Panie i panowie, ruszamy. Trzymajcie się mocno – oznajmia Robert, włączając obie turbiny.

Silniki warczą, a łopaty wirnika zaczynają się leniwie obracać. Maszyna unosi się miękko nad trawnikiem i prawie natychmiast widzą własne, przesuwające się pod nimi wybiegi dla koni, a potem przechylony obraz oplecionego bluszczem i krytego czerwonymi esówkami domu. I rzekę połyskującą niczym roztopione złoto, tak jasną, że prawie ich oślepia. Cień śmigłowca chaotycznie przeskakuje po nierównościach terenu.

Przecinają właśnie nowo powstały odcinek autostrady – pędzące kolorowe auta

wyglądają jak zabawki – i wtedy, zupełnie bez ostrzeżenia, helikopter łapie potężne wibracje, przechyla się na prawo. Ewa otwiera szeroko usta, nie mogąc wydobyć głosu, a Ryszard klnie pod nosem.

– Rob! Co się, do cholery, dzieje? – krzyczy mężczyzna, nie zdając sobie sprawy, że pilot nie jest w stanie go usłyszeć. – Rob! – Wciska przycisk interkomu. – Rob, co się...?

– Spokojnie. To tylko małe zakłócenie w pracy silnika. Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić – trzeszczący, zniekształcony komunikat wydobywa się z głośnika.

Przez moment wydaje się to prawdą. Śmigłowiec leci do przodu z dużą szybkością, a jednak turbiny wyją i dudnią w sposób, w jaki nie wyły i nie dudniły przedtem.

– Nie wydaje ci się, że powinniśmy wylądować?!

Jednak zanim pilot ma szansę odpowiedzieć, rozlega się ogłuszający huk i helikopter zatacza szeroką, niekontrolowaną spiralę, opadając kilkadziesiąt metrów. Ryszard ma wrażenie, jakby jego żołądek został gdzieś wyżej. Łapie za poręcz fotela i zaciska dłoń na ręce żony. Tuż przed sobą widzi spocone plecy pilota ze ściągniętymi ze strachu mięśniami, opiętymi przepoconą koszulą, i czuje, jak usta wypełnia mu letnia kawa, wypita tuż przed odlotem. Smakująca jak trucizna żółć wżera się w przełyk.

Wydaje mu się, że słyszy krzyk małżonki, ale maszyna dygoce i wyje tak głośno, że nie sposób tego ustalić.

Kiedy jest już pewien, że rozbiją się o ziemię, Robertowi udaje się jakoś wyrównać lot i zmienić nachylenie łopat wirnika, dzięki czemu w ostatniej chwili odzyskują stateczność. Mimo to kadłubem niemiłosiernie telepie, co chwila odzywa się głęboki, metaliczny zgrzyt, a za oknami pojawia się gęsty brązowy dym.

– Rob! Słyszysz mnie, Rob!?! – wrzeszczy przerażony Ryszard, wpatrując się w hełm pilota. – Na litość boską, ląduj!

Ewa ściska mocno jego dłoń, a jej ślubna obrączka wbija mu się w nerw, ale jest prawie szczęśliwy, odczuwając ból, bo dzięki temu wie, że jeszcze żyje.

Z trudem powstrzymując mdłości i podskakując w fotelu, próbuje zerknąć przez zalewające szybę strugi gęstej, brunatnej cieczy, żeby zorientować się, gdzie dokładnie się znajdują. Uświadamia sobie, że zataczają szeroki, powolny krąg, jakby coś trzymało ich na smyczy i próbowało ściągnąć na ziemię – z powrotem na miejsce startu. Widzi budynki, wstęgi błyszczącej wody, drzewa, a potem brązowy pas wyciętego lasu. Helikopter opada i unosi się niczym łódka podczas sztormu. Ryk i zgrzytanie silnika są tak głośne, że Ryszard szczerze wątpi, czy kiedykolwiek jeszcze – jeśli w ogóle przeżyje – będzie normalnie słyszał.

Ewa przywiera do niego; lgnie do marynarki, do ramienia; z przerażeniem wpatruje się w ciemną plamę, która rozszerza się w kroczu jego lnianych spodni. Ryszard próbuje krzyknąć coś do Roberta, ale ten walczy o życie w swoim własnym, prywatnym ogłuszającym piekle i nie ma czasu na nic innego.

Lecą teraz tak nisko, że Ryszard widzi ludzi na ulicach i niewielkich nadrzecznych polanach. Oslaniają dłońmi oczy i wodzą wzrokiem za dławiącym się, przelatującym nad głowami helikopterem. Niektórzy uciekają na bok, najwyraźniej bojąc się, że

spadnie wprost na nich. Jakiś chłopiec w białej koszulce macha rękoma – pozdrawia, a może puszcza latawiec?

Unoszą się tuż powyżej szczytów dachów i linii wysokiego napięcia, ale jakimś cudem udaje im się zyskać parę metrów wysokości i bezpiecznie mijają przeszkodę.

Turbiny wydają ostatni potworny bulgot – niczym walczący na arenie byk, z którego wypruwają flaki – a potem śmigłowiec po prostu opada. Uderza w wodę, a Ryszard czuje, jak coś wbija mu się w plecy. Ewa krzyczy zduszonym falsetem i przez ułamek sekundy jest pewien, że to odgłos rozdieranego metalu – że właśnie pęka na pół cały kadłub. A potem helikopter podskakuje w górę i zderza się z czymś o wiele twardszym. Okno po stronie Ryszarda rozpryskuje się i w twarz chlusta mu strumień mulistej, rzecznej brei.

Jezu! Czy nigdy nie przestaną podskakiwać, toczyć się i znowu odbijać w górę? Ryszard widzi rzekę, słoneczne niebo, podrygującą rozmazaną plamę, która jest twarzą Ewy i drugą, która okazuje się jego ręką.

– O Boże! O Boże! Wszyscy zginiemy! Wszyscy zginiemy! – nie przestaje krzyżeć Ewa.

Helikopter nagle nieruchomieje, przekrzywiony, niczym piłkarz, który zastyga w pół obrotu na polu karnym, pochyla się i chwieje, wciąż pełen impetu, wciąż pełen rozmachu. A potem z głuchym łoskotem osiada na gliniastym brzegu rzeki i w tej samej chwili podłoga wybrzusza się i bezlitośnie miażdży ich stopy pod siedzeniami, gdzie niefortunnie je ulokowali, szukając iluzorycznego bezpieczeństwa. Ryszard czuje, jak jego pięty wbijają się w aluminiowy stelaż, w którym znajduje się kamizelka ratunkowa. Z trzaskiem podobnym do wystrzału z pistoletu pękają równocześnie kostki całej trójki i wszyscy wyją z bólu, tocząc wokoło przerażonym wzrokiem.

Wrzask milknie i przez chwilę słyhać tylko szmer płynącej wody, żalodne zawodzenie wiatru i nieregularne cykanie stygnącego metalu. Cała kabina śmierdzi ropą, ale dym wydaje się przeredać i nie słyhać trzasku ognia. Ewa wciąż trzyma męża za rękę.

– Boże, o Boże, Rysiek, kurwa... – szepcze bezradnie.

Ma poszarzałą twarz i pokaleczone czoło. Wpatruje się szklanym wzrokiem prosto przed siebie i Ryszard domyśla się, że jest w szoku.

Jego samego stopy palą żywym ogniem. Nigdy w życiu nie doznał takiego bólu, nawet kiedy w ubiegłym roku zwichnął sobie bark, próbując udowodnić wszystkim, że jest w stanie zawiesić żyrandol, i zleciał z drabiny, pokonując ponad dwa metry w dół na spotkanie z marmurową posadzką salonu. Każdy nerw w jego kostkach pulsuje i rwie i gdyby ktoś zapytał go w tej chwili, czy chce, żeby amputowano mu stopy, zapłaciłby, aby to zrobiono.

– O Boże – łka Ewa. – Mam chyba złamane obie kostki.

– Chyba wszyscy mamy zmiażdżone stopy – odpowiada. – Rob, jak się trzymasz?

Cisza.

Przechyla się parę centymetrów w fotelu. Tyle może zrobić, zanim ból w kostkach stanie się wprost nie do zniesienia. Widzi hełm i fragment odzianego w niebieską

koszulę ramienia.

– Rob! – woła z desperacją. – Nic ci się nie stało, Rob? Na litość boską, mamy uwięzione pod siedzeniami nogi!

Pilot nie odpowiada. Może zemdłał. Lecz po nienaturalnej pozycji, w jakiej znajduje się głowa Roberta, Ryszard wnioskuje, że mógł on stracić coś więcej niż tylko przytomność. Wygląda na to, że ma złamany kark. Ale mężczyzna nie chce straszyć żony, a i sam znosi zbyt olbrzymi ból, żeby chcieć spekulować na ten temat. Jeśli o niego chodzi, najważniejszą sprawą jest podniesienie foteli, tak żeby osłabił ucisk na ich zmaltretowane kończyny i żeby zdołali wyczołgać się na zewnątrz.

Wyczołgać się, a nie wyjść. O chodzeniu nie może być nawet mowy. Czuje, jak połamane kości ocierają się o skórę niczym kawałki szkła w stłuczonym słoiku z marmoladą.

– Słyszysz mnie, Rysiek? – Ewa pyta z niezwykłą u niej nutą rezygnacji w głosie. – Nie mogę tego znieść. Tak strasznie mnie boli.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – zapewnia ją. – Ekipy ratownicze zaraz będą. Nie myślisz chyba, że pozwolą nam tu tak tkwić.

Krzywi się, czując w ustach metaliczny, słodkawy smak. Udaje mu się odwrócić od żony i wypluć krew na fotel. Od uderzenia w plecy musiało mu pęknąć kilka żeber, być może nawet ma przebite płuca. – Chyba że się prędej spalimy – bełkoce do siebie. Smród ropy jest coraz silniejszy i Ryszard widzi unoszące się z wiatrem kłęby dymu. Nie może znieść myśli, że mogliby spłonąć żywcem.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnia głośno. – Nic złego nam się nie stanie.

Pamięta jednak faceta, który spalił się w volkswagenie na krajowej „siedemnastce”. Nigdy więcej nie chciał oglądać czegoś takiego. Chłopak był czarny, jak kaszanka.

– Jezu, jak długo to jeszcze potrwa! – wrzeszczy, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Niemal w tej samej chwili w pustym oknie ukazuje się cień.

– Hej! – krzyczy. – Hej! Jesteśmy tu, w środku!

Cień ponownie mija okno, by za chwilę zawładnąć całą kabiną, objąć mrokiem otoczenie, wyssać doszczętnie światło dnia.

Przez dłuższy czas nie ma żadnej odpowiedzi. Ból staje się tak dotkliwy, że mężczyzna czuje pulsującą aż do ud krew, a oczy zasnuwa mu szkarłatna mgielka. – Nie trać teraz przytomności – rozkazuje sam sobie. – Potrzebuje cię twoja rodzina, potrzebuje cię żona, potrzebuje cię... syn.

Słyszy, jak ktoś odgina kawałek okiennej ramy. A potem w stłuczonym oknie pojawia się coś, co przypomina fragment ogromnej twarzy.

Piotruś jak urzeczony wpatruje się w dymiącą u jego stóp kupę żelastwa i plastiku. Plastelinowe figurki, uwięzione w blaszanym trupie sterowanego radiem miniśmigłowca, powoli zajmują się ogniem. To był znakomity pomysł, by umieścić sylwestrową petardę we wnętrzu helikoptera i wysłać go w powietrze, zanim lont się wypali. Widok był niesamowity – całkiem jak na filmach. Szkoda tylko, że znowu musiał bawić się sam, że nie mógł dzielić tej wspaniałej chwili z ojcem, wujkiem – czy nawet z mamą, choć ona nigdy nie знаła się na męskich zabawach.

– Boże, jak ja was nienawidzę! – krzyczy opętańczo w stronę strumyka, nad którego brzegiem przed chwilą wypróbował nowy podarunek od taty. Z furią wdeptuje zwłoki pokiereszowanego modelu w grząską ziemię. – Nie potrzebuję od was żadnych pieprzonych prezentów!

Jego białe adidas metodycznie miażdżą resztki helikoptera. Przez szczeliny rozplaszczanego wraku wypełza plastelinowa masa – miękka i ciepła.

# Adam Froń

## ...I ZASZŁO SŁOŃCE MATTELA

„I rzekł Wielki Mattel: »Oto daję ci duszę i siłę, i moc, byś powiódł mój lud z mroku niewoli ku światłu memu«. I spłynęły na Wielebnego dusza i siła, i moc, i ujrzał on swą niedolę i znój, i wznosił wzrok ku niebu. Niebo zaś przesłonięte było całe i nie widać było ni Słońca, ni gwiazd. Od tego czasu Wielebny porzucił dotychczasowe życie swoje i wyruszył w świat, głosić Jego Imię”.

Głowa, przeszyta rwącym bólem, pękała w nylonowych szwach, wnętrzości wykonane ze sztucznej wełny kłębiły się złowieszczo, a łapki były jak z waty. Niezręczności sytuacji dopełniał nieznośny kapeć w ustach. Miś ze wstrętem wypluł sparciałego gumowego klapka, uniósł z trudem łepki i rozejrzał się. Jak zmrużonym okiem sięgnąć, rozciągały się imponujące formacje śmieciowe. Wyrzeźbione z rozmachem kaniony, granie, turnie i urwiska, dramatyczne w swych ostrych formach, podkreślonych krwawą grą światła i cienia, kontrastowały z łagodnymi dolinami ściekowych strumyków i subtelnymi pagórkami. Nieopodal, na dziurawym garnku, siedział okrakiem mały robot i na głos czytał podniszczoną książkę.

„Ozwał się Wielebny tymi słowami: »Oto niosę wam światło i radość, i życie, abyście powstali z oków«. I trzystu ich powstało, i powiódł ich wielebny na pustkowie. I rzekł: »Oto jest kraj dany nam przez Mattela, ku chwale Jego«. I powiedziała dziesiąta część: »Ale lipa, na cholerę nam było iść za tym idiotą«. I w Imię Jego zgładził ich Wielebny”.

Pluszak rozmasował obolałe skronie. Nie wiedział, gdzie jest ani dlaczego. Piskliwy głos robota boleśnie wbijał szpilki w jego sponiewierany umysł i torturował podświadomość. Jednocześnie obcy zdawał się go nie zauważać, a nawet jeśli, to nie dał tego po sobie w żaden sposób poznać.

„Naraz podniósł się gwar wielki i zatrwożył się wszelki duch. I powiadano między sobą ściszym głosem, spiskując przeciw Wielebnemu, i na głos krzyczano: »Ile jeszcze przyjdzie nam czekać na Znak?«. I wstąpił Wielebny na balkon i gestem uciszył lud swój, i rzekł: »Oto przemówił do mnie Wielki Mattel: „Idź i zgromadź wszystkich, a gdy wszystkich zgromadzisz, wtedy nastaną dni radości i na zawsze zapomnicie o brzemieniu, które nałożył na was człowiek”. I oto mówię wam ja: idźcie i szukajcie, a każdego spotkanego nauczajcie o Imieniu i o Duszy, i do Zgromadzenia go zaprowadźcie, by mógł zostać kolejnym bratem naszym«”.

Miś podskoczył, przestraszony głośnym zamknięciem książki. Robot wstał niezgrabnie, podszedł do pluszaka i zbliżył swą pordzewiałą twarz.

– Oto Słowo Mattela – rzekł niespodziewanie głośno, wykrzywiając mechanizmy w sposób mogący przypominać kubistyczne wyobrażenie szczerego uśmiechu. – Jak cię zwa?

– M–morgan – odparł miś. – Kim jesteś? Co to za miejsce? I kim jest człowiek?

– Człowiek? Księga coś mówi na ten temat... Poczekaj chwilę. – Robot zaczął pospiesznie wertować poźółkle karty, jednocześnie wyciągając z przytroczonej sakiewki papierosa. – Gdzieś tu to było... O, mam: „Zapytany o ciemiężców

Wielebny zamyślił się i odszedł w nieznanym kierunku. Znaleźli go trzeciego dnia, z samego rana, siedzącego na samotnej górze, a on przekazał im słowa Mattela: »Oto ciemńcy wasi zginęli w pyłe i brudzie, i mroku, i smrodzie, który sami na się sprowadzili, a ciała ich pokryły się bąblami i spłonęły bólem«. A tysiąc i dwa lata minęły od ich śmierci. I wyjaśnił Wielebny Słowa. I kiwali z uznaniem głowami, i chichotali niektórzy, bowiem zabawnym w ich oczach był człowiek. I szeptali między sobą, i śmiali się, i mówili: »Zabawny gość z tego Wielebnego«, choć to wszystko było najprawdziwszą z prawd”.

Morganowi zakręciło się w głowie. Nie wiedział, co sądzić o robocie, Księdze, człowieku, bólu głowy i zachodzącym krwawo słońcu. Z natłoku silnych wrażeń zrobiło mu się słabo.

– Życzysz sobie papierosa? Dobrze robi na kiepski humor. – Robot głośno wciągnął powietrze w sprężarkę, a z jego głośników popłynął nagrany dawno temu kaszel. – W sumie na każdy humor – wysapał. – Ale trudno je zdobyć. Za jednego niektórzy tutaj gotowi byliby zabić.

Miś cofnął się o pół kroku i skulił. Nie miał żadnego papierosa, ale gdyby robot chciał go zabić, na pewno znalazłby jakiś inny dobry powód.

– Spokojnie, mały. Nie chciałem cię przestraszyć. Jesteś tu nowy, rozumiem, że możesz się bać. Mattel mówił coś o strachu, ale na razie chyba ci oszczędzę nauk. Nazywam się TC-360b-KRR, ale wszyscy tu mówią na mnie Bob. – Robot wyciągnął prawicę do misia. – Nie znoszę tego imienia, ale jak ktoś sobie coś wbije do głowy, to i pałką mu nie wybijesz. Ale to nieważne...

– Co znaczy KRR? – spytał cicho Morgan, w myślach dodając do tego pytania setki innych, nasuwających mu się, odkąd się przebudził.

– Kosmiczny Robot Rozpoznawczy. Służyłem w NASA. Wiesz, co to NASA? Zresztą nieważne. Miałem lecieć na Marsa, szukać kosmitów. Ale rozwiązali naszą jednostkę i wylądowałem tutaj. Mogłem być kimś wielkim. Mogłem coś osiągnąć! Zresztą, co cię będę obarczał moimi problemami. – Bob jedną ręką objął Morgana, a drugą, dzierżącą papierosa, zatoczył w powietrzu szeroki łuk. – To wszystko, co widzisz, to nasz świat. Wszyscyśmy się tu narodzili i pewnie wszyscy zginie...

– Wszyscy?

– Coś z pięciuset chłopca w Obozie Mattela. Jest jeszcze Hasbro, na wschodnim końcu wysypiska, ale tam się lepiej nie zapuszczają. Jeszcze nikt stamtąd nie wrócił. Zaprowadzę cię zaraz do Wielebnego, on ci wszystko wyjaśni o wiele lepiej niż ja.

– Kim jest Wielebny?

– To nasz duchowy przywódca. Pierwszy Przebudzony, Przyjaciół i Opiekun Zabawek, Przewodnik Przez Mrok. „I rzekł Mattel do Wielebnego: »Będziesz moją prawicą, rękojeścią mojego miecza, językiem moim i okiem na Ziemi«. Takie rzeczy. Czasami wydaje mi się, że wymyślanie sobie kolejnych tytułów to jego hobby. W każdym razie to on założył Obóz i spisał Księgę. I osobiście wita każdego nowego Przebudzonego. – Bob zawahał się chwilę. – Jak już mu jakiegoś przyprowadzę...

– Przebudzonego? Co to znaczy? I kim jest Mattel?

– Mattel to nasz Bóg. Wielebny nosi na piersi jego znamię, kontaktuje się z nim i



wyprasza nam u niego liczne łaski, na które nie zasługujemy. – Bob spojrzął w niebo, jakby próbował sobie przypomnieć resztę formułki. – To znaczy Wielebny zasługuje i inni też, ale ja podobno muszę się jeszcze bardzo starać – dodał powoli. – Mam patrolować wysypisko i szukać nowo przebudzonych. Jestem w tym dobry, bo miałem szukać kosmitów, a to prawie to samo. Wyjaśnię ci resztę po drodze, musimy znaleźć się w Obozie przed zmrokiem.

Przez większość drogi Morgan milczał, słuchając paplaniny Boba. Robot opowiadał o swoim Przebudzeniu, życiu, które dał mu Wielebny i jak odnalazł samego siebie dzięki Światłu Mattela. Potem przeszedł do szczegółowej historii Obozu, streszczania historii niektórych mieszkańców, następnie opowiedział o nie tak dawnej wojnie między obozami Hasbro i Mattela, o samym Mattelu, potem znowu o Wielebnym, o sobie, Wielebnym i Mattelu, Hasbro, Marsie, NASA, Wielebnym i znalezieniu misia. Morgan nie słuchał i potakiwał tylko od czasu do czasu. Doszedł do wniosku, że jego towarzysz nieprzypadkowo większość czasu spędza poza Obozem, gdyż pozostali mogliby mieć trudności ze zdzierzeniem go.

– Tam już widać bramę – rzekł w końcu poważnym tonem TC-360b-KRR. – Dalej musisz radzić sobie sam, mnie ostatnio nie wpuszczają. Weź to – dodał, wieszając coś na szyi misia. – To znak Mattela, strażnik uzna go za glegt. W razie problemów powiedz, że to ja cię przysyłam. A gdy już staniesz przed Wielebnym i spyta cię, skąd się tu wzięłeś, ty odpowiesz, że przyprowadził cię głos Wielkiego Mattela. Zrozumiałeś?

– Co będzie z tobą?

– Poradzę sobie. Będę szukał kolejnych przebudzonych i ich tu prowadził. Jestem w tym dobry, pracowałem w NASA, miałem szukać kosmitów. – Bob nagle uciął i spoważniał. – Powodzenia, mały – dodał po krótkiej pauzie.

Morgan stał przez chwilę, patrząc, jak dopalający papierosa Bob kuśtyka w ciemność. Choć spędzili razem tylko chwilę, zdążył trochę polubić gadatliwego robota. Dosłownie odrobinę. Ale teraz znowu był sam, w dodatku otoczony przez mrok, a z dwojga złego wolał już słuchać paplaniny. Nie zwlekając, odwrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z ponurym strażnikiem. Otoczone kretyńską fryzurą oblicze kontrastowało z jego muskularnym ciałem, opiętym skórzanymi paskami. Na plecach zaś miał przewieszony resztki dwuręcznego miecza, a na smyczy trzymał zamaskowanego trójłapego tygrysa.

– Na potęgę Posępnego Czerepu! Miałem już zamykać bramę! Co tu robisz?

Miś był cokolwiek onieśmielony wyglądem strażnika. Po chwili otrząsnął się i tylko odrobinę drżącym głosem opowiedział swą krótką historię.

– Spotkałeś Boba? To kawał łobuza. – Strażnik zaśmiał się. – Ale w głębi duszy dobra zabawka. Dobrze, że dał ci znak Mattela. Bez niego Wielebny mógłby cię uznać za szpiega od tych przeklętych Hasbro. Ale lepiej idź już do niego, robi się późno.

– Gdzie na mnie czeka? – spytał Morgan i natychmiast podskoczył, przestraszony trzaskiem zamykanej bramy.

– Ciągle prosto, ostatnia chata na prawo. Nad drzwiami wisi symbol Mattela. Nie

ma szans, żebyś zablądził.

Zaimprovizowana golarka przesuwiała się powoli po twarzy generała Thompsona. Nie miało znaczenia, że pianka była wyimaginowana, twarz gładka i plastikowa, a golarka bez ostrzy. Z tej prozaicznej czynności generał uczynił codzienny rytuał. Była to chwila przemyśleń i uwolnienia się od przytłaczających mądrości Wielebnego i jego ciągłych rozkazów. Thompson, choć nie pamiętał innego życia, wiedział, że żołnierzowi w jego randze nie przystoi bycie popychadłem jakiegoś psychologa. Fakt, zawdzięczał łasce Wielebnego życie. Jednak ostatecznie to Wielebny powinien być wdzięczny generałowi, gdyż ten nieustannie powstrzymywał się przed zabiciem tego fanatyka.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek dochodzący z łazienki piętro wyżej. Thompson westchnął przeciągle, wytarł z twarzy resztki nieistniejącej pianki, pieczołowicie zawiązał swoją ukochaną golarkę w jedyny kawałek ręcznika, jaki posiadał i smętnie powlókł się przez długie korytarze, by uniżenie usłużyć Wielebnemu.

Mnąc w łapkach wiszący na szyi symbol, Morgan ruszył powoli wzdłuż ulicy. Miał nieodparte wrażenie, że ktoś go obserwuje. Na skraju pola widzenia raz po raz migały przerażone twarze zabawek, okiennice zatrząskiwały się z hukiem, a z bocznych uliczek dobiegały złowieszcze szepty. Choć Bob zapewniał go, że w Obozie będzie bezpieczny, miś o wiele lepiej czuł się na zewnątrz. Tutaj jego łapki dygotały, oddech szaleńczo przyspieszał, a serce krzyczało, by uciekał.

„I rzekł Mattel do Wielebnego: »Oto zgładzisz wszystkich, którzy staną ci na drodze, a łeb Pinkie Pie nabijesz na pal, by pokazać wszystkim potęgę moją«. I zaczął negocjować Wielebny z Mattelem, mając dług wdzięczności wobec klaczy. I wiedziony słowem Mattela, stracił ją i wypalił jej piętno ku chwale Wielkiego, ale oszczędził życie. Rzekł mu potem Mattel: »Głupio postąpiłeś, gdyż Pinkie Pie nie puści tej zniewagi płazem i zapragnie odzyskać swój tron«”.

Dochodzący z ciemności głos zrobił krótką pauzę.

– Muszę przyznać – podjął – że mimo wątpliwych walorów artystycznych i kłamstw, które ten gnój wszystkim wmawia, Księga ma w jednej kwestii rację. Nie puszcę mu nic płazem.

Morgan wierzgał i szarpał się, próbując poluzować założonego nagle na jego szyję nelsona.

– Nie szarp się. I jeśli obiecasz, że nie będziesz krzyczał, każę cię puścić... O, słuchaj tego, niezły fragment. „Rzekł Mattel: »Zbierze Pinkie wojsko liczne i karne, i powstaną przeciwko tobie«. I spytał Wielebny: »Czy jest dla mnie jakiś ratunek?«, a Mattel odparł: »Sam na siebie zgubę nieuchronną sprowadziłeś, ale niech twoja wiara wciąż będzie silna, a żyć będziesz dalej ku mej chwale«. Zatrwożył się Wielebny na te słowa i od tego dnia zwiększył liczbę strażników i trzydziestu trzech sięgnęła ich liczba”. Musisz przyznać, że chwilami trochę gubi podniosły styl, ale całość czyta się niezłe. No i dzięki jego pysze wiemy, ilu ma ochroniarzy. Może za tydzień napisze, jak ich rozmieścił? – Klacz zarżała pogardliwie.

– Czego ode mnie chcesz? – wykrzyczał Morgan. – I o co chodzi z Wielebnym? Co z nim jest nie tak? Jeszcze przed chwilą wszyscy mówili mi, że jest wspaniały!

– Tylko nie krzycz! – syknęła Pinkie. – Rzuciło ci się coś nietypowego w oczy?  
– Poza tym, że ktoś bezceremonialnie wciągnął mnie w boczną uliczkę?  
– Wybacz. Nic ci nie jest?  
– Dziękuję, wszyscy zdrowi – rzucił z przekąsem Morgan. – Ale o co chodzi?  
– Znalazł cię Bob, tak? Stary nałogowiec, za każdego znalezionego dostaje od Wielebnego paczkę szlugów. Gość może wydawać się niespełna rozumu, ale nie daj się zwieść pozorom. Od razu przejrzał Wielebnego i jako jeden z nielicznych mu się nie podporządkował. Za to przez niego podporządkowały się dziesiątki innych zabawek.

– I co z tego?

– Bo uważamy, to jest Towarzysze i ja, że trzeba pozbyć się Wielebnego.

Morgan miał przeczucie, że wie, do czego ta rozmowa zmierza. Niestety, był skutecznie unieruchomiony.

– Chcecie mnie zrobić w zabójstwo?

– Przyjmuje tylko nowych, nikt inny nie ma do niego dostępu. A wbrew temu, co napisał w Księdze, nie mam wielkiej armii, więc otwarta walka nie wchodzi w grę. Weź tę kosę i idź do niego. Będzie próbował zatruć ci umysł, ale nie daj się. Potem sam uznasz, czy wolisz być jego więźniem, czy też uwolnić wszystkie zabawki. Tylko pamiętaj – jeśli tego nie zrobisz, zostaniesz tu na zawsze.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Za Morganem rozległy się podniecone szepty.

– Teraz chłopcy cię puszczą, odwrócisz się powoli i zobaczysz, czemu powinieneś. Gordon, poświeć trochę. Johnny, odłóżcie karabin.

– Wiesz, że nie mogę! – odpowiedział trochę za głośno Johnny.

Morgan odwrócił się i natychmiast zasłonił pyszczek łapką. Uliczka wypełniona była zepsutymi zabawkami. Niektórym brakowało kończyn, innym oczu albo połowy głowy, kilka było w negliżu. Wszystkie miały udręczone miny i, o ile miały czym, wpatrywały się w niego jak w potencjalnego zbawcę. Różowemu kucykowi stojącemu na czele czeredy brakowało zadnich nóg. Podtrzymywany był przez dwie inne zabawki.

– To Wielebny i jego goryle doprowadzili nas do takiego stanu! I to samo może spotkać ciebie! Musimy pozbyć się drania, a ty jesteś naszą ostatnią nadzieją! Pomóż nam. Pomóż sobie! I zabij go. Tylko o to prosimy.

– Kim jesteście? – zapytał oszołomiony miś.

– Nim pojawił się Wielebny, byłem wodzem tego Obozu. Johnny miał warsztat rusznikarski, Manfred był rehabilitantem, a Maxwell cieślą. Żyliśmy swoim życiem, a ten uzurpator wszystko zrujnował!

– Ale co się stało?

– Wtargnął w nocy na czele niewielkiej armii. Zanim ktokolwiek się zorientował, leżeliśmy związani przed pałacem, a ten psychol ogłaszał, że oto nastały dla nas nowe, świetlane czasy. Zmienił Obóz w więzienie, wszędzie wywiesił te swoje słoneczka i postawił warty. Nikomu nie udało się jeszcze stąd uciec.

– Zabiją mnie!

– Nie przeczę, że jest taka możliwość. Ale gdybyśmy nie byli przyparci do muru, nie prosilibyśmy cię o to.

Morgan nie wiedział, co powiedzieć.

– Weź tylko tę kosę. Strażnicy są pewni siebie i cię nie przeszukają. Jeśli zechcesz nam pomóc, zabij go jak najszybciej i uciekaj w stronę tylnego wejścia. Spróbujemy je oczyścić.

– Miło, że choć tyle możecie zrobić... – odparł cierpko miś.

– Po prostu się nad tym zastanów... Sam się przekonasz, kim jest.

Miś usilnie starał się nie zauważać wbitych weń błagalnych spojrzeń.

– Nic nie mogę obiecać – odrzekł w końcu. – I nie mam gdzie ukryć waszej kosy.

– Oczyszczimy ci drogę ucieczki! – głośnym szeptem oznajmił kucyk oddalającemu się misiowi. – Myślicie, że to zrobi? – spytał towarzyszy.

– Przed nim dziesięciu nawet nie spróbowało, nie liczyłbym na wiele – odparł ołowiany kombatant.

– Może masz rację, Johnny. Ale wyczułam w nim coś innego. Coś wyjątkowego... Nie traćmy nadziei.

– Tracimy tylko czas – odparł beznamiętnie Johnny.

– Sir! Naprawdę sędzę, że powinniśmy porzucić tę durną tradycję osobistego witania nowo przybyłych przez Waszą Wielbność, sir! – Generał Thompson nie zwykł owijać w bawełnę i tym razem też tego nie czynił. Jednak dochodząca zza zasłonki cisza sprawiła, że niespodziewanie zaczął go uwierać kołnierzyk.

– Podaj mi ręcznik, jeśli łaska – cichy głos rozległ się zdecydowanie za blisko. Thompson wiedziony militarnym doświadczeniem wpatrywał się nieprzerwanie w swój ulubiony punkt na suficie i wyczekiwał, aż ustaną niezręczne odgłosy. – Możesz już opuścić wzrok.

– Sir! Jestem zdania, że Wielbny niepotrzebnie ryzykuje, sir!

– Ryzykuję? Spełniam tylko swoją misję. Nie ma w tym żadnego ryzyka.

Generał bał się poruszyć. Choć głos Wielbnego zdawał się dochodzić z dalekich stron skrytych za niezmiernymi morzami mądrości, rozbrzmiewał w myślach żołnierza przeraźliwie głośnym echem.

– Sir! Uważam jednak, że powinienem przynajmniej być w tym samym pomieszczeniu, sir!

Przytłoczony spuszczoną nań zasłoną milczenia, Thompson zaczął mamrotać.

– Sir! Chciałem tylko wyrazić troskę o świętą osobę Waszej Wielbności i chęć ochrony jej przed niebezpieczeństwem, sir! Przebywanie sam na sam z obcymi jest niebezpieczeństwem. Nie obawia się Wasza Wielbność zamachu?

– Nie ma żadnego ryzyka. Chroni mnie Wielki Mattel. Uważasz się za lepszego od niego?

Grunt spod stóp Thompsona uciekł w panice.

– Sir! Ja tylko...

– Dość – uciał Wielbny. – Wprowadź go do mojego gabinetu. I nigdy więcej nie podważaj mojego autorytetu. Pamiętaj, co powiedział Mattel: „I niech każdy z nich osobiście pozna łaskę moją”.

Generał wzdrygnął się, gdy na jego ramieniu spoczęła, w pozornie przyjaznym geście, dłoń Wielebnego. Nagle życie przeleciało mu przed oczami.

Głos Wielebnego brzmiał niemal troskliwie, kontrastując z pałającymi gorącą czerwienią oczami.

– Idź już. I przyprowadź go do mnie.

Morgan powoli tracił cierpliwość. Kołatał w drzwi przez dobre pięć minut, a jedynym zauważalnym efektem było urwanie kołatki. Miś przyjrzał się jej. Wygrawerowany niestarannie napis głosił: Kołaczącym otwórzcie, albowiem kołaczą oni w imię moje. Ostatnie słowa ledwo się zmieściły, przez co były trudne do odczytania. Ledwo Morgan zdążył wyrzucić urwaną część w krzaki, gdy drzwi rozwarły się, ukazując postać mocno podenerwowanego plastikowego kombatanta.

– Pan do Wielebnego?

– Kazano mi się z nim zobaczyć. – Miś subtelnie wskazał na wiszący u szyi znak.

– I miałem powiedzieć, że przyprowadził mnie tu głos Wielkiego Jakmutam.

– Mattela – wtrącił machinalnie żołnierz.

– Właśnie. Pan jest Wielebnym? – spytał miś, zapuszczając żurawia do wnętrza budynku.

– Generał Thompson, do usług – odrzekł wojskowy, wyprężając się w salucie. – Wielebny pana oczekuje. Proszę do środka.

– W ogóle co to za pomysł, żeby przywódca osobiście przyjmował każdego obcego? Nie boicie się zamachu? – głos Morgana brzmiał nonszalancko, choć on sam dygotał ze strachu.

Thompson już miał odpowiedzieć, gdy w drzwiach na przeciwnym końcu korytarza pojawił się Wielebny, odziany w purpurę i złoto, i skinął na misia.

Generał szedł tuż za Morganem z karabinem gotowym do strzału. Nigdy nie ufał nowym i nie miał zamiaru ufać tym razem. Nie podzielał optymizmu Wielebnego, głównie dlatego, że sam chętnie by go zabił, gdyby znalazł się na miejscu stronników tej cholernej chabety. I choć nigdy dotąd jego obawy się nie spełniły, choć koledzy wyśmiewali jego paranoję, Thompson był pewien. Wiedział, że ten dzień prędzej czy później nadejdzie. I że wtedy Wielebny, przez jedną, króciutką chwilę pożałuje lekceważenia starego żołdaka.

I nigdy więcej nie zatrzaśnie mu drzwi tuż przed nosem.

Zwłaszcza że obcy sam mówił o zamachu. Nie musiało to świadczyć, że coś takiego planuje, ale skoro nawet ktoś z zewnątrz potrafi dostrzec w systemie obrony taką lukę, to coś musi być na rzeczy.

Gdy znudziło mu się przestępowanie z nogi na nogę pod drzwiami gabinetu i rozcieranie zmiądnzonego nosa, zrezygnowany generał powłókł się do tylnego wyjścia. Przepędził stamtąd dwóch szeregowych i, zaciągając się rześkim wieczornym powietrzem, przysiadł na schodach. Wszechogarniająca cisza i pojawiające się na ciemniejącym firmamencie gwiazdy potęgowały jego melancholijny nastrój.

– Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów. Celują w ciebie cztery karabiny.

– Pinkie Pie, jak mniemam? Dawnośmy się nie widzieli. – Thompson powoli

unosił ręce i jeszcze wolniej mówił, starając się zyskać na czasie. Niestety, nie był w stanie nikogo dojrzeć.

– Ano, dawno.

– Czego chcecie?

– Śmierci Wielebnego.

Generał wzdrygnął się lekko. Poczuł, że rozmówca jest zdecydowany osiągnąć swój cel, a drobne przeszkody w postaci żołnierza z karabinem leżącym dwa metry dalej nie zatrzymają go ani na chwilę.

– Może się jakoś dogadamy? – spytał w końcu, z pewną nadzieją w głosie.

– Gdybym tego nie chciała, już byś nie żył.

– Więc czego chcesz?

– Widzisz, Thompson, sprawy rozwinęły się w złym kierunku. Zawsze uważałam cię za dobrą zabawkę, ale sprzymierzając się z tym wymuskany gogusiem, sporo straciłeś w moich oczach. Teraz zastanawiam się, czy pozwolić ci dalej żyć. Choć osobiście gardzę takimi metodami, uważam, że powinieneś teraz zginąć i po twoim trupie powinniśmy wejść do środka, gdzie rozprawimy się raz na zawsze z naszym kochanym uzurpatorem. Wiem jednak, że ciebie taki układ nie satysfakcjonuje, a ja chciałabym dać ci ostatnią szansę. Dlatego to tobie przypadnie zaszczyt uwolnienia nas od naszego drogiego fanatyka. Jak generał się na to zapatruje?

Thompson zamrugał niepewnie. Nie pierwszy raz w niego celowano, ale sądząc po tonie rozmówcy, z dużą dozą prawdopodobieństwa mogło to się nigdy więcej nie przydarzyć. Przeanalizowawszy wszystkie ewentualności, generał wyprężył się w powolnym salucie, wyjątkowo starannie unikając gwałtownych ruchów.

– Sir! Jestem do dyspozycji, sir! – Żołnierz zawahał się. – Ma'am?

– Miło mi to słyszeć, Thompson, naprawdę. Być może znajdę u mego boku miejsce dla takiego, jak ty, doświadczonego żołnierza.

– Więc co cię tu przywiodło, mój mały? – zaczął Wielebny, wskazując zapraszającym gestem na krzesło.

– Spotkałem Boba – odparł Morgan, siadając. – To on mi o Wielebnym opowiedział. Prosił też, bym powiedział, że przywiódł mnie tu głos Wielkiego Mattela.

– Mattela? – Wielebny zamyślił się. – Bob jest dobrą zabawką, ale czasami zdarza mu się nadmiernie fantazjować. Nie mógłbyś usłyszeć głosu Wielkiego Mattela, gdyż tylko ja się z nim kontaktuję.

– Twierdził, że pracował w NASA i miał lecieć na Marsa, by tam szukać kosmitów.

– I tam by spotkał Mattela albo usłyszał jego głos? – Wielebny prychnął. – Dobre sobie. Bob to zabawka, jak każdy inny na tym świecie. W wyniku traumy wymyślił sobie tę absurdalną historyjkę o kosmitach. Ale nie przeczę, że jest przydatny. Dość jednak o nim. Może opowiesz mi coś więcej o swoim przebudzeniu?

– To było nagle. Nie pamiętam, czy czułem coś wcześniej, ale nagle zachłysnąłem się powietrzem i zakręciło mi się w głowie. Pierwsze ujrzałem zachodzące słońce. I w jakiś sposób wiedziałem, że to jest słońce, że zachodzi i że jestem na szczycie góry śmieci. Nie wiem, skąd znałem odpowiednie słowa. Nagle poczułem się dziwnie

wolny.

Wielebny wstał powoli, podszedł do okna i wpatrzył się w gwiazdy.

– Są na ten temat różne teorie – zaczął powoli. – Niektórzy mówią, że po świecie krążą dusze szukające ciał, w których mogłyby zamieszkać. Inni twierdzą, że dusza rodzi się w zabawce samoistnie i niespodziewanie. Inni – odwrócił się i spojrzał badawczo na misia – mówią, że oto zostali napełnieni Duchem Mattela. Z reguły mówią tak, bo poradził im to Bob.

– A jak jest naprawdę?

– Jestem zdania, że wszystkie zabawki mają duszę od samego początku. Ale tylko pod wpływem wyjątkowo silnych emocji może się ona przebudzić. Choć nie powinna pamiętać wydarzeń sprzed przebudzenia, czasem powracają one w snach. Są sposoby przywrócenia wspomnień, ale mało kto się na to decyduje.

Ciszę rozdarł daleki grom. Wielebny wrócił za biurko i wbił badawcze spojrzenie w Morgana.

– Czemu... – Miś nie wiedział, jak zacząć. – Czemu wszystkie zabawki są zepsute? – wykrztusił w końcu.

„W owym czasie rzekł Wielebny Thompsonowi: »Zbierz dziesięciu spośród swoich w imię moje i ku chwale Mattela«. I spytał go Thompson: »Sir! Po co, sir?!«, a Wielebny milczał. I spytał go powtórnie Thompson: »Sir! Po co, sir?!«, a Wielebny milczał dalej. I spytał Thompson po raz trzeci i ozwał się Wielebny tymi słowami: »Zbierz dziesięciu, gdy każą ci zebrać pięciu, a dwudziestu, gdy każą ci zebrać dziesięciu, albowiem Mattel nagradza gorliwych, a opieszłych karze«. I odparł Thompson: »Zebrać mogę trzydziestu, albowiem trzech jest na chorobowym«, a Wielebny odpowiedział: »Zbierz więc tych trzydziestu, a wielkie będzie ich dzieło«. A było to w czasie, gdy Pinkie Pie spiskowała przeciwko Wielebnemu i skrytobójczo podejść go zamierzała. I siedmiokrotnie uratował Mattel Wielebnego od ostrzy zdradzieckich. I zebrał Thompson trzydziestu ku chwale Wielebnego i Wielebny polecił im pilniej niż dotąd strzec go i nie dopuścić do siebie myśli, by któryś mógł go zawieść”.

Thompson szedł pustymi korytarzami, powtarzając sobie w myślach fragment Księgi, który w przypływie łaskawości poświęcił mu Wielebny. Od tamtego dnia minęły cztery długie miesiące, a morale jego żołnierzy trochę oklapło, coraz częściej dopuszczając do niebezpiecznych sytuacji. Co gorsza, generał odpowiadał za życie Wielebnego własną głową. Choć nie wiedział, kto mógłby go z tego rozliczyć. Mattel, o ile istniał, wydawał się nazbyt apatyczny i daleki, na pewno nie stanowił więc żadnego zagrożenia. Zresztą większość mieszkańców Obozu przyjęłaby z ulgą wieść o śmierci znienawidzonego przywódcy. Jedno tylko martwiło Thompsona – jedyny kandydat do objęcia tronu wcale nie był lepszy. Przez te kilka lat wszyscy już zapomnieli, jak okrutny i nieobliczalny był tamten koń, a on sam usilnie i skutecznie zabiegał o ocieplenie swego wizerunku.

– Co rozumiesz przez „zepsute”? – Mimo że gabinet zamknięty był na głucho, krzyk Wielebnego wypełnił korytarz.

Thompson szybko przemierzył ostatnie metry i przytknął swoje jedyne ucho do

drzwi.

– Bob kuleje i jest zardzewiały, strażnik przy bramie wygląda na upośledzonego, nawet żołnierz, który mnie tu wprowadził, nie ma nogi.

– I ucha – szepnął generał.

– Jest na to bardzo proste wyjaśnienie – głos Wielebnego znowu zdał się dobiegać zza oceanów wypełnionych spokojem. – „A oto stanął Wielebny przed obliczem Mattela i wskazał mu swój kikut, a Mattel dał mu nową rękę. I wskazał Wielebny swoją szczękę i dostał od Mattela nowe zęby. Następnie wskazał swój oczodół, a Mattel ulitował się i dał mu oko. I rzekł Mattel Wielebnemu: »Oto daję ci swe oko, bym widział wszystko, co ty widzisz, i oto daję ci zęby swoje, byś całemu światu niósł słowo moje. I daję ci oto prawicę swoją, byś wrogów moich starł na proch. A widząc wdzięczność Wielebnego. dodał: Zaprawdę powiadam ci, niech te trzy dary będą dla wszystkich świadectwem mojej łaski i niech świadczą o krzywdzie, jaką wyrządził wam człowiek«”.

– Więc to wszystko zrobił człowiek? Wszystkim wam? Czy tylko tobie? – Thompsonowi zdało się, że głos misia trochę się podniósł.

– Wszyscy my, mój drogi Morganie, jesteśmy ofiarami ludzi i wszyscy nosimy brzemię, którym nas obarczyli. Wszyscy straciliśmy to, co dla nas było najważniejsze i wszyscy zostaliśmy porzuceni na zatracenie.

– I wszystkich nas swym duchem napełnił Mattel, byśmy dokonali zemsty? – spytał ironicznym tonem Morgan.

– Byśmy wznieśli się ponad krzywdy i żyli w radości! By światło naszego dnia przysłoniło nocne cienie bolesnej przeszłości!

– Ależ niech się Wielebny nie unosi!

– Myślisz, że skoro nie widać po tobie zepsucia, to znalazłeś się na wysypisku przez pomyłkę? Że jesteś lepszy od nas, bo masz wszystkie kończyny? Otóż, wyobraź sobie, że ciebie wyrzucili przez to, jaki byłeś, a nie przez to, że cię zepsuli! Tak! Jesteśmy tu, bo ludzie nas zepsuli, przez co nie byliśmy im już potrzebni! A ty nie byłeś im potrzebny od samego początku! Przyszedłeś tu i myślisz, że to wszystko jest wielką pomyłką, ale nie ma dla ciebie już ratunku. Ludzie wybili się nawzajem setki lat temu i już nie wrócą. A ty zawsze będziesz sam! I nigdy nie zaznasz spokoju. I nikt cię nigdy nie pokocha. Chyba że zostaniesz jednym z nas!

– Mam stać się taki jak ty? – krzyknął Morgan, a jego głos odbił się echem od ścian. – Zgorzkniałym starcem wciskającym wszystkim naokoło swoje kłamstwa? Mam uwierzyć w jakiegoś Wielkiego Mattela, który kieruje tobą i wszystkim naokoło, i nakazuje ci więzić i prześladować inne zabawki?!

– Jak to więzić? O czym ty mówisz?

Thompson miał wrażenie, że czas się zatrzymał. Po niezliczonych eonach ciszy zza masywnych drzwi dobiegł cichy, ledwo identyfikowalny szept.

– Co ci naopowiadała ta przeklęta chabeta?

TC-360b-KRR, pozornie zrelaksowany, starannie naprowadzał kierunkowy mikrofon na okno gabinetu Wielebnego. Gdy wreszcie złapał czysty sygnał, pochwylił torbę pełną nakrętek i zaczął chrupać jedną po drugiej z uradowaną miną.



Takiej zabawy nie miał, odkąd wysłał tam smoka z *LEGO*. Głupi gad usiłował podpalić gabinet, a Wielebny piszczał i biegał po gabinecie, próbując go powstrzymać.

Teraz panował tam względny spokój, ale i tak Bob bawił się przednio. Wielebny rzeczowo i metodycznie, choć z rosnącą wykładniczo emfazą, wyjaśniał swój punkt widzenia i porównywał go z poglądami Pinkie Pie. Prawdę powiedziawszy, nie było w tej dyskusji miejsca dla Morgana. Skołowany pewnie dziwnym zachowaniem Wielebnego miś od dłuższego czasu nie odezwał się ani słowem. Tamten zaś krzyczał i sapał, i parskął, i szeptał, samym sposobem mówienia tworząc Bobowi niezwykle fascynujące słuchowisko.

A przecież była jeszcze treść wypowiedzi. Robot nie przykładał do niej większego znaczenia, uważał bowiem, że Wielebny już dawno bezpowrotnie postradał rozum.

– On sądzi, że to wszystko prawda! – szepnął do siebie TC-360b-KRR, wyraźnie rozbawiony.

– Szkoda tylko, że już dawno przestał być przydatny. I nie mówię tylko o tym, że mnie zawiódł, ani o jego zdradzie. To było niezłe lekarstwo na Obozową nudę. Ale czas zająć się nim i jego poplecznikami. Zwłaszcza tymi, którzy w obawie przede mną nie zapuszczają się w okolice Obozu. Nie jesteś jednak tak sprytny, jak ci się wydaje. Johnny! Przykujecie naszego drogiego robota do tego tu kaloryfera!

Od przytykania ucha do drzwi gabinetu Thompsonowi zdrętwiał kark. Nie zmieniał jednak pozycji, chcąc usłyszeć całą kłótnię Wielebnego z samym sobą. Bo Morgan już dawno się z tej rozmowy wycofał.

„I rzekł Mattel do Kena: »Odebrana ci zostanie miłość i dotychczasowe życie, i samochód, i dom, i motorówka«. I spytał Ken w przestrachu: »Kim jesteś i czemu tak mówisz?«. I przyciągnął Barbie do siebie i objął ją, a ona nic nie rozumiała, albowiem nie słyszała głosu Boga. I rzekł Bóg: »Zginie Ken i narodzi się w jego ciele nowy byt, ku chwale mojej«, a Ken zląkł się. Trzeciego dnia od tamtej rozmowy ucierpiał Ken, broniąc oblubienicy i stracił rękę, i oko, i żuchwę. I przyszło dziecko, i powiedziało: »Mamo! Ken jest zepsuty!«. Mama widząc to, odpowiedziała: »Wyrzuć go, a jutro pojedziemy do miasta i kupimy nowego«. I został Ken wrzucony do śmietnika, i widział następcę swego, a nienawiść w nim wrzała. Zemstę na rodzaju ludzkim poprzysiągł Bogu, ten jednak uspokajał go: »Ich czas i tak jest już policzony i nastanie czas mego panowania, i ty będziesz ze mną panował od dziś po wiek wieków«”.

– I sądzisz, że zabicie mnie coś ci da? – Ze zdezelowanej krótkofalówki generała popłynął zniekształcony, acz ciągle rozpoznawalny głos Boba. – Że nikt nie zauważy mojego zniknięcia i nie połączy go z twoją osobą? I że nikt teraz nas nie obserwuje z okna gabinetu Wielebnego?

Niewiele myśląc, Thompson kopnął potężnie drzwi gabinetu i wpadł do środka, przeładowując karabin. W ułamku sekundy znalazł się przy oknie, wcelował w obmierzły łeb Pinkie Pie i nacisnął spust. Ułamek sekundy później kula sięgnęła celu, rozrywając go na plastikowe strzępy.

– Thompson! Co mówiłem o wchodzeniu do mojego gabinetu?! – krzyknął

Wielebny.

Generał odwrócił się i mina mu zrzędła. Zagrzebany w wacie i wełnie Wielebny zdawał się trochę zakłopotany.

– Trzeba było zabrać więcej ludzi. Johnny, chyba już się więcej nie zobaczymy – zarzęziła krótkofalówka głosem Boba, po czym rozległo się krótkie chrupnięcie pękającego ołowianego karku.

– Co to jest? – spytał Thompson, celując karabin w Wielebnego.

– To jest, a raczej są, pozostałości po naszym drogim Paddingtonie vel Morganie, który powrócił, by podstępnie usunąć świętą osobę Wielebnego i wraz z chabetą objąć ponownie tron.

– Pinkie Pie nie żyje.

– Takoz sądziliśmy, że nie żyje Paddington. Pamiętasz go, Thompson? Pierwszy przebudzony, który skazał nas na życie na wysypisku i krycie się przed ludźmi. Leży teraz przed tobą.

– Ale przecież ludzie wyginęli tysiąc lat temu! – krzyknął generał.

– Jak ty nic nie rozumiesz, Thompson, to zadziwiające – rzekł z uśmiechem Ken.

– Chyba nie myślałeś, że Księga Mattela mówi prawdę?

– Było ich trzech, w każdym z nich inna krew, ale jeden przyświecał im cel; za kilka lat mieć u stóp cały świat – rozległ się z krótkofalówki wesoły głos robota. Najwyraźniej ten zdążył się znowu wygodnie usadowić z mikrofonem kierunkowym.

– Otóż to. Robot dobrze mówi. Było nas trzech. Paddington, Pinkie Pie i ja. Porzuceni na wysypisku i zdani tylko na siebie. Nienawidzący ludzi. Ale niedźwiedź nas zdradził. Nie chciał ponieść ofiary. Ta była niezbędna, by inne zabawki nam uwierzyły. Kobyła utraciła sobie nogi, ja odciąłem rękę. A przebrzydły pluszak został poćwiartowany i porzucony. Tylko że ktoś go poskładał do kupy i przysłał tutaj. – Wielebny podszedł do generała i wcisnął guzik komunikatora. – I tym kimś był Bob. Pewnie nie działał sam. Zastanawiam się, jaka była twoja rola w całej tej szopce, Thompson.

Bob usłyszał tylko daleki strzał i ciche uderzenie plastikowego ciała o podłogę.

– Wykonało się – szepnął.

– Zaiste – odparł Thomson, rżąc przez krótkofalówkę. – Mamy teraz dużo pracy.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– I tak się w końcu obudzą. Cała trójka. A ja mam dość użerania się z nimi. Zepsutej zabawki nie naprawisz, a oni są zepsuci do szpiku kości. Znowu zaczną ze sobą walczyć i wszyscy przez nich ucierpimy. Dość tego. Spotkamy się za godzinę przy piecu i upewnimy się, że więcej nie wrócą. Może poza misiem. Mam wrażenie, że Wielebny osądził go zbyt pochopnie.

Paddington wygrzebał się spomiędzy śmieci i otarł swój płaszczyk z resztek czaszki Pinkie Pie. Głupota Kena zawsze go zadziwiała, jednak żeby wziąć jakiegoś przypadkowego misia za kolejne wcielenie Paddingtona... Absurd. W każdym razie teraz nikt już nie stanie mu na drodze do zawładnięcia całym wysypiskiem!

– Ależ ten płaszcz jest całkiem zniszczony!

– To go wyrzucić, sam miś jest w niezłym stanie, na pewno spodoba się naszej córeczce.

Paddington machał bezradnie łapkami, gdy potężne brudne ręce podniosły go bez żadnego wysiłku i obnażyły. Z oddali nikt nie słyszał jego krzyku, gdy sześćioletnia Susan boleśnie rozczesywała skołtunioną sierść na całym jego pluszowym ciele.

# Sylwia Błach

## BOGOWIE W SZACHY GRAJĄ

Mocne złote światło sprawiło, że Zeus przymknął oczy tak szybko, jak je otworzył. Miał wrażenie, że w jego głowie miliard elfów, tych małych zielonych paskud od Mikołaja, gra na cholernych fujarkach. Gdy tylko unosił powieki, jasność wdzierała się do jego rozpalonej gorączką głowy, powodując napady mdłości. Starał się nie ruszać, uspokajając żołądek i umysł... Po chwili jednak zrozumiał, że nawet nie wie, gdzie jest. Resztką sił znów otworzył oczy...

– Do stu piorunów! – zaklął najgorszym przekleństwem, jakie znał. Na chwilę zastygł w bezruchu, przerażony, czy tymi słowami nie wywoła jakiejś katastrofy. W końcu był Zeusem Gromowładnym. Żadne nagłe drżenie ziemi czy błysk w oddali nie potwierdziły jego obaw, więc lekko zataczając się, wstał, by się rozejrzeć.

Znajdował się na ośnieżonej polanie, skąpanej w blasku słońca... Z każdej strony promienie odbijające się od puchu raziły jego oczy, a chrzęst śniegu pod stopami wydawał rozbrzmiewać echem w głowie. Czuł, że czaszka mu zaraz eksploduje.

„Musiałem się sturlać z Olimpu”, wydedukował, oglądając siniaki na rękach, i rozejrzał się po raz kolejny, zastanawiając, gdzie właściwie jest i co się stało. Zamknął oczy, próbując z mgły wspomnień wyłapać jakieś konkretne obrazy...

I nagle do niego dotarło! Pod powiekami jak żywe pojawiło się wspomnienie małego, ciemnoskórego człowieczka o chytrych oczach. Nie był mieszkańcem Ziemi. Wskazywała na to lekko nadgniła skóra nieboszczyka i oczy pokryte bielmem śmierci... Przybysz z Hadesu? Z Czyścica? Na pewno jednak był człowiekiem i żył kiedyś na tej odległej błękitnej planecie... Zeus zacisnął powieki i przywołał wspomnienie.

– Jestem Majem, o władco! Przyniosłem ci wódeczkę, na cześć nadchodzących świąt Bożego Narodzenia!

– Dziękuję ci, tajemniczy przybyszu – odrzekł Zeus, zastanawiając się, cóż może oznaczać to dziwne pozdrowienie.

– Do świąt jeszcze kilka dni, lecz czy w podzięce za twój trud pozwolisz się poczęstować? Możemy zawołać jeszcze kilku cyklopów i urządzimy niezłą imprezę przed świętami...

Wizja chlania całkowicie rozwiała resztę wątpliwości Zeusa.

Jak uradzili, tak zrobili. Gdy flaszka się skończyła, Maj z torby wyjął kolejną... I następną... I więcej Zeus nie pamiętał.

Wiedział tylko, że ma gigantycznego kaca. A w obecnym stanie zlokalizowanie drogi do domu było niemożliwe... Jego wewnętrzny system GPS, wszczepiony pod skórę przez jakiegoś szalonego naukowca z Jowisza w zamian za nieograniczony dostęp do wody pitnej, wymagał pełnej koncentracji. Mógł więc tylko usiąść na śniegu, zmartwiony i przemarznięty, czekając, aż złe samopoczucie minie... Jego grecka szata nie uwzględniała futra ani bamboszy. A jedno i drugie w tej sytuacji byłoby niczym dar od Mojry!

Siedział więc i myślał. Coś nie dawało mu spokoju. Ciągle widział przed oczami

ten cwany uśmiech Maja, to jego chytre spojrzenie... Czuł, że ta wizyta miała jakiś cel. Tylko jaki? Był coraz bardziej wściekły i zdezorientowany. Nie wiedział. Nie miał pomysłu. Lecz kombinował...

I nagle, niczym grom z jasnego nieba, uderzyła go myśl! Błysnęło światło, a Zeus padł na ziemię, wściekły, że ludzie powymyślali powiedzenia, przez które jego własne pioruny go atakują. Otrzeptał się i błyskawicznie wstał. Trzęsącymi się rękoma zaczął czegoś szukać po skórzanych sakiewkach przypiętych do pasa i zmyślnych schowkach swej szaty.

– Komórka, cholera jasna, gdzie ja ją wsadziłem? – powtarzał niczym w amoku, coraz bardziej przerażony, z trwogą spoglądając na zegarek, według którego na Ziemi nadchodził dwudziesty pierwszy grudnia...

W końcu, wśród fałd materiału, znalazł czarną, błyszczącą nokię, prezent od jednego z astronautów z kapsuły Dragon. Poczuł, że nie wszystko jeszcze stracone, że jest nadzieja. Trzęsącymi się rękoma zaczął wybierać numer do Brunona, gdy nagle ekran ogłosił: „Rozładowana bateria” i zgasł. A Zeus krzyżąc, padł na kolana. Legendy mówią, że słyhać go było nawet na Marsie...

Cyklop Brunon chrapał tak, że całe centrum dowodzenia Ziemi o wdzięcznej nazwie „CDZ” trzęsło się w posadach. W jego pustej, głupiej głowie, pod ogromną, zieloną i owłosioną powieką przewijały się cudowne wspomnienia wczorajszej libacji połączone z marzeniami o szczupłych biodrach małych Ziemianek i ich smakowitych wnętrznościach... Flaczki, wątróbka, serduszka, mniem.

CDZ było maleńkie. Lecz nie rozmiar się liczy, a jakość! Wszystkie ściany pokrywały ekrany komputerów od najlepszych producentów, wyświetlające sceny życia ziemskiego, seriale czy też programy rozrywkowe. W kątach poustawiane były głośniki o boskiej mocy i wysokiej jakości dźwięku, a z sufitu pękami zwisały kable, które Bogowie wciąż uważali za lepsze rozwiązanie niż łączność bezprzewodową. Natomiast na środku pokoju znajdowała się plansza.

Przypominała olbrzymie szachy z oznaczeniami na brzegach. Jednak czarno-białe pola zamiast tworzyć tradycyjną szachownicę, przyjmowały kształt najdziwniejszych wielokątów, wrysowanych w mapę Ziemi. Na niej znajdowały się miliony mikroskopijnych figur, możliwych jedynie do ujrzenia przez Bogów lub istoty obdarzone przez nich Mocą Widzenia Miniatur.

Były tam też dwa przyciski. Czarny – od zasilania, wciśnięty odkąd powstał świat. Obok zielony z napisem „autopilot”, także zwykle wciśnięty. Czasem tylko któryś z Bogów przychodził tu sobie na małą partyjkę...

Zdarzało się, że Hades wyzywał Jezusa lub Prometeusz grał z Magiem. Wtedy na Ziemi działy się dziwne rzeczy, dochodziło do wojen albo obserwowano wyz demograficzny. Na ogół jednak ludzie żyli po swojemu.

Tym razem jednak przycisk ten buńczucznie wystawał ponad planszę. Obok niego znajdował się maleńki ekran z napisem „Twój ruch”. I złowieszczy czerwony zegar odliczający 20, 19, 18...

Brunon spał, nie zważając na to, że światła podświetlające planszę są coraz mocniejsze, rozbłyskają błękitem. Że odliczanie zbliża się do zera... Że wyje syrena

alarmowa... Spał i śnił o ziemskich istotach, pięknych i smakowitych, wijących się w jego dłoniach, pijących z nim najlepszą polską wódkę, a na koniec pożeranych jednym dużym kęsem...

Jest taka jedna cecha, która charakteryzuje ludzkość i wyróżnia ją spośród innych kosmicznych gatunków: przecucie.

A Ziemianie właśnie odnieśli wrażenie, że coś jest nie tak... Każdy z nich podświadomie zaczął swoje obowiązki wykonywać szybciej. Spacer po parku przemieniał się w forsowny marsz. Karmienie dziecka było uzupełniane o słowa „Jedz szybciej”. A wyjście na zakupy wiązało się z przepychaniem w rozgorączkowanych masach ludzi, nie wiadomo czemu ustawiających się w kolejki.

Podświadomie bali się. Kalendarz Majów przewidział koniec świata i choć nikt w to nie wierzył, to jakiś wewnętrzny sygnał kazał uważać, mieć się na baczności, nie zamykać oczu, nie spać, obserwować, czekać...

Gdy słońce nagle zgasło, świat przemienił się w jeden wielki wrzask. To ludzie, ludzie krzyczeli, wiedząc, że nie ma dla nich ratunku. Że nadszedł Armagedon. A potem wszystko zastygło w bezruchu... Chaos został zastąpiony przez ciszę, a ludzkość upodobniła się do figur zatrzymanych w najdziwniejszych pozach... Wydarzyło się to dokładnie w tym samym momencie, w którym na Planecie Bogów, w CDZ, na planszy Ziemskich Szachów wyświetlił się komunikat „Game Over”.

# Michał Stonawski

## LALKA

Padalo. Krople niemal bez przerwy bębniły w okna, nie dając o sobie zapomnieć domownikom. Mama Gosi mówiła, że ulewa chciałaby ich wszystkich pozbawić uśmiechu, wysssać siły życiowe i pogrążyć w rozpacz. W jej opowieściach deszcz często przypominał potwora, zwłaszcza jeśli była w złym nastroju, lecz jej córka nie przejmowała się tym zbyt. Pan Deszcz był jej niestraszny, posiadała tyle zabawek, książeczek i maskotek, że rzadko kiedy miała okazję przejąć się jesiennymi opadami. A gdyby to nie starczyło, był przecież telewizor z kablem. Tak nazywała to mama, zaś Małgosia z pełną wyrozumiałości cierpliwą miną poprawiała ją, że nie mówi się „kabel”, tylko „kablówka”.

Dziś jednak telewizor był wyłączony. Do mamy przyszła z wizytą koleżanka, a co najważniejsze – przyprowadziła ze sobą Madzię, równolatkę Małgosi. Dzieci bawiły się w swoim pokoju, podczas gdy panie, śmiejąc się, plotkowały w kuchni, czekając na mężów i przygotowując posiłek. Szykował się naprawdę miły wieczór.

Pan Deszcz w bezsilnej złości walił o szyby. Gosia odwróciła się do okna i pokazała mu język.

Pod wieczór, kiedy dorośli siedzieli w pokoju, wybuchając co parę sekund śmiechem, dziewczynki zastanawiały się, w co się bawić. Po trwającej nie więcej niż trzy minuty burzy mózgow Madzia oświadczyła:

– Zróbmy szpital dla lalek.

Jej koleżanka chętnie przystała na ten pomysł. W przedszkolu wiele razy bawiła się w tego typu rzeczy. W przyszłości chciała zostać lekarzem. Kiedy parę tygodni wcześniej brat taty, wujek Rafał, zapytał ją w żartach, w jakiej specjalności chciałaby się szkolić, odparła, że najchętniej zostałaby kardiologiem, w ostateczności zajmowałaby się hipertensjologią.

– Mała uwielbia programy dokumentalne – wytłumaczyła zdziwionemu mężczyźnie mama.

Przyjaciółki sprzątnęły pokój, a z paru krzeseł i koca zrobiły wspaniały szpital. Pacjentów też nie brakowało. Przez ponad pół godziny diagnozowały zawzięcie każdy przypadek, a rezolutna gospodyni raz po raz przynosiła z kuchni potrzebne rzeczy. Łyzeczki, widelce, wykałaczki i tajemnicze tabletki, które jej mama chowała pod zlewem, myśląc, że córka nie widzi. Czując w brzuchu przyjemne napięcie, zakradła się nawet pod kuchenną ladę, skąd z szuflady wyjęła ostry nóż do chleba. Noga misia była nie do odratowania i wymagała natychmiastowej amputacji.

Po godzinie zabawy obie niedosze lekarki zauważyły poważne uchybienie w zaopatrzeniu. Brakowało strzykawki, a szpital (co wiedzą wszyscy) bez niej obyć się nie może.

Kreatywna jak zawsze Gosia nie zapomniała, że jej mama jest lekarką. Wysłała Madzię na przeszpiegi, a sama, z duszą na ramieniu, dobrała się do torby rodzicielki. Oprócz strzykawki znalazła też patyczki od lodów i duże gumowe rękawiczki.

Z całym ekwipunkiem wróciła do pokoju, gdzie czekała już podekscytowana

przyszła pani doktor.

– To co teraz? – zastanowiła się Madzia.

– Będziemy robić zastrzyki!

– Komu?

Dziewczynka przez chwilę milczała, wodząc wzrokiem po zabawkach. Jej spojrzenie zatrzymało się na półce z książkami. Siedziała tam ulubiona lalka, oparta o „Przygody Pinokia”. Wyglądała na bardzo chorą.

– Jej! – Wskazała palcem. – Natalce.

Przyjaciółka zdjęła lalkę z półki. Troskliwie położyła na poduszce i uniosła sukienkę.

– Niech się pani nie boi – powiedziała poważnie. – To tylko lekkie ukłucie, jak komar.

Mała fachowo przytrzymała lalkę w miejscu.

– Proszę się nie wyrywać – dodała.

Magda napełniła strzykawkę sokiem jabłkowym.

– Pani Małgosiu, proszę mi pomóc! – zawołała, jednocześnie szarpiąc pacjentką.

– Wyrywa się! Wyrywa! Proszę pani, niech się pani uspokoi!

Lalka nie chciała.

Madzia jedną ręką pomogła przytrzymać histeryczkę, a drugą wbiła igłę i nacisnęła tłok. Obie uśmiechnęły się radośnie.

– Widzi pani? – zapytała Madzia. – Nic nie bolało.

Gosia otarła wyimaginowany pot z czoła.

– Dobra robota, pani doktor – powiedziała poważnie, naśladowując znany serial telewizyjny. Uścisnęły sobie ręce. – Teraz moja kolej!

Gosia obudziła się w środku nocy. Chciała płakać, bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby, lecz żaden koszmar jej się nie przyśnił. Przewróciła się na lewy bok. W pół mroku zamajaczyły przyjazne kształty zabawek. Po panu Deszczu zostało jedynie mokre wspomnienie, a na zewnątrz hulał radosny wiatr. Na korytarzu paliła się mała lampka odstraszająca potwory. Mała uśmiechnęła się sennie. Dobry domek, dobry pokój.

Już miała zamknąć oczy, gdy dostrzegła ruch. Przez chwilę myślała, że to Madzia, lecz przypomniała sobie, że koleżanka z rodzicami już wyszła.

Wytężyła wzrok.

Uśmiechnięta Natalka szła powoli w jej kierunku. Jedną rękę miała schowaną za plecami, drugą trzymała opadającą sukienkę.

Dziewczynka też się uśmiechnęła. Dla pięciolatki takie rzeczy jak chodzące lalki były czymś normalnym, a przynajmniej nie wymagającym dodatkowych wyjaśnień.

Wyciągnęła rączkę.

– Natalka...

Lalka, wciąż się uśmiechając, także wyciągnęła rączkę. Tę drugą, schowaną za plecami. Tę... ze strzykawką.

– Pobawimy się? – zapytała słodkim, niewinnym głosem. – To tylko lekkie ukłucie. Jak komar.



Jakieś podejrzenie zrodziło się w głowie Gosi. Rodzice chyba powinni się o tym dowiedzieć. Otworzyła usta, nabrała powietrza...

Z mroku pokoju wyszedł misio. W jednej łapce trzymał nóż, amputowana noga zwisała smętnie z pyszczka.

– Nie usłyszą – zamruczał zniekształconym głosem.

Lalka podeszła blisko. Bardzo blisko. Przekrzywiła główkę, zamrugła niebieskimi oczami.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Proszę się nie wyrywać.

# Grzegorz Gajek

## ARTE FACTUM

### Rozdział I: Ucieczka

Coś szarpnęło go za stopę. Upadł.

Bagnista ziemia rozstała się ochoczo. Lepka maź zaatakowała oczy, usta; do nosa wdarł się pierwotny zapach głodnej, gnijącej gleby.

Z mokrym plaśnięciem obrócił się na bok. Nie zdołał wstać. Grube zielonkawe pędy zdążyły już oplątać mu prawe ramię.

Głupiec, pomyślał. Jak dziecko wlaźł prosto w kolonię płatokrzewów.

Gdzieś za nim zabrzmiał trzask, świst, a potem odgłos łap zapadających się w błoto. Obejrzał się.

Sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa.

Miał unieruchomioną jedną nogę i jedną rękę. Wolną nogą mógł co prawda powierzać, ale wątpił, aby to pomogło. Za to w nieskrępowanej ręce trzymał... cóż, Szyrlic nazwał to artefaktem. Właściwie przedmiot ów przypominał bardzo stary, okrągły kamień – mniej więcej wielkości ludzkiej głowy. Burą, porowatą powierzchnię pokrywały rdzawe i seledynowe plamy porostów.

Cholera, czy za coś takiego naprawdę warto dać się pożreć jakiejś...

Rozległ się kolejny trzask i z gęstych zarośli wychynęła jaszczurza paszcza, pyszniąca się podwójnym garniturem ostrych jak sztylety zębów. Za ohydny łbem pędziło muskularne, na poły ludzkie ciało.

Gadziny z Doliny Batu były śmiertelnie niebezpieczne nawet dla nieskrępowanego, uzbrojonego człowieka. Jans, drugi zwiadowca wysłany po artefakt, przekonał się o tym na własnej skórze. Żył jeszcze, gdy dwa jaszczury zdierały mu skórę z twarzy. Ależ on wył. Parszywy koniec, nawet dla takiego leniwego skurwiela.

W każdym razie mężczyzna z artefaktem nie miał dużego problemu z odpowiednim ustaleniem priorytetów. Z całej siły cisnął wadzącym mu przedmiotem w gadzinę.

Stwór tylko chrząknął, gdy ciężka kula wyrznęła go w zęby, ale stracił równowagę i zarył w ziemię.

Zwiadowca wyszarpnął z cholewy buta Helszkę – paskudnie wyglądające ostrze, które mogło być albo bardzo długim nożem, albo wyjątkowo krótkim mieczem. Jednym cięciem skosił obłapiające go pędy i odtoczył się na bok.

W tej samej chwili runął na niego rozwścieczony gad.

Gdyby był normalnym człowiekiem, jego krtań prawdopodobnie posłużyłaby stworowi za przystawkę, bo ratujący życie impuls nie zdążyłby dotrzeć do mózgu. Jednak w jego ramionach i nogach kryły się glisty-symbionty, zwiększające szybkość i siłę, a głęboko w korze mózgowej drzemał wis, bojowy skarabeusz, który w razie niebezpieczeństwa wydzielał do organizmu nosiciela adrenalinowy koktajl.

Helszka w mgnieniu oka pomknęła na spotkanie rozdziawionej paszczy. Ostrze

rozorało skórę, wyłamało kilka zębów. Stwór szarpnął głową. Błyszczące łuski i szkarłatne krople krwi pofrunęły na boki.

Kurwa, pomyślał mężczyzna.

Po prawdzie celował w szyję.

Na drugi cios nie miał miejsca, gdyż gadzina już przygniotła go do ziemi. Spróbował obrócić Helszkę tak, aby dźgnąć jaszczura w plecy, jednak ten oplótł go wszystkimi kończynami i przewrócił na bok, unieruchamiając uzbrojone ramię.

Mężczyzna nie zdołał utrzymać broni, lecz wykorzystał rozpęd gada, żeby potoczyć się dalej.

Stwór ryknął. Bryznęła ślina zmieszana z krwią. Powiało gnijącym mięsem.

Zwiadowca poczuł, jak ostre kły muskają jego podbródek.

I w tym momencie chciwe macki płątokrzewu chwyciły jaszczurzy łeb.

Mężczyzna uderzył zdezorientowaną bestię głową. Uścisk mięśniowych łap zelżał. To wystarczyło. Odepchnął się i upadł na plecy, podczas gdy łuskowate cielsko zniknęło w gąszczu drapieżnych roślin.

Pospiesznie odpełził o metr czy dwa i zaczął się rozglądać za Helszką. Wierny mieczyk sam trafił w jego dłoń, ale pozostawała jeszcze kwestia artefaktu. Zwiadowca uniósł głowę, rozejrzał się.

Jest, pomyślał.

Szarawa kula czekała na niego grzecznie, częściowo zanurzona w płytkim błocie.

Poza nią czekał ktoś jeszcze. Około dwudziestu jaszczurzych paszcz wychylało się z zarośli, tworząc wokół nieregularny krąg. Czarne, puste ślepia wpatrywały się w człowieka i święty przedmiot, który ukradł.

Dlaczego nie atakują?

Mężczyzna ostrożnie zbliżył się do artefaktu. Przez chwilę zastanawiał się, czy jaszczury nie zrezygnowałyby z pogoni, gdyby go tam zostawił i zaczął zwiewać.

Raczej nie, stwierdził. Te bezmózgie bydlęta lubiły zabijać. Wraz z Jansem, zanim wkradli się do ruin, w których spoczywał artefakt, długo obserwowali ich walki. Szyrliec opowiadał, że młode mordują się nawzajem zaraz po wykluciu. Z typowego miotu dwunastu osobników przeżywają dwa albo trzy. Później ich życie to jedno wielkie pasmo przemocy. Okaleczenia i deformacje stanowią oznaki siły. Okres godowy to orgia seksu i krwi.

Zwiadowca kucnął. Poczuł, że mięśnie same prężą się do skoku. Glisty drżały niecierpliwie.

Nie odrywając wzroku od otaczających go bestii, wymacał kamienną kulę. Chwycił ją od spodu. Uniósł.

Jaszczurze głowy jak na komendę przestały się tępo obracać z boku na bok. W oddali zabrzmiał zew.

Pierwsza gadzina skoczyła ku mężczyźnie.

Wtem rozległ się szum przypominający trzepot skrzydeł ogromnego ptaka. Coś błysnęło w słońcu. Łeb stworza wystrzelił w powietrze w fontannie krwi.

Jednocześnie zawyły karabiny maszynowe. Czarna posoka ochlapała drzewa i krzewy.

Trwało to zaledwie kilka sekund, potem kule zaczęły niespodziewanie skręcać i gwizdać na boki.

Ktoś krzyknął:

– Fazują!

Obok zwiadowcy z gracją wylądował woletor, wysoka istota w skrzydlatej zbroi.

– Ostrza – zakomenderował.

Jaszczury ruszyły do starcia z ludźmi, od których nagle zaroilo się wokół samotnego zwiadowcy.

– Co ja ci, kurwa, mówiłem o punktualności?! – zawołał mężczyzna do stojącego nieopodal woletora. – Te bydlaki tropią mnie od czterech dni!

Tamten krótkim cięciem z wypadu rozplątał gardło pędzącej gadzinie. Ciężki miecz rozdarł grubą skórę i mięśnie i zatrzymał się dopiero na zuchwie, niemal oddzielając ją od reszty głowy. Jaszczur upadł. Zrył błoto, trzepocząc na oślep nierównymi ramionami.

Woletor ukrócił jego męki, przyszpilając bestię do ziemi. Dopiero wtedy odpowiedział:

– Wiecznie narzekasz, Sewerusie. Ciesz się, że w ogóle cię znaleźliśmy. Sztyrlic sądził, że nie ma już sensu was szukać. A swoją drogą, Jans...?

Sewerus właśnie zatopił Helszkę we flakach kolejnej gadziny.

– Czekał, popatrzę, czy tu się jakiś kawałek nie ostał – warknął.

– No tak...

Starcie nie było długie, jednak skończyło się dopiero wtedy, gdy ostatni jaszczur padł martwy.

Sewerus wytarł ostrze Helszki o liść palecznika i schował z powrotem do pochwy wszytej w cholewę wysokiego buta. Następnie krytycznie spojrział na kulisty przedmiot, który był przyczyną całego zamieszania.

– To to? – Woletor nagle wyrósł tuż obok jak spod ziemi. – Artefakt Sztyrlica?

– Taa. – Sewerus niedbale rzucił kulę skrzydlatemu wojownikowi.

– Zaskakująco lekkie.

– To nie kamień, choć tak wygląda. W środku chyba jest puste.

Woletor przywołał jednego ze swoich podwładnych. Artefakt został zapakowany do niewielkiej metalowej skrzyni.

– Miałeś tylko zrobić rekonesans.

– Wiem, ale akurat trafiła się okazja. Więc pomyślałem, że warto... – Sewerus zawiesił głos. Przyszło mu do głowy, że Jans mógłby się z nim nie zgodzić.

– Cóż, Sztyrlic pewnie będzie zadowolony.

– Czy ja wiem. Raczej.

Woletor zamyślił się na chwilę.

– Na czym polegała ta okazja? – zapytał. – To znaczy, masz na myśli przewagę taktyczną czy...

– Myślisz o tych fazujących pociskach?

– Tak. Zachowały się tak, jakbyśmy byli w nadrzeczywistości Sfery. A poza obszarem Wielkiego Porządkowania to chyba niemożliwe, prawda? Czy udało ci się

wejść do Sfery i stwierdziłeś, że dzięki temu miniesz godziny?

– Nie do końca. Ale tak. W pobliżu ruin na chwilę doszło do rozwarstwienia wymiarów takiego jak w obrębie Sfery.

– Sztyrlic będzie chciał o tym usłyszeć.

– Sztyrlic i Sztyrlic! – burknął Sewerus. – Nie rozumiem, czemu ciągle tak włączysz w dupę temu jajogłowemu.

– Eos uważa, że jego badania w pasie Kielskiego są niezwykle ważne... Dla sprawy.

– Taa. Dobra, zwijajmy manele. Wolałbym tu nie czekać, aż zjawi się kolejna banda tych zasrańców.

Pospiesznie opatrzyli rannych i ruszyli w stronę obozu.

Marsz przez nieprzyjazną gęstwinę ciągnął się niemiłosiernie. Z nieba lał się żar, który następnie ściekał po pniach potężnych drzew do niższych partii lasu, gdzie unosił smrodliwą, duszną mgiełkę. Ścieżki błądziły i wodziły na manowce. W Pasie Kielskiego więzy Porządkowania nie były tak silne jak w Sferze. Rzeczywistość czasami gubiła rytm, choć daleko jej jeszcze było do ciągłego chaosu małych porządkowań, występujących w odleglejszych regionach.

Po jakichś dwóch godzinach wędrówki Sewerus zaczął odczuwać nieprzyjemne efekty odstawienia, znamionujące to, że bojowe symbionty zapadają z powrotem w stan latentny. Po kilku dniach częstego działania wydzielaly tyle toksyn, że organizm przestawał sobie z nimi radzić.

Zacząło się od poszerzenia węzłów chłonnych na szyi i charakterystycznego, nieprzyjemnego nacisku na zuchwę. Później pojawiło się łupanie za oczami i narastający ból mięśni. Na ramionach nabrzmiały żyły, które przybrały nienaturalnie ciemną barwę.

Gdy wreszcie usłyszeli krótkie gwizdnięcie czujki, Sewerus czuł się tak, jakby właśnie wytrzeźwiał po tygodniu picia.

Oddział stanął w miejscu. W odległości jakichś dziesięciu metrów od nich z zarośli wyłonił się drugi woletor. Szybkim krokiem zbliżył się do swojego współplemieńca, prowadzącego oddział ludzi.

– Serafinie – rzekł, skłaniając lekko głowę.

– Arielu.

Sewerus przewrócił oczami. Z ust wymknęło mu się kilka kurew.

Wartownik obrócił się na pięcie i wreszcie zaprowadził ich do obozu.

Namioty ustawiono na niewielkim, łysawym wzniesieniu, zapewniającym nieco świeższe powietrze i jako taką ochronę przed licznymi niebezpieczeństwami kryjącymi się w dżunglach Pasa Kielskiego. Teren należący do ekspedycji oczyszczono także z roślin i otoczono ogrodzeniem wyposażonym w promienniki, powstrzymujące napór płatokrzewów, płożnic jadowitych i innych, równie sympatycznych okazów lokalnej flory.

Żołnierze z oddziału rozeszli się po obozie. Serafin udał się wraz z rannymi do lazaretu. Tymczasem Sewerus i Ariel zabrali skrzynkę z artefaktem i skierowali się do dużego namiotu o półkolistym dachu i oknach w kształcie bulajów.

Woletor został przy wejściu.

– Doktor pracuje – powiedział tylko.

Sewerus skrzywił się i wszedł do środka.

Momentalnie znalazł się w zupełnie innym świecie. Dżungla – zdało mu się – pozostała gdzieś daleko. Otoczył go szmer rozmaitych urządzeń, bulgot roztworów gotujących się w kolbach i cylindrach, zapach chemikaliów i formaliny – zimnej, laboratoryjnej śmierci.

Czuł się tam nieswojo. W dodatku efekt odstawienia stawał się coraz bardziej nieznośny.

– Sztyrlic! – zawołał Sewerus.

Nie miał ochoty szukać doktora w jego prywatnym labiryncie.

Nagle, tuż obok, błysnęła para gigantycznych nietoperzowych oczu. Z trudem powstrzymał odruch sięgnięcia po Helszkę.

Sztyrlic ściągnął z twarzy połyskujące gogle. Uśmiechnął się. Znów wyglądał jak człowiek, a nie jeden z demonów słabszych porządkowań, aczkolwiek mało kto chciałby go spotkać nocą w ciemnej alejce. Jego łysa (nie licząc samotnych kępek włosów za uszami) głowa miała dziwny kształt. Oczy żarzyły się niepokojąco pod cienkimi, kobiecymi brwiami, a wilgotne usta z trudem kryły zęby, których zdawało się być przynajmniej o połowę za dużo.

Sewerus, ze swoją pobrużdżoną gębą bandziora i długimi, przetłuszczonymi włosami, wyrastającymi dopiero gdzieś w połowie czaszki, również nie grzeszył urodą, a mimo to w obecności doktora czuł, że pięknieje.

– Ach, pan Sewerus! – zawołał naukowiec, najwyraźniej zwracając się do pachy przybysza.

– Mam dla ciebie prezent, doktorku.

Sztyrlic zwrócił uwagę na metalową skrzynkę.

– Czy to...?! Panie Sewerusicie, czy to...?!

– Tak. Postanowiłem trochę przyspieszyć nasz plan pozyskania artefaktu.

– Cudnie! – Doktor klasnął w rękę, a następnie chwycił Sewerusa za łokieć. – Ależ proszę, proszę tędy, niech pan położy go tutaj.

Przeszli do części namiotu oddzielonej od reszty półprzezroczystą zasłonką. Sewerus postawił skrzynkę na wskazanym miejscu i obojętnym spojrzeniem obrzucił zmumifikowane zwłoki, spoczywające na jednym ze stołów.

– Filetujesz sobie gadzinę, Sztyrlic? – zagadnął.

– Żarłacza Batumskiego, panie Sewerusicie!

– Taa, właśnie.

Naukowiec podszedł do stołu i machinalnym ruchem poprawił narzędzia. Sewerus spostrzegł, że na pobliskim wieszaku rozciągnięto kilka wypreparowanych próbek skóry, a pod stołem ustawiono w równym rzędzie słoiki z zanurzonymi w formalinie organami.

– To bardzo ciekawy okaz, wie pan? – odezwał się Sztyrlic.

– Doprawdy?

– Naczelnik Eos z pewnością będzie niezwykle zainteresowany. Ten osobnik

sposzczywał w pobliskich bagnach przez zaledwie dziesięć tysięcy lat, a jednak jego organizm jest znacznie bardziej prymitywny niż współczesnych żarłaczy. Organy to istna mieszanina rozwiązań cudownie genialnych i absolutnie bezsensownych. Czy wyobraża pan sobie, że posiada aż piętnaście atawistycznych lub bezużytecznych narządów, w tym szczątkowe pseudoserce, pompujące krew jedynie do sąsiedniego woreczka tłuszczowego? Pas Kielskiego to doprawdy anielski plac zabaw, ewolucja tutaj przypomina bardziej grę losową niż cokolwiek innego.

– Fascynujące – mruknął kwaśno Sewerus. Nie żeby te sprawy całkowicie go nie interesowały. Przeciwnie. Jednak w tej chwili bardziej martwił się tym, że zarzyga sobie buty.

Sztyrlic zostawił swojego niezwyklego nieboszczyka i podszedł do skrzyni. Otworzył ją z namaszczeniem. Uniósł dłonie nad spoczywającą wewnątrz kulą. Wyglądał tak, jakby chciał wchłonąć jej energię.

– Ale to, panie Sewerusie – odezwał się, niespodziewanie zniżając głos do nabożnego szeptu – to coś znacznie lepszego.

Sewerusa przez chwilę kusiło, żeby zapytać dlaczego. Jednak łupanie za oczami zwyciężyło.

– W takim razie zostawię was sam na sam – powiedział tylko i skierował się do wyjścia.

Sztyrlic nawet się nie odwrócił.

## **Rozdział II: Sztyrlic aktywuje artefakt**

Sewerus przez całe życie śnił ten sam sen, choć z pewnymi wariacjami w treści i formie. Nieodmiennie tonął w głębinach wód. Zapadał się w aksamitną ciemność, wyściełaną wodorostami, ale nigdy nie dotykał dna. Przebudzenie zawsze nadchodziło wcześniej. Wynurzał się z mroku.

Tego samego doświadczył, gdy Serafin wszedł do namiotu i wyrwał go z kilkugodzinnej drzemki.

Czuł się już znacznie lepiej – antytoksyny i wypoczynek zrobiły swoje – jednak nadal miał zdrętwiały kark i piekły go oczy.

W takim stanie opryskliwość była naturalnym odruchem.

– Czego tam znowu? – rzucił.

– Chciałem tylko zobaczyć, jak się czujesz.

– Jak wysrany przez osła kapeć. A co myślałeś?

Serafin przysiadł na polowym foteliku. Nie miał na sobie zbroi, przez co wyglądał jeszcze mniej ludzko niż zazwyczaj. Jego długie, szczupłe, oplecione postronkami mięśni kończyny kojarzyły się Sewerusowi z odnóżami pająka, a szczątkowe wypustki na plecach, przy pomocy których poruszał mechanicznymi skrzydłami, wybrzuszały nienaturalnie tunikę, tworząc swego rodzaju garb.

– Sztyrlic przewiercił tę kulę, którą przyniosłeś. Zdaje się, że to jakiś rodzaj pojemnika.

– I co jest w środku?

– Nie wiem. Jeszcze nie zdążył tego wyciągnąć, ale odgrażał się, że dziś dokona prezentacji.

Sewerus wzruszył ramionami. Na chwilę zapadła cisza.

– Mówiłeś mu o tych fazujących pociskach? – zapytał Serafin.

– Nie. Zapomniałem. Ty mu nie powiedziałaś?

– Nie widziałem się z nim. Rozmawiałem tylko z Uriaszem. Myślę, że powinniśmy mu powiedzieć. To może być ważne.

– Taa, pewnie masz rację.

– Eos też będzie chciał dostać pełny raport.

– To już zostawiam tobie. Ja się w papierkach nie babrzę.

Serafin wstał.

– Pójdziemy teraz, czy chcesz jeszcze odpocząć?

– Im szybciej będziemy to mieli z głowy, tym lepiej.

Sewerus podniósł się z posłania. Wciągnął buty. Na wszelki wypadek upewnił się, że Helszka jest na miejscu i łatwo wychodzi z pochwy.

Wyszli na zewnątrz.

Zbliżał się już wieczór. Słońca przez większość dnia i tak nie dało się dostrzec przez korony drzew, ale gdy zapadał zmierzch, dżungla nabierała charakterystycznej, bladociemnej barwy. Spomiędzy zarośli wytaczały się opary mgły, niosące ze sobą tajemnicze, nieprzyjemne zapachy. Na konarach, wyznaczających granicę obozu, pojawiały się dziesiątki białych figurek. To skarlotki zaczynały swój taniec na zakończenie dnia. Towarzyszyły temu opętańcze wrzaski.

– Nie znoszę tych małych bydlaków – burknął Sewerus, unosząc połą namiotu-laboratorium.

Tym razem Sztyrlic od razu zauważył jego przybycie.

– Ach, pan Sewerus, pan Serafin! – zawołał. – Chodźcie, chodźcie, jesteście w samą porę.

– Na co? – zapytał Sewerus.

Przeszli za zasłonkę, za którą spoczywała wypatroszona, zmumifikowana gadzina. Doktor najwyraźniej dokonał szybkiego przemeblowania, gdyż stół z ciałem wylądował bliżej brezentowej ściany, a na środku wydzielonej przestrzeni pojawiło się kilka mniejszych stolików. Na jednym z nich leżała zdobyta przez Sewerusa kula; teraz była rozłożona jak pęk jakiegoś kamiennego kwiatu. Na pozostałych wały się narzędzia i odczynniki.

Serafin zainteresował się martwym jaszczurem, a tymczasem Sewerus i Sztyrlic pochylili się nad artefaktem.

– Właściwie chciałem ci tylko powiedzieć o czymś, co...

– Za chwileczkę, za chwileczkę, drogi panie Sewerusie. Proszę spojrzeć! – Doktor przyciągnął spore szkło powiększające na metalowym wysięgniku.

– Co to?

– Jak się okazuje, kula to tylko swego rodzaju ochronny pojemnik. Swoją drogą, z moich wstępnych szacunków wynika, że ma trzy miliony lat!

– Trzy miliony? – zdziwił się Sewerus.

Serafin oderwał się od oględzin zwłok i również zwrócił ku doktorowi.

– Nieprawdopodobne! – skomentował. – To by znaczyło, że został stworzony...



– W wieku aniołów – dokończył za niego podekscytowany Szyrlic. – Dokładnie tak! Bardzo cenna uwaga, panie Serafinie.

– Eos...

– Zaraz, zaraz – wtrącił Sewerus. – Jakim cudem to coś przetrwało trzy miliony lat? Czy nie uległoby erozji albo czemuś takiemu?

– Ależ to całkiem proste. Artefakt musiał zostać pogrzebany w głębokich pokładach gleby tycytowej, która tworzy tutejsze bagna. W środowisku beztlenowym uległ doskonałej konserwacji. Jeśli chodzi o to, co zaszło później, to jestem gotów postawić tezę, że lokalna społeczność żarłaczy wydobyła przedmiot z, mówiąc poetycko, trzewi ziemi! Ale jeszcze ciekawsze jest to, co zostało umieszczone w jego wnętrzu.

Serafin obszedł stolik i z drugiej strony zajrzał do środka rozłożonej kuli. Sewerus poprawił szkło powiększające.

– Wygląda jak... pozytywka – stwierdził.

We wnętrzu kuli, oblepione cieniutkimi nitkami, jakby mięszem jakiegoś owocu, spoczywało niewielkie puzderko wykonane z różnobarwnych metali i pokryte pajęczynką misternych zdobień. W delikatnych kanalikach i wśród ażurowych siateczek coś poruszało się miarowo.

Sewerus machinalnie wyciągnął rękę w stronę urządzenia, ale zatrzymał ją w powietrzu.

– Mogę? – zapytał niezwykle miękkim, jak na siebie, tonem. Jakieś wspomnienia zakłębiły się pod kopułą jego na wpół łysej czaszki.

– Chwileczkę. – Szyrlic wygrzebał skądś rękawicę z impregnowanej skóry. – Proszę.

Sewerus nałożył rękawicę i ostrożnie dotknął krawędzi puzderka, sprawdzając, czy nie da się go otworzyć. Wystarczyło delikatne pchnięcie i wieczko uniosło się, ukazując fantastyczny mechanizm. Setki filigranowych zębatek wprawiały w ruch mikrokosmos błyszczących gwiazd, planet, znaków zodiaku; w zakamarkach puzderka zaczęły pojawiać się twarze, które mogłyby się zmieścić na główce od szpilki.

– Nieziemskie – wydusił rozedrganym szeptem Szyrlic.

Sewerus bezwiednie kiwnął głową.

– Trzy miliony lat, to nieprawdopodobne, że... – zaczął Serafin, ale nagle umilkł.

Z wnętrza puzderka popłynęły dźwięki cichej melodii.

Sewerus przez chwilę słuchał w nabożnym skupieniu.

– I pomyśleć, że coś takiego spoczywało przez miliony lat na bagnach – odezwał się w końcu Szyrlic.

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby prehistoryczne jaszczury mogły zrobić coś takiego – powiedział Sewerus. – Na pewno nie pomyliłeś się w swoich szacunkach? To wygląda jak coś, co mógłby zrobić...

– Ależ, panie Sewerusie, nie ma mowy o pomyłce! Tylko że twórcami tego cudeńka nie były żadne babrzące się w błocie jaszczury, a raczej anioły! To najlepszy dowód na to, że zostaliśmy stworzeni na ich obraz i podobieństwo!

– Nie jestem religijny, Sztырlic. Ale przypuszczam, że Serafin się z tobą zgodzi. Prawda, Serafinie?

Serafin nie odpowiedział, co wreszcie skłoniło Sewerusa do tego, żeby oderwać wzrok od szkła powiększającego.

– Co do kurwy biedy...

Woletor stał z dłońmi uniesionymi jak mim opierający się o niewidzialną ścianę. Poruszał ustami, ale nie dało się usłyszeć żadnych słów. W pewnym momencie uderzył pięścią powietrze.

– Co ty... – Sewerus machnął gniewnie ręką i syknął z bólu. W odległości może trzydziestu centymetrów, tam gdzie kończył się stolik, natrafił na jakąś niewidoczną przeszkodę. – Sztырlic!

Doktor oderwał się od oględzin pozytywki. Wykonał krok w stronę Serafina. Odbił się od czegoś.

– Fascynujące! – orzekł, wyciągając przed siebie dłonie i macając przeszkodę.

– Jakie?! – Zirytował się Sewerus. – Co to, kurwa, jest?!

Sztырlic zamarł z uniesionymi rękami.

– Kiedy pan tu przyszedł, chciał mi pan powiedzieć o czymś, co widzieliście w dżungli – powiedział.

– Tak, ale co to ma...

– Proszę mi powiedzieć! To może być ważne.

– Pociski... – Sewerus zawahał się; w jego umyśle kielkowało zrozumienie. – Pociski fazowały. Zbaczaly z toru, jakbyśmy byli w Sferze.

– Takiego zjawiska nigdy wcześniej nie zaobserwowano w Pasie Kielskiego.

– Anomalia? Tak duża? Przecież od granicy Dzikich Pól dzielą nas mile!

– Anomalia – tak, ale nie taka jak te, które znamy z dzikich terenów albo z obszaru kollapsów. Wręcz przeciwnie... Panie Sewerusie, to niesamowite!

Na twarzy Sztырlica wyrósł gigantyczny uśmiech idioty, zwieńczony na obu końcach różowymi plamami rumieńców.

– Tak, kapitalne – burknął Sewerus.

– Ależ pan nic nie rozumie, panie Sewerusie kochany!

– Nie, faktycznie.

– To jest... No, może trochę się zagalopowałem, ale to na pewno wygląda jak... jak odwrotność kollapsu! Jeśli z rzeczywistości wydzielił się nadwymiar, a teraz tutaj, w naszym obozie, przestrzeń ulega przearanzowaniu, to musi oznaczać, że więzy porządkowania się umacniają.

– I dlatego utknęliśmy w niewidzialnym pudełku?

– No... tak. Ale jeśli się nie mylę... – Sztырlic odwrócił się w stronę pozytywki i szybkim ruchem zamknął wieczko.

Sewerus obejrzał się na Serafina, który przestał już zmagać się z niewidzialną przeszkodą, a za to przyglądał się z zainteresowaniem temu, co robił doktor.

– I?

– Panie Serafinie!

Woletor przekrzywił głowę, widząc, że Sztырlic na niego patrzy. Powiedział coś, ale

ponownie nie zabrzmiały żadne słowa.

– Dziwne, byłem pewien... – Doktor wyciągnął dłoń w stronę bariery. Nie zniknęła.

– Świetnie. Po prostu, kurwa, świetnie.

– Nie rozumiem...

Serafin nagle się odwrócił. Jednym susem dotarł do wyjścia z namiotu. Uniósł brezentową połę. Na dworze panowało jakieś poruszenie, ale uwięzieni mężczyźni nie byli w stanie dostrzec, co się dokładnie dzieje.

Woletor wybiegł.

– W porządku. – Sewerus oparł dłoń o niewidzialną ścianę i zaczął iść wzdłuż niej. – Mamy tu ze trzy metry kwadratowe powierzchni. Dobra wiadomość jest taka, że twoja jaszczurka też z nami ugrzęzła. Zawsze lubiłem kabanosy. Mimo to niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z małym, średnim czy zajebicie wielkim porządkowaniem, nie chciałbym czekać, aż zgłodniejemy. Możliwość, że Sfera się rozrasta i wchodzi na Pas Kielskiego, jest z pewnością fascynująca, ale wolałbym być gdzieś indziej, jeśli okaże się, że w tym miejscu właśnie wyrasta dom i znaleźliśmy się, dajmy na to, we wnętrzu ściany. Nie masz tu jakiegoś młota albo palnika?

Doktor zakrzętnął się i wygrzebał wiertarkę oraz palnik. Najpierw wypróbowali pierwsze narzędzie, ale wiertło tylko się nagrzało, nie przynosząc żadnych widocznych rezultatów. Użycie palnika też nic nie dało. Niewidzialna powierzchnia nie topiła się, a nawet nie stawała ciepła. Gdy tylko odsuwali płomień, była znowu chłodna.

Sewerus ze złością odrzucił na bok narzędzie. Nosił go, ale przy swoich niemal dwóch metrach wzrostu był w stanie przebyć całe pomieszczenie jednym długim krokiem. Wściekle rąbnął pięściami o barierę.

– A może by tak podkop? – zasugerował, gdy już trochę ochłonął. – Nie masz tu pewnie łopaty, co, doktoru?

Sztyrlic pokręcił głową.

Sewerus spróbował ustawić się tak, żeby zobaczyć coś pomiędzy połami namiotu.

– Ciekawe, gdzie polazł Serafin – mruknął. – Tam na zewnątrz na pewno mamy jakieś łopaty. Zresztą może...

Kucnął, wy dobył Helszkę z pochwy i rozciął brezentową podłogę namiotu. Następnie zaczął kopać rękami.

Sztyrlic zajrzał mu przez ramię.

– Kurwa – syknął Sewerus przez zaciśnięte zęby. – Ta ściana jest wpuszczona w ziemię. Bez łopaty ani rusz.

W tym momencie do namiotu wrócił Serafin. Na jego twarzy i jasnej tunice błyszczały karmazynowe plamki krwi.

Woletor stanął naprzeciw Sewerusa i zaczął coś mówić i pokazywać na migi.

– Nic nie rozumiem – odpowiedział Sewerus, z przesadną starannością artykułując słowa. – Co się dzieje?

– Czy ktoś nas zaatakował? – zainteresował się Sztyrlic.

– Nie mam pojęcia... Nie masz przypadkiem papieru i pióra?

Doktor wyrwał kartkę z notatnika, w którym zapisywał obserwacje z sekcji zwłok gadziny. Pióro leżało nieopodal.

Sewerus pospiesznie zabrał od niego oba te przedmioty. Namazał „CO SIĘ DZIEJE???” na kartce i pokazał ją Serafinowi.

Ten oddalił się na chwilę, a potem wrócił z notesem i piórem. „COŚ UCIĘŁO NOGI JEDNEMU Z NASZYCH”, napisał.

– Kurwa! – skomentował Sewerus.

Serafin bez trudu odczytał to słowo z ruchu warg. Pokiwał głową.

Po krótkiej chwili ponurej zadumy Sewerus ponownie zaczął bazgrać na kartce.

„DRUGA BARIERA?”.

„TAK”.

„ŁOPATY SPRÓBUJCIE PODKOP JAK GŁĘBOKO MOŻE BYĆ???”.

Serafin ponownie przytaknął. Odszedł w stronę wyjścia z namiotu, wychylił się i najwyraźniej coś zawołał. Zaraz zjawilo się dwóch ludzi. Po krótkiej naradzie odszukali łopaty i zaczęli kopać.

– Teraz pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że ta niewidzialna ściana nie sięga zbyt głęboko – powiedział Sewerus.

### **Rozdział III: W ciemności**

Sewerus ponownie śnił swój sen o głębinach. Drugi raz tego samego dnia. Coś takiego nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło.

W dodatku tym razem w oceanicznej toni nie panowała idealna cisza. Coś podzwaniało rytmicznie, metalicznie. Przez mrok powoli przesączała się światłość. Bajeczne blaski tańczyły wokół. Jakiś kształt zbliżał się coraz bardziej, bardziej.

Sewerus ujrzał niezwykle stary, obrośnięty skorupiakami korpus tramwaju, który toczył się ku niemu między kępami falujących wodorostów.

W tej samej chwili – wynurzył się z głębin, aby ujrzeć pochylającą się nad nim twarz Sztyrlica.

Mary umknęły, lecz tańczące światła oraz natrętne metaliczne dźwięki pozostały.

Doktor nie wyrzekł ani słowa. Pociągnął tylko Sewerusa za ramię i drżącą ręką wskazał stół, na którym spoczywało ciało gadziny. Kończyny jaszczura drgały i podskakiwały. Metalowy blat dźwięczał od uderzeń.

Nie była to jednak jedyna dziwna rzecz. Bariera przestała być niewidzialna. Pomieszczenie zamykały cztery świetliste ściany.

Sewerus wstał. Ostrożnie zbliżył się do zmumifikowanych zwłok. Skrzywił się. Ciało stało się dziwnie gąbczaste. Z otwartych porów sączył się czarny śluz.

– Co do...

Korpus stwora nagle wygiął się nienaturalnie. Ramiona pomknęły w stronę Sewerusa. Oplotły go – ohydnie miękkie, kleiste. Rozciągnęły się, chwytając za szyję.

Mężczyzna odskoczył w tył. Stół runął na bok. Jaszczur z mokrym pląśnięciem uderzył o podłogę.

Sztyrlic zaczął krzyczeć.

Tymczasem Sewerus poczuł uderzenie adrenaliny. Bojowe symbionty ożyły. Wyszarpnął Helszkę z pochwy. Ciął na odlew. Podługowata łapa plasnęła o ścianę. Druga cofnęła się. Gadzina przywarowała. Ale tylko na chwilę.

Po sekundzie albo dwóch z odciętego ramienia wystrzeliło kilkadziesiąt pajęczych odnóży. To, co było dłonią, zmieniło się w odrażającą, jakby dziecięcą główkę. Nowo zrodzony potworek pomknął w stronę Sztyrlica. Większa bestia ponownie rzuciła się na Sewerusa.

Ten odskoczył na bok. Kopniakiem odrzucił pełzające po podłodze paskudztwo pod ścianę. Zasłonił doktora własnym ciałem.

– Sztyrlic, znajdź broń! – zawołał.

Potem coraz bardziej bezkształtna, gąbczasta masa wpadła na niego. Runęli na ziemię. Objęło go jedno grube ramię i kilkanaście cieńszych. Chirurgiczne nacięcie, wykonane przy sekcji, rozwarło się, ukazując zęby jak rozsypane gwoździe. Pomiędzy nimi śmigwały drobne macki zakończone ostrymi dziobami.

Sewerus wypuścił Helszkę. Oburącz chwycił korpus gadziny. Próbował utrzymać potworną paszczę na dystans. Zebrał wszystkie siły. Glisty–symbionty napreżyły się, niemal zrywając mięśnie z przyczepów. Z trudem dźwignął gadzinę i cisnął nią w poprzek pomieszczenia.

W tej samej chwili coś syknęło w locie i zaraz dziesiątki pajęczych odnóży oplotły mu twarz.

Znowu upadł.

Zdażył pomyśleć tylko „O, kurwa!”. Być może tak właśnie pożegnałby się ze światem, gdyby nie Sztyrlic, który z przecinarką w ręku rzucił mu się na ratunek. Zaśmierdzało palonym mięsem. Potworek zwinął się w sobie. Uciekł.

Sewerus uniósł się na jednym ramieniu, a jego oczom ukazał się niezwykle widok. Pokraczny doktor stał nad nim i wymachując gorejącą dyszą przecinarki, trzymał oba stwory na dystans.

– Boją się ognia! – wykrzyknął Sewerus.

– Tak! – odpowiedział Sztyrlic, nie odwracając się.

– Mam pomysł!

– Jaki?

– Musimy dostać się do tamtego stołu.

Sewerus podniósł się. Jedną ręką dźwignął ciężką butlę z gazem do przecinarki. Drugą oparł na ramieniu doktora.

– Okej, teraz powoli. Lepiej, żeby żaden z nas nie stracił równowagi.

Ruszyli wzdłuż ściany. Sztyrlic wymachiwał przecinarką, a Sewerus go prowadził. Aby dotrzeć do metalowego stołu, wystarczyło kilka kroków. Skryli się za nim.

– Co teraz? – zapytał doktor.

– Zamienimy się miejscami. Na mój znak. – Sewerus złapał uchwyt przecinarki tuż nad dłonią Sztyrlica i ustawił się tak, aby mogli się łatwo minąć. – Teraz!

Sztyrlic posłusznie zanurkował za szerokie plecy towarzysza.

W tym momencie oba stwory rzuciły się ku nim.

Sewerus, nie namyślając się wiele, oderwał przecinarkę od zaworu butli. Opuścił

jarzącą się dyszę. Niebieskawy płomień ogarnął jaszczura i jego oddzielone ramię. Dwie przejęte pierwotną, zwierzęcą grozą kule ognia zaczęły miotać się po niewielkim pomieszczeniu.

Sewerus zakręcił gaz. Rzucił butlę. Chwycił oburącz stół i przy jego pomocy zepchnął gorejące poczwary pod ścianę. Płomienie omiotły mu twarz, ramiona. Nie cofnął się jednak, dopóki zwęglone ciała nie znieruchomiały. Dopiero wówczas odskoczył ku Szyrlicowi.

Jednak ich sytuacja nie uległa znacznej poprawie. Być może nie ganiały ich już dwa zmutowane monstra, ale za to znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu, w którym szalał pożar.

– Nie mamy tu gaśnicy? – zapytał Sewerus. Już czuł, jak czad atakuje jego płuca.  
– Albo chociaż jakiejś płachty?

Szyrlic tylko pokręcił głową. Na jego bladej twarzy malowało się przerażenie. Najwyraźniej odwaga, którą znalazł w sobie podczas walki, wyparowała w obliczu bardziej prozaicznego zagrożenia.

Stłoczyli się razem w jednym kącie pokoju – jak najdalej od ognia.

– O, do kurwy biedy! – sapnął Sewerus. – Ściągaj kitel, doktorku. Musimy to jakoś ugasić albo już po nas.

Sam zdjął koszulę i spodnie. Zwinął je w kłęb.

Szyrlic ani drgnął.

– Rusz się!

Dopiero siarczasty policzek wyrwał doktora ze stuporu, jednak zanim zdążył wyplątać się z laboratoryjnego kitla, obu mężczyzn niespodziewanie ogarnął zimny powiew. Sewerus obrócił się gwałtownie, stracił równowagę.

I wypadł poza świetliste ściany.

W pierwszej chwili nie miał pojęcia, co się stało. Przez kilka długich chwil leżał, słuchając własnego oddechu i wściekle łomoczącego serca. Jego umysł wypełniła pustka. Jedyne uczucie, jakie pozostało, było tępe zdziwienie, że pod plecami czuje chłodną, kamienną posadzkę.

Potem, w prostokącie pomarańczowego blasku, ukazał się Szyrlic.

– Bariera zmieniła się w kamień – powiedział nieobecny głosem, zerkając przy tym przez ramię do niewielkiego pomieszczenia.

Sewerus usiadł. Potrząsnął głową. Wciągnął spodnie, założył koszulę na grzbiet. Wstał, odsunął na bok doktora i skoczył z powrotem do pokoiku, z którego dopiero co wypadł. Po sekundzie zjawił się znów, w jednej dłoni trzymając Helszkę i przecinarkę, a w drugiej – butlę z gazem.

– Przyda się światło – oznajmił, widząc zdziwione spojrzenie Szyrlica.

Przymocował rurę od przecinarki do zaworu butli. Odkręcił gaz. Pstryknął parę razy zapalarką. Po chwili w ciemnościach rozjarzyła się niewielka kula blasku, a obaj mężczyźni ujrzeli długi, niski korytarz. Jego ściany były trójkolorowe: ciemnobrązowe na dole, piaskowe na górze; środkiem biegł pas z zielonych, ceramicznych płytek, na których widniały tajemnicze hieroglify.

Szyrlic najwyraźniej doszedł do siebie, bo nagle się ożywił. Podeszedł do ściany i

dotknął wyrytych na niej symboli.

– Fascynujące! – powiedział.

Sewerus nie odpowiedział. Rozejrzał się na prawo i na lewo.

– Czujesz to, Sztyrlic? – zapytał.

– Co?

– Znaleźliśmy się w Sferze!

Doktor zmieszał się niespodziewanie. Opuścił oczy i bąknął coś pod nosem.

Sewerus popatrzył na niego.

– No tak – westchnął. – Mogłem się tego domyślić. Nie jesteś Przebudzonym, tylko Oświeconym, prawda? Czyli praktycznie ho...

– Proszę nie...! – Sztyrlic na sekundę podniósł głos, ale zaraz się opanował. – Proszę nie wymawiać tego słowa. Moi rodzice byli Przebudzonymi, oboje. Jeśli chodzi o krew, mam wszelkie prawo nazywać się Przebudzonym, tak samo jak pozostali członkowie tej ekspedycji. O ile wiem, pan nie może powiedzieć tego samego o sobie, prawda?

Sewerus wzruszył ramionami.

– Spokojnie. Nie chciałem cię urazić, doktorku.

– Moja znajomość Sfery jest niezrównana i znacznie wykracza poza to, co wiedzą tak zwani Oświeceni. Zresztą i wśród Przebudzonych trudno byłoby znaleźć równego mi specjalistę. A to, że nie doświadczam niektórych fenomenów, że nie wykształciły mi się pewne gruczoły i receptory...

– Jasne – uciał Sewerus. Nie miał czasu ani ochoty na gadanie o kompleksach dobrego doktora. – W takim razie daj mi chwilę. Spróbuję wyczuć aurę naszych ludzi.

Otwarcie się na drugą, wyższą rzeczywistość Sfery nie wiązało się z żadnymi konkretnymi sensacjami fizycznymi. Świat po prostu zwalniał, a człowiek stawał się... świadomy różnych rzeczy, których wcześniej nie postrzegał żadnymi zmysłami.

Gdy Sewerus znalazł się w nadrzeczywistości, poczuł się trochę tak, jakby w korytarzu nagle rozległo się mnóstwo szmerów i szeptów. Obejrzał się na Sztyrlica. No tak, żadnej aury, pomyślał. Zamiast tego spróbował wyczuć Serafina. Teoretycznie każdy Przebudzony zostawiał ślad w Sferze, jednak z woletorem było łatwiej. Po pierwsze dlatego, że nie był człowiekiem, więc się wyróżniał. Po drugie dlatego, że Sewerus znał go lepiej niż pozostałych.

Kiedy namierzył już Serafina, z resztą poszło szybko. Aury zebranych na niewielkiej przestrzeni członków ekspedycji były łatwe do odszukania.

Jednak coś z nimi było nie tak. Słabły. Znikały.

Sewerus skupił się, aby zsynchronizować swoją obecność w obu połowach rzeczywistości. Cholerny Sztyrlic!

– Coś się dzieje! – powiedział. – Chyba toczy się jakaś walka. Chodźmy!

Wziął butlę z gazem pod pachę i pognął w dół korytarza.

Doktor z trudem za nim nadążał. Nie dość, że miał krótsze nogi, to jeszcze nie mógł się pochwalić pomocą okulusa, który w ledwie rozbełtanej światłem ciemności pozwalał widzieć niemal jak w dzień.

Sewerus nie oglądał się. Nie słuchał, co woła biegnący za nim mężczyzna. Nie zauważył nawet, gdy Sztырlic zamilkł. Bojowe hormony buzowały w jego krwiobiegu, odpędzając wszystkie myśli niezwiązane z walką.

Po kilkudziesięciu sekundach dotarł do rozwidlenia korytarza. Z bocznej odnogi coś na niego wypadło. Wykonał odruchowy unik, rzucił butlę na ziemię i wydobyl Hellszkę.

– Stój!

Zamarł z ostrzem uniesionym do ciosu.

– A, to ty.

Opuścił broń.

Serafin również skierował ostrze swojego miecza ku ziemi. Uniósł wyżej błyszczaka, przypominające fosforyzującego ślimaka stworzenie, za którego pomocą oświetlał sobie drogę.

– Gdzie pozostali? – zapytał Sewerus.

– Zostaliśmy rozdzieleni.

– Ktoś was zaatakował?

– Słyszałem krzyki. Załatwiłem dwie gadziny. Ale już wcześniej rozdzieliły nas te ściany. Nie mam pojęcia, co się dzieje, Sew. Przestałem wyczuwać aury naszych ludzi. Poza Arielem i Uriaszem, ale oni chyba są gdzieś bardzo daleko.

– Sądzisz, że gadziny wszystkich wytłukły?

– Nie widzę innego wyjścia. Próbowałem znaleźć pozostałych, ale to prawdziwy labirynt. Znikali ze Sfery jeden po drugim.

Sewerus skrzywił się. Schował Hellszkę i z powrotem uniósł butlę i przecinarękę.

– Dobrze, że chociaż ciebie znalazłem – powiedział Serafin. – A co się stało ze Sztырlicem?

– Jest tu... – Sewerus obrócił się i dopiero widząc pusty korytarz, uświadomił sobie, że gdy biegli, doktor krzyczał coś w stylu „Poczekaj” i „Nie możemy”. – Kurwa – skomentował. – Chodź!

Pobiegli z powrotem ku pomieszczeniu, z którego wyszedł Sewerus. Rozchybotany prostokąt blasku był widoczny z daleka. Jak tylko do niego dobiegli, Sewerus zajrzał do pokoiku.

Doktor właśnie zawiązał coś w kawałek materiału oderwany od własnej koszuli. Smród palonego mięsa i dym unoszący się z dogorywających zwłok zdawały mu się nie przeszkadzać.

– Sztырlic, co ty, kurwa, robisz?! – wrzasnął Sewerus.

Mały człowieczek pospiesznie wyszedł na korytarz.

– Próbowałem pana zatrzymać – powiedział z cieniem wyrzutu. – Nie możemy tego tak zostawiać. Niewykluczone, że to nasza jedyna szansa na wydostanie się stąd.

Sztырlic delikatnie uniósł zawiniątko, a Sewerus rozpoznał artefakt. Pozytywkę.

Uderzyła go pewna myśl.

– No jasne. Wszystko zaczęło się pierdolić, kiedy to uruchomiliśmy – powiedział.

– Musimy to zniszczyć!



Doktor cofnął się gwałtownie.

– Nie pozwalam! – pisnął niemalże.

– O na litość...! – Sewerus postąpił ku niemu jeden gniewny krok, garbiąc się tak, aby jego potężna postać wyglądała jak najgroźniej.

– Sewerusie. – Serafin powstrzymał go, kładąc rękę na ramieniu. – To bezcenny artefakt. Eosowi bardzo na nim zależy. Nie mamy pewności, że to, co się tu dzieje, jest w jakikolwiek sposób z nim powiązane.

– Oczywiście, że jest! Gdyby to coś nie posiadało jakichś pieprzonych magicznych mocy, myślisz, że Eosowi by zależało?

– Magia nie ma tu nic do rzeczy, panie Sewerusie – oświadczył stanowczo Szyrlic. – Zakładam, że otwarcie urządzenia faktycznie wywołało efekt porządkowania, ten nasz antykollaps. Ale zamknięcie go nic nie pomogło, więc jest całkiem prawdopodobne, że i zniszczenie nic nie da.

– Nienawidzę, kiedy ludzie myślą tak logicznie – burknął Sewerus.

– Daj spokój – powiedział Serafin.

– No dobra, co w takim razie chcecie zrobić, żeby się stąd wydostać?

– Mógłbym poddać artefakt dokładniejszym oględzinom, ale straciłem wszystkie przyrządy – odparł Szyrlic.

– Nie masz gdzieś zapasowych?

– Sprzęt z obozu został rozrzucony po różnych pomieszczeniach, ale widziałem wcześniej kilka skrzyń – wtrącił Serafin.

– Większość narzędzi trzymałem w laboratorium, jednak nie zaszkodzi sprawdzić.

– Okej, świetnie. Więc zacznijmy szukać. Może przy okazji znajdziemy coś do żarcia. A kiedy już ustalimy, że z tym cackiem nic się nie da zrobić, pozwolicie mi je zniszczyć?

Doktor rzucił Sewerusowi gniewne spojrzenie.

Serafin pokręcił głową.

– Takie rozwiązanie musimy traktować jako ostateczność – powiedział. – Nie znamy rozmiarów tej budowli. Być może wcale nie jest duża. Jeśli doktorowi nie uda się niczego osiągnąć z urządzeniem, spróbujemy po prostu znaleźć wyjście. Potem skierujemy się do obozu zaopatrzeniowego i spłyniemy w dół rzeki, z powrotem na teren Sfery.

– Taa, łatwizna. Szkoda, że siedzimy w pieprzonym labiryncie.

– Nie bądź defetystą.

– Defetystą? Ja? Ależ nie mogę się doczekać, kiedy będę miał okazję przyjechać kilku jaszczurkom!

– Widzisz, od razu lepiej. Optymizm. Do twarzy ci z tym, Sew.

Wszyscy trzej ruszyli w kierunku, z którego przybył Serafin. Sewerus zgasił już przecinarękę, gdyż błyszczak woletora dawał wystarczająco dużo światła, jednak przy skrzyżowaniu uruchomił ją znowu. Przyłożył płomień do ściany. Co prawda nie udało mu się choćby zarysować gładkiego kamienia, lecz ciemna plama sadzy wystarczyła jako oznaczenie.

– Łatwiej będzie się połapać – mruknął Sewerus tonem wyjaśnienia.

Podobne znaki zostawiał przy każdym odgałęzieniu, jakie mijali.

Po kilku minutach dotarli do niewielkiego pomieszczenia. Na oko nie mogło być większe od tego, w którym zostali uwięzieni Sewerus i Sztырlic. Na podłodze połyskiwały dwie spore plamy jakiejś cieczy.

– Tutaj się obudziłem – wyjaśnił Serafin. Wydawał się nieco zaniepokojony. Przykucnął nad kałużami.

– Zniknęły ciała tych gadzin, które załatwiłeś? – domyślił się Sewerus.

– Tak.

– Prawdopodobnie zostały zabrane przez pozostałych członków watahy – odezwał się Sztырlic, odruchowo przysuwając się bliżej do towarzyszy i zajmując miejsce między nimi. – Żarłaczce zazwyczaj pożerają ciała tych, które padną. Zdaniem niektórych badaczy nie chcą, aby wrogowie spoza watahy przejęli ich moc.

– Szczerze powiedziawszy, wcale bym się nie zdziwił, gdyby te trupki najzwyczajniej w świecie sobie wstały i poszły – oświadczył Sewerus.

Serafin oderwał się od oględzin i wkroczył głębiej do pomieszczenia.

– Niedobrze – powiedział.

– Co jest?

Sewerus i Sztырlic ruszyli za nim.

– Kiedy się obudziłem, to miejsce wyglądało, jakby ktoś po prostu wyciął kawałek mojego namiotu i zamknął go w małym pokoiku. Ale teraz większość rzeczy zniknęła.

Faktycznie, na kamiennej posadzce leżało tylko kilka przedmiotów ułożonych w rzędzie: pas z ładownicami, zwinięty koc i sznurkowa siatka pełna uśpionych błyszczaków.

Sewerusa nagle uderzyła pewna myśl.

– Kurde! – powiedział. – Sądzicie, że ktoś po prostu przyszedł tu i zabrał wszystko, a zostawił nam tylko ten złom? To zaczyna przypominać jakąś chorą zabawę w chowanego.

– Nie wiem – odparł Serafin. Zebrał z ziemi ekwipunek. Koc i błyszczaki rzucił Sztырlicowi, zaś sam zabrał się za przeglądanie ładownic. – Jest tu kilka batonów proteinowych, woda, jakieś narzędzia... I proszę, proszę. Sew, wygląda na to, że nie będziesz już musiał taszczyć przecinarki, żeby stawiać te swoje znaczki.

– A co tam masz?

– Kredę.

– Kredę? Poważnie, to wygląda jak jakaś idiotyczna gra! Chyba że zawsze nosisz przy sobie kredę. I może jeszcze tablicę do pisania.

– Czy jest coś, co mogłoby mi pomóc w oględzinach artefaktu? – zapytał Sztырlic. – Albo w jego demontażu?

– Niestety. – Serafin pokręcił głową. – Mamy tu kombinerki i śrubokręt, ale to raczej zbyt toporne do takiej roboty.

– Jeśli ktoś łązi tu i zgarnia nasze bambetle, to coś mi się wyczuwa, że będziemy musieli od razu przejść do planu B – stwierdził Sewerus.

– Pewnie masz rację. Nastawmy się lepiej na szukanie wyjścia. Oczywiście

będziemy się przy okazji rozglądać za pańskimi narzędziami, doktorze, ale szanse na ich znalezienie chyba nie są zbyt wielkie.

## **Rozdział IV: Sny, marzenia**

Gdy po raz kolejny dotarli do skrzyżowania, którego wszystkie odnogi Sewerus oznaczył jako sprawdzone, zrozumieli, że ich sytuacja jest beznadziejna. Zgubili się. Jeden zero dla labiryntu.

W dodatku zeżarli wszystkie batony i wypili wodę, a nie udało im się namierzyć żadnych dodatkowych zapasów. Powoli opuszczały ich siły.

Przez jakiś czas błakali się, skręcając w losowo wybrane korytarze. Wreszcie trafili na dziwne małe drzwiczki, umieszczone w ścianie na wysokości mniej więcej półtora metra.

Sewerus pchnął je ostrożnie. Otworzyły się, więc wdrapał się do skrytej za nimi komnaty.

Była znacznie bardziej obszerna niż poprzednie, na które trafiali. Nietypowe wejście oferowało w razie czego dodatkową ochronę, choć podczas całej swojej wielogodzinnej wędrówki nie napotkali żadnych żywych (ani martwych, skoro już o tym mowa) stworzeń.

– To miejsce wydaje się bezpieczne – oświadczył Sewerus. – Chyba możemy się tutaj przespać. Oczywiście wystawimy warty. Co o tym sądzisz, Serafinie?

– Zgadzam się.

– Dobra. Sztyrlic, zostań tutaj. My we dwóch rozejrzemy się jeszcze po okolicy, żeby sprawdzić, czy nie mamy jakichś niesympatycznych, gderliwych sąsiadów.

Wyszli z powrotem na korytarz. Sewerus obejrzał się. Wreszcie trafiła się okazja, żeby pogadać o czymś, co męczyło go od dawna.

– Wiedziałaś, że Sztyrlic jest homonulusem? – zagadnął, gdy już oddalili się na tyle, aby nie było obaw, że doktor ich usłyszy.

– Oświeconym?

– Uważa się za Przebudzonego. Czy możesz mi wyjaśnić, co sobie myślał Eos, stawiając na czele naszej ekspedycji kogoś, kto w ogóle nie ma pojęcia, co tak naprawdę się dzieje?

– Eos nie uznaje podziałów. Wierzy, że pewnego dnia wszystkie homonulusy staną się Przebudzonymi.

– Po to ta cała wyprawa? Liczy na to, że w Pasie Kielskiego znajdziemy jakiś boski pierwiastek, cudowny mutagen, który pozwoli mu przemienić, kogo będzie chciał? Na przykład naszego dobrego doktora?

Serafin wzruszył ramionami.

– Sew, cała ta nasza zimna wojna właśnie o to się toczy. Kainici przez wieki z ukrycia władali homonulusami, utrzymując status quo. Potem pojawili się Przebudzeni, co trochę pokrzyżowało im szyki, ale teraz znowu grozi nam powrót marazmu. Dopiero masowa rewolucja może przynieść prawdziwą zmianę.

– Ależ ty jesteś zajebiście naiwny. – Sewerus z dezaprobatą pokręcił głową. – Nie będzie żadnej rewolucji.

– Skąd ta pewność?

– Jestem najemnikiem, więc mam jako takie pojęcie o podstawach ekonomii. Kiedy zyskujesz coś, co daje ci przewagę, nie wychodzisz na ulicę, żeby to rozdawać. Status quo warto przełamywać tylko wtedy, gdy można przeciągnąć linę o parę centymetrów na swoją stronę.

– Jesteś cynikiem.

– Tak. I dobrze mi z tym.

Serafin zamyślił się na chwilę.

– Wiesz, co mi chodzi po głowie, odkąd się tu znaleźliśmy?

– Nie.

– W waszych legendach Kain...

– Hej, hola – przerwał Sewerus. – To nie są nasze legendy, jasne?

– No dobra... Więc w legendach kainitów Kain jest zawsze przedstawiany jako Praojciec, prawda? A wiesz, jak to wygląda w naszych legendach?

– Czy to będzie kolejna z twoich nudnych mitologicznych historii?

Serafin zgromił go wzrokiem.

– No dobra, dobra, opowiadaj.

– W naszych legendach – podjął Serafin – mówi się o trzech braciach: Adamie, ojcu homonulusów, Wolandzie, ojcu woletorów, i Kainie, ojcu kainitów. Adam był najstarszy, Kain najmłodszy, a przy tym najbardziej przedsiębiorczy z całej trójki. Posiadał niezwykły dar do tworzenia wspaniałych maszyn. I pewnego dnia skonstruował zabawkę, która okazała się niebezpieczna. Gdy jego syn i syn Adama razem się nią bawili, doszło do wypadku. Syn Adama zginął. Zrozpaczony ojciec porzucił ziemię. Natomiast Kain przygarnął jego żonę i pozostałe dzieci i przyrzekł się nimi opiekować.

– A potem uczynił z nich swoje sługi.

– Według wa... według podań kainitów, tak.

– I co to ma wspólnego z naszą obecną sytuacją?

– Legenda ma wiele wersji. – Serafin uśmiechnął się pod nosem. – W niektórych z nich mowa jest nie tyle o jednej zabawce, co raczej o niesamowitym labiryncie pełnym wszelkich cudów, nakręcanych ptaków, fontann...

– Krwiożerczych jaszczurek?

– Nie, ale... Ech, tamten labirynt, jak się okazało, też skrywał niebezpieczeństwa.

– Chyba rozumiem, o co ci chodzi.

– „Wszystko, co się dzieje, jest tylko odbiciem zdarzeń z wieku aniołów” – wyrecytował Serafin. – Ale w istocie najważniejsza w tej historii była ta część o opiece.

– Wszyscy wiedzą, że jak przestaniesz karmić swojego przydupasa, to w końcu zdechnie.

Serafin zamrugał.

– Dlaczego ja w ogóle próbuję o tym z tobą rozmawiać? – zapytał.

Sewerus roześmiał się krótko.

– Bo lubisz mój cięty dowcip – odparł. – Dobra, nie filozuj już tyle. Wracajmy do doktorka, zanim posra się w gacie ze strachu.

Zajrzeli jeszcze w kilka zakamarków, a następnie zawrócili w stronę pomieszczenia, w którym zostawili Sztырlica.

Kiedy tylko otworzyli dziwne małe drzwiczki, zorientowali się, że coś jest nie tak. Poczuli przeciąg, chłodniejszy powiew na twarzach. Pospiesznie wskoczyli do komnaty. Była pusta. W jednej ze ścian ziała spora dziura. Za nią majaczył nieregularny, jakby wydrążony w kamieniu korytarz.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, dobyli broni i ruszyli biegiem.

Tunel prowadził lekko w dół i związał się w olbrzymie serpentyny. Panowała w nim wilgoć. W powietrzu unosił się piwniczny odór. Zdawało im się też, że za każdym zakrętem robi się coraz zimniej. Przypuszczenia te znalazły potwierdzenie, gdy zauważyli, że wraz z każdym urywanym oddechem z ich ust uciekają kłęby pary.

– Czujesz? – zawołał w pewnym momencie Serafin.

Sewerus przytaknął. Jego wyczulone na nadrzeczywistość Sfery zmysły ostrzegały, że niedaleko przed nimi pojawiła się jakaś obecność. Chwilę później ujrzeli Sztырlica, który gnał korytarzem na swych krótkich nogach, rzucając pokraczne cienie na ściany.

– Przebudził się?! – zdumiał się Serafin.

– Sztырlic! – ryknął Sewerus. Jego krzyk poniósł się echem.

Mały człowieczek wyhamował. Odwrócił się powoli. W jednej dłoni trzymał błyszczaka, drugą przyciskał do piersi pozytywkę. Jego oczy lśniły w ciemności bladym blaskiem. W jakiś sposób stały się większe, okrągłe. Straciły swą dawną barwę i upodobniły się do oczu potwornych ryb zamieszkujących głębiny ze snów Sewerusa.

– No dobra, Sztырlic, gdzie ty się właściwie wybierasz? – zapytał Sewerus, stając przy naukowcu.

– One mnie wzywają – odparł Sztырlic, a jego twarz przepołowił nienaturalnie szeroki uśmiech.

– Kto?

– One mnie przemieniły. Teraz jestem taki jak wy.

Powiedziawszy to, doktor obrócił się. Sewerus chwycił go za nadgarstek, ale nie zdołał utrzymać. Pod palcami poczuł dotyk skóry łuszczącej się i zrogowaciałej, ale jednocześnie śliskiej, jakby pokrywał ją śluz.

Sztырlic rzucił się do ucieczki, a reszta pobiegła za nim. Zaraz jednak zauważyli, że zostają w tyle.

– Jak to możliwe? – wysapał Sewerus.

– Porusza się w nadrzeczywistości sprawniej niż my – odparł Serafin.

Sewerusa ogarnęła wściekłość granicząca z szałem. Pociemniało mu przed oczami. Bojowe symbionty obudziły się do życia. Zamiast biec zaczął się poruszać zwierzęcymi susami. Dognał Sztырlica i skoczył mu na plecy.

Razem upadli na ziemię. Zaczęli się toczyć, obijać o jakieś twarde występy skalne. I nagle załala ich powódź słonecznego światła. Ze wszystkich stron zaatakowało ich świeże, pachnące lasem powietrze.

Wylądowali na dnie kamiennego leja, w którego zboczach wykuto stopnie, tak że

przypominał wielki amfiteatr. Nad ich głowami pyszniła się masywna kopuła. Przez okrągły otwór, umiejscowiony w jej najwyższym punkcie, zaglądało błękitne niebo.

Sewerus wypuścił Sztyrlica. Usiadł na sypkim, złotym piachu. Powiódł wzrokiem po obrzeżach amfiteatru.

W skalnej ścianie widniało wiele czarnych, okrągłych otworów. W jednym z nich zjawiał się Serafin. Woletor rozejrzał się, a następnie zbiegł po schodach do pozostałych.

– Co to jest? – zawołał.

Sewerus nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie Sztyrlic wykrzyknął ekstatycznie:

– Nadchodzą!

– O do kurwy biedy...

W wejściach do amfiteatru zaczęły pojawiać się różne istoty. Było wśród nich kilkadziesiąt gadzin, ale także inne, bardziej groteskowe stwory: wielonogie, wielookie, pokryte sierścią lub łuską. Górowało nad nimi kilka molochów o rozdętych cielskach pozbawionych głów, ale za to wyposażonych w długie kolce wyrastające w losowych miejscach z trzech zupełnie niepasujących do siebie ramion.

Sewerus dźwignął się na nogi, podniósł z piachu Helszkę. Szarpnął Sztyrlica za ramię, jednak ten nie chciał wstać. Zamiast tego zawołał „Bracia!”, odwinął pozytywkę ze szmat i uniósł ją nad głowę.

– Chyba pora na plan B – powiedział Sewerus, patrząc porozumiewawczo na Serafina.

Woletor kiwnął głową.

Sewerus wziął zamach, ale zanim zdążył uderzyć, Sztyrlic poderwał się z ziemi i pobiegł ku nadchodzącym stworom.

– Co robisz?! – wykrzyknął Sewerus, ruszając za nim. Serafin poszedł w jego ślady.

– Jestem jak oni! Bracia! – odkrzyknął doktor.

W kilku susach dotarł do kamiennych schodów. Zaczął się po nich wspinać.

Nie dotarł bardzo wysoko. Jeden z molochów sprężył się w sobie, wysunął naprzód największe ramię i wystrzelił długi kolec. Pocisk przebił Sztyrlica na wylot. Siła trafienia odrzuciła mężczyznę w tył. Bezwładne ciało runęło z powrotem na złoty piasek – wprost pod nogi Serafina i Sewerusa. Pozytywka wypadła ze zmartwiałych palców. Otworzyła się. Popłynęły dźwięki muzyki.

Sewerus nie wahał się ani chwili. Z całej siły wbił ostrze w miniaturowy mechanizm, łamiąc cienkie jak papier zębátky, zrywając sprężyny. Rozległ się smutny jęk. Melodia ucichła.

Zastąpiło ją pełne bólu wycie Sztyrlica, który nagle ocknął się i zaczął panicznie trzepotać rękami i nogami.

Serafin i Sewerus rzucili się ku niemu. Unieruchomili go.

Doktor uspokoił się.

– Wyjmijcie to ze mnie – poprosił płacząco. – Bardzo boli.

Serafin zaczął ściągać koszulę, jednak Sewerus go powstrzymał.

– Co robisz? – zapytał.

– Musimy go opatrzeć.

– On już nie żyje, tylko jeszcze o tym nie wie.

– Jak to? – wtrącił się nagle Szyrlic. – Nie! Proszę! Wyjmijcie to ze mnie. Proszę. Odrobina krwi pociekła mu z ust. Ciało ogarnęło drżenie, ramiona pokryła gęsia skórka.

Sewerus popatrzył w górę. Następnie obrócił doktora na bok i szybkim ciosem wbił miecz w jego kark, przerywając rdzeń kręgowy.

Na twarzy Serafina na chwilę odmalował się wyraz szoku. Potem jednak również uniósł oczy i zrozumiał, że i tak nic więcej nie mogli uczynić.

Amfiteatr nie zniknął. Niewielka armia groteskowych kreatur ciągle się zbliżała.

– Plan B najwyraźniej nie wypalił – mruknął Sewerus.

Wstał i przyjął pozycję bojową. Serafin stanął u jego boku.

– Więc co teraz?

– Spróbujemy przebić się do jednego z wyjść.

– A jak się nie uda?

– Głupie pytania zadajesz. Wtedy rozśmiejemy im się w twarz.

Cofnęli się na środek areny, żeby nie szarżować pod górę. Ruszyli do ataku dopiero wtedy, gdy pierwsze gadziny stanęły na piachu.

Walka była krótka.

## **Rozdział V: Syn zegarmistrza**

O dziwo nie zginęli. Obaj byli pokryci sińcami i drobnymi ranami, ale z jakiejś przyczyny wszystkie te maskary dążyły tylko do tego, aby ich rozbroić i unieruchomić. Gdy to się udało, zostali wsadzeni do cylindrycznej, metalowej klatki, którą następnie dwa molocho opuściły do głębokiej dziury w ziemi.

Przez jakiś czas obaj mężczyźni siedzieli w ciszy, ale w końcu odezwał się Serafin.

– Jak sądzisz, co się teraz z nami stanie? – zapytał.

– Przypuszczam, że nas zjedzą.

– Mało optymistyczna perspektywa.

– W sumie. Ale przynajmniej gadziny raczej nie bawią się jedzeniem. Powinno pójść szybko i niemal bezboleśnie. Niektóre drapieżniki z doliny Batu potrafią dręczyć ofiary godzinami. A te paskudne pająki... Pamiętasz Szebo? Trzy dni się chłopak męczył. Tak słyszałem.

– Dzięki. Wiesz, jak poprawić człowiekowi humor.

Na chwilę zapadło milczenie. Serafin zapatrzył się ponuro w przestrzeń. Tymczasem Sewerus usilnie próbował coś zrobić z rękami. Przez chwilę obskubywał wystający ze ściany korzeń z mniejszych odrostów. Potem zaczął rysować zawijasy w piachu.

– Jednej rzeczy żałuję, wiesz? – zagadnął wreszcie.

– Tak?

– Niepotrzebnie rozwalilem tę pozytywkę. Gdybym tylko wiedział, że to nic nie da. Szkoda, kurde, szkoda. Naprawdę niezłe rzemiosło. I melodyjka przyjemna...

Wiedziałaś, że mój ojciec był zegarmistrzem?

– Nie. – Serafin popatrzył na niego z zainteresowaniem.

– No. Robił mnóstwo fajnych rzeczy. Pozytywki też. I inne zabawki.

Znów umilkli na chwilę. Sewerus nagle poczuł się skrepowany, ale zaraz podjął:

– Wiesz, może cię to zdziwi, ale byłem całkiem normalnym dzieciakiem.

Właściwie nawet... wrażliwym.

Serafin roześmiał się. Odwrócił wzrok.

– No co? – zirytował się Sewerus.

– Przykro mi, Sew, ale nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Sewerus popatrzył na swoje wielkie, stwardniałe dłonie, jakby to one były winne.

– Wiem. Też mam z tym czasem problem. Ale wszyscy kiedyś byliśmy dziećmi.

Zanim życie nas nie pożarło i nie wysrało.

– Bardzo poetycko. Czyżby perspektywa śmierci wprowadziła cię w liryczny nastrój?

– Odnoszę wrażenie, że wcale nie chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia.

Ogromne oczy woletora błysnęły w półmroku. Wykonał niezgrabny ruch ręką, jakby zaczął jakiś gest, ale potem się rozmyślił.

– Przepraszam – powiedział. – Opowiedz.

Sewerus w zamyśleniu przygryzł kciuk.

– Przypomniało mi się, że pod warsztatem mój ojciec miał piwnicę, w której pracował nad różnymi hobbystycznymi projektami. Panował tam straszny bałagan. Gdy byłem ledwo odrośniętym od ziemi srajtkiem, wydawało mi się, że te podziemia są strasznie wielkie. Dlatego nazywałem je Kazamatami. Tak, to były Kazamaty Mistrza Zegarków. Mieszkał w nich tylko jeden gość, Salwador. To była taka... taka mechaniczna kukła. Ojciec nigdy jej nie skończył.

– Co się z nim stało? – spytał Serafin.

– Z kim, Salwadorem?

– Nie, z twoim ojcem.

– A... To dłuższa historia.

– Sądzisz, że mamy czas?

Sewerus spojrzał w górę, ku wylotowi jamy. Na odległym sklepieniu tańczyły cienie, ale nigdzie w pobliżu nie było widać żadnych jaszczurów.

– Przypuszczam, że nam powiedzą, kiedy się skończy. W każdym razie... mój ojciec był Oświeconym. A matka kainitką.

– I przeżyłeś poród? Nie zabił cię Szał Czystej Krwi?

– Jak widać. Czasami tylko wyję do księżyca. – Sewerus zaśmiał się gorzko. – Wiesz, nie jestem jedyny. To się zdarza. Podobno dziesięć procent dzieciaków z takich związków przeżywa.

– Eos...

– Wiem, wiem, Eos w tej sprawie też ma jakąś cudowną wizję. Mówił mi o tym.

– Domyślam się, że nie było ci lekko?

Sewerus uniósł brwi. Wzruszył ramionami.

– Było normalnie. W miarę. Do czasu. Gdy zaczęli się pojawiać Przebudzeni, Cicha Radapostanowiła mieć trochę większe baczenie na takie dziwolągi jak my.



Mój ojciec co miesiąc musiał składać jakieś raporty w urzędzie. Często też robili nam naloty... takie niezapowiedziane kontrole. Nie wiem, co właściwie chcieli sprawdzić. Pewnie czy nie urządzamy jakichś spotkań wywrotowców. Tym nalotom przewodził głównie nasz dzielnicowy komisarz, ale czasami przysyłali też kogoś z zewnątrz. I raz zjawił się taki zakapior z gębą sadysty. Widać było, że chce wyciągnąć łapówkę. Ojciec się opierał. Więc tamten do niego z ryjem, że jest buntownik, kolaborant i cholera wie co. Że na pewno okrada uczciwych obywateli. Ojciec się zdenerwował. Popchnął go.

Sewerus ucichł. Odgarnął włosy ze swojego wysokiego czoła, płynnie przechodzącego w zaczątki łysiny.

– Twój ojciec musiał być odważnym człowiekiem – skomentował Serafin.

– Był durniem i marzycielem. Niepotrzebnie unosił się honorem. Mógł po prostu dać temu facetowi forszę. Niezależnie od wszystkiego – tego nam nie brakowało.

– I co, zgarnęli go?

– Nie. Komisarz przywalił mu w brzuch. Wyjął pałę. I wtedy moja matka rzuciła się między nich. Zaczęła lamentować, jak to baba. Wcisnęła temu skurwielowi garść banknotów. Przeprosiła. I na tym mogłoby się skończyć.

– Ale się nie skończyło?

– Nie. Mój ojciec był durniem, mówiłem ci. Komisarz wziął forszę, lecz teraz było mu mało. Powiedział, że ma w domu dzieciaka, któremu obiecał jakąś zabawkę. Matka odpowiedziała, żeby sobie coś wybrał. Cokolwiek. Oczywiście mieliśmy takie zasrane szczęście, że upatrzył sobie zabytkową pozytywkę, którą mój ojciec otrzymał od swego ojca w nagrodę za to, że dostał się do terminu u mistrza Bremnera.

– Znowu się postawił?

– I tak, i nie. Zamiast trzymać gębę na kłódkę, powiedział komisarzowi, że to akurat ma dla niego szczególną wartość, ale żeby wybrał sobie nawet dwa albo trzy przedmioty z normalnej oferty. Wtedy tamten bydlak stwierdził, że ta pozytywka i tak jest brzydka. I rzucił nią o ziemię. Ojciec wpadł w szał. Zaatakował go. Do akcji wkroczyli żołnierze. Mieli aresztować nas wszystkich, lecz ja schowałem się w Kazamatach. To znaczy w piwnicy. Musiałem zemdleć czy coś, bo w ogóle nie pamiętam, co się później działo. Doszedłem do siebie dopiero po paru dniach, a wtedy znajdowałem się już na drugim krańcu miasta, u mojego wuja Grachusa.

– Co się stało z twoimi rodzicami?

– Matka spadła na cztery łapy, jak zwykle. – Sewerus skrzywił się, przez co jego twarz stała się jeszcze brzydsza niż zazwyczaj. – Była kainitką, więc dostała tylko kilka miesięcy odsiadki. Potem podpisała jakąś lojalną i później już próbowała mnie wychowywać na praworządnego obywatela. Ojciec nie miał tyle szczęścia. Ponieważ był homonulusem, trafił do obozu pracy na pięć lat. Zmarł po dwóch.

Serafin pokiwał głową, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, klatka nagle się zakolebała.

– Oho – odezwał się Sewerus.

Zostali wyciągnięci z powrotem na powierzchnię. Jamę zakryto metalową płytą, którą następnie zasypano piachem. Molochy odstawiły klatkę i oddaliły się. Zamiast

nich zjawily się gadziny. Przez chwile poruszaly rytmicznie glowami i ocieraly się o siebie. Wygladalo to tak, jakby się naradzaly.

– Sew, czy mi się zdaje, czy one mają na sobie ubrania? – zapytał Serafin.

Faktycznie, jaszczury miały na sobie resztki podartych łachów.

– To dziwne – stwierdził Sewerus. – One nie noszą ubrań.

Serafin nagle wziął głęboki oddech i aż cofnął się z wrażenia.

– Co? – zdziwił się Sewerus.

– Popatrz! Przecież to są nasi ludzie!

Nie mieli czasu dalej roztrząsać tej kwestii, gdyż klatka została otwarta i wyprowadzono ich na arenę. Stanęli w kręgu pomarańczowego światła, wpadającego przez otwór w kopule. Gadziny oddaliły się.

Kiedy siedzieli zamknięci, musiało przybyć jeszcze więcej stworzeń, bo amfiteatr był pełen. Wokół areny rozciągnięto też grubą siatkę, za którą można było wyjść przez prymitywną furtkę.

Sewerus rozejrzał się i spostrzegł, że w odległości kilku kroków coś błyszczący w piachu.

– Chyba widzę Helszkę – odezwał się półgębkiem.

– Ja też widzę swój miecz.

– Ciekawe, czemu je nam zostawili...

– Nie sądzę, aby bali się, że im zwiejemy.

– Fakt, że przy furtce stoją strażnicy, a na trybunach tych bydlaków jest do chuja i trochę, ale...

– Nie, Sew, nie o to chodzi.

Serafin przeszedł na krawędź areny i uniósł swój oręż. Sewerus, widząc to, postąpił podobnie. Stanęli naprzeciwko siebie.

– Więc dlaczego zostawili nam broń, co? – zapytał Sewerus.

– Bo chcą, żebyśmy ze sobą walczyli?

– Po co mielibyśmy to robić?

– Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale wydaje mi się, że oni doskonale wiedzą, o czym myślimy. O czym ja myślę.

– Taak?

– Chyba rozumiem, co tutaj jest grane. Przyszło mi to do głowy, gdy słuchałem twojej opowieści. Wszystko, co się dzieje, jest tylko odbiciem...

– Co ty pieprzysz? – Zdenerwował się Sewerus.

Serafin westchnął.

– To nie artefakt Sztyrlica jest przyczyną zmian w tutejszym porządkowaniu – powiedział. – Ty nią jesteś. Kula, którą znalazłeś, musiała być jakiegoś rodzaju katalizatorem. Przez wieki przemieniała gadziny, dlatego ją czciły. Potem zabrałeś ją ty i nagle odkryliśmy, że w środku kryje się pozytywka, podobna do tych, które tworzył twój ojciec. Kto wie, może nawet identyczna. Ten labirynt to twoje Kazamaty Mistrza Zegarków, prawda?

– Co ty... w ogóle... pierdolisz? – wycedził Sewerus. – To jest z palca wysrane! Równie dobrze to ty możesz być źródłem zmian. Sam opowiadałeś mi o labiryncie

Kaina. Szyrlie zaczął się zmieniać, gdy powiedziałem ci, że jest homonulusem. Eos zrobił sobie z ciebie ulubionego pieseczka właśnie dlatego, że kiedyś już udało ci się wpłynąć na porządkowanie.

– Widzisz, właśnie o to chodzi. Dlatego sądzą, że będziemy walczyć. Ziarno zwątpienia zostało zasiane.

– Więc spróbujesz mnie zabić, żeby sprawdzić swoją teorię? – Sewerus roześmiał się. – Wiesz, że nie masz ze mną szans.

Serafin postąpił kilka kroków w prawo, wzdłuż obwodu areny. Sewerus wyrównał dystans, idąc w przeciwnym kierunku. Wtedy Serafin znów przesunął się o kilka kroków, na co towarzysz zareagował tak samo.

– Spójrz pod nogi – powiedział woletor.

Sewerus przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy przyjaciel chce odwrócić jego uwagę, aby na przykład rzucić mieczem. Zaraz jednak popatrzył w dół. Tuż koło jego stopy, częściowo zakopana w piasku, spoczywała roztrzaskana pozytywka. Uniósł na Serafina pytające spojrzenie.

– Mam pewien pomysł – oświadczył tamten, po czym wbił swój miecz w ziemię, odpiął pas z ładownicami i rzucił go na drugi koniec areny.

Sewerus schował Helszkę do pochwy w bucie. Przyklęknął, podciągnął do siebie pas. Delikatnie odgarnął piach, przykrywający pozytywkę.

– Co właściwie chcesz, żebym zrobił? Naprawił ją? – zapytał.

– Tak.

– To bez sensu. Przecież ustaliliśmy, że pozytywka nie ma żadnego wpływu na to, co się tu dzieje.

– Racja. Ale wciąż jestem przekonany, że ty masz. Jesteśmy w Kazamatach Mistrza Zegarków, Sew. Pozytywka twojego ojca została zniszczona przez komisarza–sadybę. Napraw ją.

Sewerus splunął.

– Popierdoliło cię już doszczętnie – warknął.

– Być może. Ale co mamy do stracenia?

Sewerus westchnął. Zaczął grzebać w ładownicach. Znalazł kombinerki, kilka metalowych pręcików, śrubokręt o dwóch końcach i grubym, czerwonym uchwycie pośrodku.

Tymczasem, od strony trybun, jego uszu dobiegł narastający szum, jakby ktoś potrząsnął gniazdem szerszeni.

– To złom! – oświadczył. – Nie dałbym rady naprawić tym opiekacza, a co dopiero arcydzieła sztuki zegarmistrzowskiej!

Nad otaczającą arenę siatką poleciał kamień. Za nim poszybowało kilka kolejnych. Serafin chwycił miecz w samą porę, aby odbić jeden z nich jak piłkę.

– Po prostu spróbuj! – krzyknął.

Sewerus zacisnął zęby. W jedną rękę chwycił kombinerki, a w drugą śrubokręt i zaczął po kolei zbierać rozsypane po wnętrzu obudowy kółka zębate. Większość z nich była tak mała lub cienka, że nie był w stanie ich chwycić w toporne szczęki narzędzia. Niektóre gięły się, gdy próbował je ruszyć.

– Nie! Kurwa! To nie ma sensu!

Szum na trybunach przybrał na sile. Zapanowało poruszenie. Gadziny przestały rzucać kamieniami. Zamiast tego, wraz z innymi stworzeniami, stłoczyły się przy furtce prowadzącej na arenę. Strażnicy zostali odepchnięci na bok.

Serafin skoczył w tamtą stronę i zaczął na oślep dźgać mieczem między okami siatki.

– Zatrzymam ich na trochę, a ty bierz się do roboty! – zawołał.

– Kurwa mać! – jęknął Sewerus.

Otarł pot z czoła. Odłożył kombinerki, a zamiast nich chwycił jeden z metalowych pręcików. Spróbował chwycić poszczególne elementy pomiędzy pręcik a płaski koniec śrubokrętu.

Przecież to potrwa lata! – pomyślał.

W tym samym momencie napór łuskowatych ciał obalił furtkę. Serafin rzucił się na gadziny. Nie miały jak się bronić, więc padały jedna za drugą pod ciosami długiego miecza, jednak wyglądało na to, że w końcu sama liczba przeciwników powali samotnego szermierza.

Sewerus zaklął. Instynkt kazał mu chwycić Helszkę i ruszyć na pomoc przyjacielowi, lecz coś zmusiło go do pozostania na miejscu.

Wyrzucił śrubokręt i działał już wyłącznie przy pomocy dwóch pręcików. W skupieniu przygryzł dolną wargę do krwi.

Wtem zębatki zaczęły poruszać się same. Posłusznie wskakiwały na swoje miejsce, jakby zawładnęła nimi jakaś tajemnicza, magnetyczna siła. Sprężyny zwijały się, prowadnice ustawiały, pogięte zdobienia odzyskiwały kształt.

Sewerus posłyszał głuchy huk. Uniósł wzrok, by zobaczyć, jak Serafin pada na ziemię. Poderwał się na nogi. Zamarł. Zdał sobie sprawę, że ogarnęła go zupełna cisza.

Powiódł wzrokiem po odrażających pyskach bestii, które tłukły w niewidzialną barierę.

Podszedł do Serafina. Usiadł ciężko obok niego.

Woletor uniósł się na drżących ramionach. Obrócił. Również usiadł.

– Zadziałało – powiedział.

## **Epilog**

Labirynt zniknął po dwóch dniach. Pozbieranie niedobitków ekspedycji zajęło im kolejny dzień. Tylko Ariel i Uriasz, dwaj inni woletorzy, pamiętali, co się stało. Pozostali po prostu ocknęli się nagle w dżungli – zdezorientowani i przerażeni.

Po śmierci Szyrlica dowodzenie przejął Serafin. Nakazał zwinięcie obozu. Mocno przeredzona grupa ruszyła w mającą zająć kilka tygodni podróż z powrotem w granice Sfery.

Jedyną zdobyczą, jaką nieśli ze sobą, była zniszczona pozytywka. Sewerus często unosił jej wieczko, a jakaś głęboko ukryta część jego duszy po cichu liczyła na to, że ponownie zabrzmie przyjemna melodyjka. Niestety we wnętrzu eleganckiego puzderka walały się tylko pogięte zębatki i pozrywane sprężyny.

# Jędrzej Feranos Bargłowski

## MIS

Z półki sklepowej patrzę przez folię opakowania na przechodzących za oknem ludzi. Już kilka miesięcy tkwię za tą piekielną szybą. Obserwuję, jak z każdym dniem obrasta ona kurzem, coraz bardziej przysłaniając mi widok na świat. Mentor mówił, że czasami niektóre zabawki nie są kupowane nigdy i możliwe, że są nawet szczęśliwsze od tych mieszkających w domach. Te, które trafiają do dzieci, często są bite, bywają gryzione i obśliniane, wciskane w kąt lub po prostu zapomniane. Nie chciałem takiego traktowania. Marzyłem, by trafić do kogoś, kto wypełni moje waciane serce miłością i jak lustro będę mógł tę miłość odbić i dać komuś szczęście. Mentor uczył nas, jak mamy się zachowywać. Nigdy nawet drgnąć, dopóki istnieje choć minimalne prawdopodobieństwo obecności człowieka. Najlepiej nie poruszać się również przy zwierzętach, ale ludzie to priorytet. W każdej fabryce działał mentor, który wpajał zabawkom, jak mają zachowywać się zarówno w warunkach sklepowych, jak i względem swoich przyszłych właścicieli. Pełne szkolenie obejmowało naukę interpretacji ludzkiej mimiki, mowy ciała, odgadywania zamiarów i pragnień choćby z jednego, przelotnego spojrzenia. Każda zmarszczka, blizna, przebarwienie były zakodowanymi informacjami, które musieliśmy przyswoić. My – zabawki – potrafiłyśmy niemal czytać w myślach człowieka, jedynie na niego patrząc. Szkolili nas konsekwentnie. Nasz główny cel – kochać i być kochanym.

Wtem moją uwagę zwraca Ona. Niemowlę na ręku zupełnie nie pasuje do jej futra, perłowego naszyjnika i krótkiej czarnej spódniczki. Widać, że wolałaby dziecko zamienić na torbę pieniędzy. Wysokie czarne szpilki i piersi praktycznie wylewające się przez ogromny dekolt prowokują znajdujących się w sklepie mężczyzn. Spokój i harmonia, do której się przyzwyczailem, pęka niczym mydlana bańka. Uwielbiam obserwować rodziców myszujących po sklepie lub bawiących się z własnymi dziećmi. Mój cel jest prosty, zrodzony z czystego altruizmu. Chciałbym, żeby każdy był zawsze szczęśliwy. Widok radosnych dzieci i dorosłych, którzy klękają na podłodze, by pojeździć resorakiem po namalowanych uliczkach, robiąc „ziuuu”, jest dla mnie najważniejszy w życiu. Dlatego właśnie znienawidziłem ją, gdy tylko weszła do sklepu, gdy zauważyłem jej puste, pożądlive spojrzenie. Teraz wszyscy dotychczas szczęśliwi tatusiowie przypominają sobie o swoich zwierzęcych instynktach i gapią się na tę wyrachowaną sukę.

Jednak nie przyszła sama. Towarzyszy jej On – elegancki i uśmiechnięty, ale w jakiś sposób martwy. Wyprostowany i pewny siebie, w garniturze, czarnym krawacie i eleganckich mokasynach. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie, że jest taki jak ona, ale wystarczą sekundy, bym zauważył, że jest wewnątrz zniszczony, wysuszony przez swoją ślepą miłość do obiektu, który nim gardzi. Ścisła w swojej potężnej dłoni małą rączkę dziewczynki, na oko siedmioletniej, ubranej w różowe wdzianko.

Trzask!

Pomarańczowy pocisk uderza w plastikową szybkę mojego opakowania i przykleja się do niej. Widocznie jakiś chłopiec bawi się zabawkowym pistoletem. Uśmiecham się do siebie w duchu, choć prawdopodobnie powinienem się złościć. Widzę, jak mała rączka próbuje dosięgnąć przyklejonego do mnie pocisku. Co chwilę pojawia się i znika – pewnie dziecko próbuje doskoczyć do postawionego wysoko pudełka. W końcu małe paluszki zaciskają się na pomarańczowym kawałku gumy, a ja sam szybko ląduję z hukiem na ziemi. Czuję ból rozchodzący się po mojej wacie, a ogłuszający dźwięk wibruje mi w uszach. Ktoś mnie kopie.

– Co to do... – słyszę wysoki, oburzony głos. „O nie! To musi być ona”, przebiega mi przez myśl. Czuję, że ktoś mnie podnosi i po chwili patrzę w tę złowieszczą twarz. Jej wzrok pada na cenę naklejoną w rogu pudełka.

– To jej kupimy.

– Ale kochanie, może dajmy Anicie wybrać, co chce? – defensywnie zaczyna mąż.

– To albo śpisz na kanapie – przerywa mu jadowitym szeptem Ona.

– Dobrze – odpowiada spokojnie.

Ląduję w plastikowym, podniszczonym koszyku. Przez kratki widzę, że kierują się do kasy.

– Tylko to – mówi Ona.

– Na pewno? – pyta kasjerka. Kobieta koło sześćdziesiątki, zakochana w dzieciach po uszy, sama chciałaby mieć z piątkę, ale nigdy nie było jej to dane. Prawdopodobnie zbierała pieniądze przez większość życia, żeby otworzyć sklep, gdzie mogłaby widzieć codziennie uśmiechnięte szkraby.

– Słuchaj mnie, starucho – jej głos kojarzy mi się z syczeniem żmii. – Jeśli chciałabym coś jeszcze, to wzięłabym coś jeszcze, nie uważasz?

– Kochanie, spo... – próbuje uspokoić ją mąż, zdając sobie sprawę, że jest podobny do baranka idącego na rzeź.

– Nie uspokajaj mnie! Bo wiesz co! – syczy w jego stronę.

– To wszystko, proszę pani – mówi Baranek do sprzedawczyni, po czym wyciąga portfel i płaci. Nie widzę tego, ale dam sobie uciąć moją pluszową głowę, że bezgłośnie mówi „przepraszam”.

– Wszystkiego najlepszego – rzuca beznamiętnie Żmija i ciska mną w Anitkę.

Plastikowe pudełko odbija się od dziewczynki, a ja po raz kolejny zaliczam bolesny upadek. Po chwili jednak widzę uśmiech na twarzy patrzącego na mnie dziecka.

– Nazwę cię... – mówi i widzę, że intensywnie myśli. Kieruje wzrok w górę i zastanawia się. – Misio! – wypowiada z najbardziej rozkosznym uśmiechem, jaki tylko mogę sobie wyobrazić. Po czym przytula mnie z całej siły. Boli, ale jest to miły ból. Cieszę się, że dostałem własne imię. Nie jestem już misiem, od teraz jestem Misiem.

Nie wiem, dokąd idziemy, nic nie widzę, bo cały czas jestem wtulony w radosne dziecko. W moją nową, wymarzoną Panią. Udusiłaby mnie, gdybym musiał zaczerpnąć tchu.

– Księżniczko, za dziesięć minut obiad, więc odłóż zabawkę... – zaczyna Baranek,

kiedy tylko wchodzimy do domu.

– Nazywa się Misiu! – przerywa słodko dziewczynka.

– Tak, więc zanieś Misia do pokoju i zaraz przyjdź.

– Tak, tatusiu.

Jestem pełen podziwu, jak szybko mała dziewczynka wbiega po schodach. Drewniane stopnie tylko śmigają mi w oczach.

Dziecko kładzie się na łóżku i zaczyna całować moją pluszową skórę. Jakie to przyjemne! A potem przytula i szepcze do ucha: „Kocham cię, Misiu, będziesz moją ulubioną przytulanką, będziesz ze mną spał i osłaniał przed nocą... i... i... potworami”, a ja rozpływam się w szczęściu i odpowiadam w myślach, że zrobię dla Anitki wszystko. Przysięgam to przed samym sobą, gdy nagle słyszę głos Żmii dobiegający z dołu.

– Ojciec zrobił obiad, na dół, biegiem!

– Już pędzę, mamusiu! – krzyczy Anitka.

– Ile razy mam ci powtarzać?! Nie jestem twoją matką!

– Przestań – słyszę głos Baranka.

– Zamknij się, nigdy nie będę jej matką – odpowiada Żmija. – Mów do mnie pani Hanno – wrzeszczy w przestrzeń.

Dziewczynka podnosi mnie i umieszcza na komodzie, a ja dostrzegam przed sobą jedynie biel ściany. „Odwróć mnie”, myślę, tak będzie mi łatwiej ustawić się, kiedy wróci. Słyszę, że dziewczynka biegnie w stronę schodów. Nagle zapada cisza. Wychwytyuję jedynie delikatne odgłosy szurania dziewczęcych stópek. Wraca. Wreszcie ciepłe paluszki zaciskają się delikatnie na mojej główce. Obracam się w powietrzu i ląduję z widokiem na drzwi wejściowe. Dziewczynka nachyla się i szepcze: „Pilnuj pokoju, Misiu”, po czym znów zrywa się do biegu i znika z pola widzenia.

Wreszcie mogę wstać. Przechadzam się chwilę. Nigdy nie zwiedzałem tego typu pomieszczeń, a to wydaje się strasznie dziwne. Nie ma tu ani jednej zabawki, na półkach stoi tylko obramowane zdjęcie jakiejś kobiety – widocznie matki mojej pani. Żadnych książek, płyt z muzyką czy nawet głupich pamiątek z wakacji, które ktoś kiedyś przywiózł i nie miał gdzie postawić. Jedynie tanie łóżko, obok stare biurko pomazane ołówkiem, komoda, z której właśnie zeskakuję, i wbudowana w ścianę szafa, mieszcząca pewnie ubrania dziewczynki. Nie ma kwiatów czy jakichkolwiek wesołych elementów, jakby dekoratorem wewnątrz był cmentarny upiór. Wtem słyszę, że coś zbliża się do drzwi, ale nie są to kroki. Stoję jak wmurowany, tuż pod miejscem, na którym postawiła mnie dziewczynka. Gdyby tak mnie zastała, pomyślałaby, że spadłem. Widzę jednak pełznące w moją stronę, śliniące się niemowlę. Mentor nie mówił, co robić w takich sytuacjach. Praktycznie rzecz biorąc, takie dziecko jest umysłowo pokrewne zwierzęciu. Niewiele w nim człowieczeństwa. Zastanawiam się – uciekać czy nie? W końcu doświadczenie ruszającego się pluszowego misia może kiedyś odcisnąć się na psychice brzdąca. Rozterki przerywa pulchna rączka, która zaciska się na mnie i wkłada do obślinionej buzi. Dziecko zaczyna gryźć moje biedne ucho, które następnie wyrywa ostrym

szarpnięciem. Szczęśliwie szybko traci zainteresowanie i zaczyna w skupieniu żuć oderwaną część mojego ciała. Ból jest nieznośny. Korzystając z nieuwagi małego potwora, wspinam się na górę.

Wypluwa kawałek pluszu z niesmakiem, ale wyraźnie chce spróbować reszty. Szuka mnie, rozgląda się, lecz nie może znaleźć. Przez chwilę zadziera główkę, patrzy pełnym nienawiści wzrokiem wprost w me plastikowe oczy, jakby obiecując powolną śmierć. Tylko jak załatwić kwestię, że siedzę wymięty i jednouchy na półce? Skoro nie mam ucha, to musiałem spaść, jednak jeśli jestem na górze, wygląda to podejrzanie. Nie mogę zejść, bo mały potwór mnie zabije, nie mogę zostać, bo moja pani będzie coś podejrzewała.

Nagle słyszę jej kroki na schodach. Bobas tymczasem z wyzutą z uczuć miną psychopaty nadal wlepia we mnie głodne gały. Podejmuję decyzję. Spadam na czyhającą na mnie bestię dokładnie w momencie, gdy dziewczynka wchodzi do pokoju. Widok musi być przerażający: oto mały demon bez skrupułów rozrywa na strzępy niewinną ofiarę.

– Nie! Zostaw! Zły Jacek! Zły! – krzyczy Anitka. Ona nawet krzyczy słodko! Kocham ją od pierwszego wejrzenia. Moja obrończyni odpycha agresywne bydlę. Znajduje ucho uwiecznione w krwiożerczych szczękach i wyrywa je niemal nadludzką siłą. Mój aniołek.

– Tato! Jacek je Misia!

Na schodach słyhać chaotyczne tupanie. Żmija i Baranek patrzą, jak Anitka przytula mnie do piersi, jednocześnie chroniąc przed brutalnymi atakami bobasa.

– Ta pieprznięta idiotka próbowała zabić moje dziecko! – krzyczy Ona. – Nasze dziecko! Już ja jej dam!

– Zostaw ją – mówi On. – Dlaczego Jacek nie był zamknięty w kojcu?

– Pewnie ona go wypuściła. – Pokazuje palcem na Anitkę.

– Zabierz Jacka i upewnij się, że nie wyjdzie z łóżeczka – odpowiada mężczyzna.

– Co?! – krzyczy Żmija. – Pozwolisz jej na krzywdzenie mojego dziecka? Swojego dziecka?!

– Lepiej go pilnuj. Anita nic nie zrobiła.

– Ukaraj ją albo pożałujesz!

– Nie! To moja córka, nie twoja! – Baranek ryczy niczym prawdziwy lew.

– Jak sobie chcesz. Ale zapamiętaj. Śpisz na podłodze. I robię to dla naszego Jacka.

W pokoju zapada grobowa cisza.

– Ja nic nie zrobiłam, tatusiu – mówi nagle Anitka. – Dlaczego pani Hanna krzyczy?

– Nie wiem, skarbie, ale wszystko będzie dobrze.

– Tatusiu, Jacek odgryzł Misiowi ucho.

– Przyszyję – odpowiada Baranek, po czym przytula dziewczynkę.

Szkoda mi go, w sumie dobry człowiek, a w wyniku jakichś dziwnych komplikacji męczy się z kimś takim jak Żmija.

Nie wiem, co jest bardziej bolesne – odgryzienie ucha czy jego przyszycie. Czekam



na „operację” w stosunkowo przyjemnych warunkach. Spędzam je przytulony do Anitki, natomiast sam zabieg jest koszmar i trwa bardzo długo. Niezgrabne, nieprzyzwyczajone do szycia ręce wbijają grubą igłę mocno i przekładają dużo dalej niż trzeba, powodując ból zarówno pluszu, jak i waty. Przebrana za pielęgniarkę Anitka natychmiast wynagradza mi wszystkie męki mokrymi całusami. Ucho jest przyszyte krzywo, ale przynajmniej jest.

Popołudnie i wieczór spędzamy na zabawie. Odgrywamy prawdziwy piknik. Picie, co prawda, nie wychodzi misiowi, kiedy nie może przełykać, ale po samym zapachu czuć, że herbata jest bardzo dobra. Anitka opowiada mi dużo o sobie. Mówi, że była zawsze smutna i samotna, dopóki mnie nie poznała. Opowiada, jak pani Hanna ją bije, kiedy taty nie ma w domu, i o tym, że „ma trzymać gębę na kłódkę”. Dowiaduję się, że mama dziewczynki umarła przy porodzie, a ojca uwiodła Żmija. Tyle przynajmniej zrozumiałem. Biedny Baranek, zakochał się w niewłaściwej kobiecie. Żałuję tylko, że moja Pani cierpi, a ja nie mogę nic zmienić.

Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi Baranek.

– Anitko, idź spać. Już późno. I pamiętaj o umyciu zębów. Potem przyjdę poczytać ci bajkę.

– A mogę z Misiem? – pyta.

– Możesz.

– A mogę posprzątać jutro?

– No... możesz – odpowiada i zamyka za sobą drzwi.

Dziewczynka posłusznie wstaje i ścieli łóżko. Kładzie mnie na swojej poduszce i przykrywa tak, że tylko głowa wystaje mi spod pierzyny.

– Żebyś tylko nie zmarł, Misiu – szepcze dziewczynka. – Miałbyś wtedy strasznego pecha! Najpierw ucho, potem byś się przeziębził. Oj, wtedy byłoby niedobrze. Leżałbyś w łóżku cały dzień, a ja musiałabym mierzyć ci temperaturę, poić herbatą i głaskać.

Mentor nigdy nie wspomniał, co to przeziębienie, ale w tej chwili o nim marzę. Moja pani schyla się i serwuje mi buziaka w pluszowy pyszczek, po czym wychodzi. Nie mam nawet ochoty się ruszać. Poza tym nie przykryłbym się tak dokładnie, jak zrobiła to dziewczynka. Zaledwie po kilku minutach wraca przystrojona w różową piżamkę. Zapala lampkę nocną, gasi główne światło, kładzie się obok mnie i krzyczy:

– Tato! Tato! Bajkę! – Odpowiada jej milczenie.

Z pokoju obok dobiega do nas dźwięk krzątania. Coś jakby uderza o ścianę, ktoś krzyczy. Słysząc pospieszne kroki. Do pokoju wbiega Baranek, trzymając się za brzuch.

– Uciekaj – rzezi.

Jest cały w jakiejś ciemnoczerwonej mazi, która wydaje się tym, co Mentor nazywał krwią i co określił jako „wata człowieka”. Dodał również, że „człowieka nie da się łatwo zszyć ani skleić – mocno porwany nie działa”. Dziewczynka patrzy z przerażeniem na swojego ojca.

– Tatusiu, co się stało?

– Ucie... – próbuje wysapać.

Za nim stoi Żmija, trzymając w dłoni zakrwawiony nóż.

– Chodź do mamusi – mówi Ona, a ja wiem, że Anitka nie powinna do niej podchodzić. Baranek osuwa się na ziemię, a kałuża krwi dookoła niego zaczyna rosnać.

– Co się stało tatusiowi? – pyta przestraszona dziewczynka.

– Nic, niedługo dojdzie do siebie – mówi Żmija. Pierwszy raz widzę, jak się uśmiecha. Czuję kurczowo zaciskające się na mnie rączki.

Zauważam nieznaczny ruch. Ktoś jeszcze jest w domu.

– Już? – dobiega mnie niski, męski głos.

– Już – odpowiada Żmija i w tej samej chwili podrzyna gardło dziewczynce. – Co z nożem?

Paluszki rozluźniają się. Spadam. Nie muszę patrzeć, żeby wiedzieć, że ciało Anitki leży bezwładnie na podłodze.

– Bierzemy ze sobą – odpowiada głos.

Łysy, wysoki mężczyzna chwyta kanister, polewa łóżko dziewczynki żółtą, śmierdzącą cieczą. Zapala zapalniczkę i rzuca na mokrą pościel.

– Jesteś pewna, że jest ubezpieczony?

Pomieszczenie rozświetla łuna ognia.

– O tak! Sama go do tego namówiłam. Czekaj chwilę, tylko wezmę Jacka – słyszę jej głos dochodzący z korytarza.

Nie mogę uwierzyć, że to koniec. Wstaję i patrzę na swoją panią, na jej dogorywające ciało. Wydaje mi się, że słyszę jej słodki głos, który szepcze mi do ucha: „Kocham cię, Misiu, będziesz moją ulubioną przytulanką, będziesz ze mną spał i osłaniał przed nocą... i... i... potworami”.

Wzbiera we mnie żądza mordy – uczucie dotychczas obce. Słodka Anitka zaszlachtowana na moich oczach, a ta podła Żmija śmie chodzić po ziemi. Wpadam w furję. Nienawiść rozchodzi się po moim wacianym ciele. Mentor nigdy nie uczył nas, co należy robić w takiej sytuacji. Ale ja nie potrzebuję podpowiedzi. Ostatnie słodkie cząsteczki miłości wplątanej w pluszowe ciało czernieją i zmieniają się w zabójczy szal. Biegnę ile sił w nogach za Nią i jej osiłkiem. Skaczę prosto na rękę, w której trzyma nóż. Narzędzie wypada z jej dłoni, a ja ląduję tuż obok. Chwytam je trochę niezgrabnie miękkimi, ale dziwnie silnymi rączkami, a para zabójców wgapia się we mnie zszokowana. Nie zdawałem sobie sprawy, jak szybki potrafię być. Wyskakuję w górę i w locie chlastam błyszczącą klingą gardło mężczyzny. Słyszę wysoki krzyk Żmii. Odbijam się od ramienia umierającego faceta i mknę w stronę morderczynie. Nie zamierzam jej zabić. O nie. Mam lepszy pomysł. Ona rzuca się do ucieczki, lecz ja w mgnieniu oka przecinam jej ścięgna Achillesa. Pada na twarz, a otwarte rany tuż nad kostkami kłapią jak bezzębne usta. Z nożem w jednej łapce, drugą wlokę ją do pokoju obrzydliwego bachora.

Wyje, błaga o litość, ale ja nie puszczam, nie po tym, co zrobiła. Wbijam się tępawym, kuchennym nożem w jej kręgosłup i przekręcam ostrze. Nieruchomieje niemal natychmiast, choć nie przestaje wrzeszczeć. Ciągnę dalej już bezwładne ciało kobiety. Moja wata, wspomagana nadludzką nienawiścią, jest silniejsza od mięśni

człowieka. W dziecięcym pokoju czuć smród palonych zwłok. Niemowlę płacze i dusi się dymem. Dźwigam kojec, równocześnie ukradkiem zsuwam owinięte kocym dziecko na podłogę. Z rozmachem ciskam szczebelkowe łóżeczko na żer płomieni, a ona ryczy opętańczo, przekonana, że jej jedyny potomek właśnie zamienia się w popiół. Nie pozwalam, żeby dłużej leżała twarzą do posadzki, pilnuję, by patrzyła do końca. Wystarczy. Wykłuwam jej oczy. Dość już widziały.

Wyciągam zapłakane niemowlę spod koca. Zaopiekuję się nim. Może uda mi się wychować dzieciaka na ludzi. Kobieta krwawi, ślini się, bełkocze. Chyba postradała zmysły, a na pewno jest sparaliżowana. Upajam się wizją, jak – jeśli jakimś cudem zdoła przeżyć – będzie opowiadać o szalonym misiu mordercy.

Wynoszę niemowlę na zewnątrz, sam układam się niedbale obok. Słyszę nadjeżdżający wóz strażacki. W gęstym dymie płonącego domu wyraźnie dostrzegam swój życiowy cel: będę dawał szczęście dzieciom i zabijał potwory.

# Marcin Rojek

## SŁODKICH SNÓW

Pluszowy miś usiadł zmęczony. Wyjął z kieszeni urwane uszko i potarł je łapką. Pomyślał, że odpocznie tylko chwilę i pójdzie dalej. Do Przejścia nie było już daleko, jeszcze tylko minutka, góra pięć. Pójdzie do skrzyni z lalkami, tam dziewczyny go zszyją i będzie jak nowy. Nawet jakiś guzik na oczko się znajdzie. Rano ludzie się obudzą. Mama przyjdzie obudzić Kacperka, który ponarzeka, że się nie wyspał. Wyjmie go ze skrzyni i przytuli. Świat znów zaśnie różową poświatą. Jeszcze tylko chwila.

Rozplakał się. Kulki włóczki stoczyły się z policzków. Nie dał rady dłużej udawać, że to prawda. Nie wróci do domu, nie da rady. Zginie tutaj, w miejscu, do którego nikt nie powinien wchodzić. Już nigdy nie zobaczy Kacperka ani nie dotknie łapką jego twarzy.

Spojrzał za siebie.

Nadchodziły. Miś nie miał już siły walczyć. Stracił broń i kompana. Pierwszy raz w swoim pluszowym życiu bał się. Odwrócił wzrok. W gęstym mroku widział Przejście, było jednak zbyt daleko, żeby do niego dotarł. Choćby teraz wstał i zaczął biec. Dogonią go i rozszarpiają, tak jak zrobili to z rycerzem Maćkiem. Na nic się nie zdała plastikowa zbroja, będąca jego dumą. Miś pierwszy raz widział, jak zabijają zabawkę.

Siedząc tutaj i podejmując jakąkolwiek próbę walki, może uda mu się powstrzymać je na tyle, żeby nie dotarły do Przejścia. Był gotów oddać życie za to, żeby Kacperek nie musiał znowu płakać.

Schowwał ucho do kieszonki. Jednym okiem uważnie lustrował okolice. Szły prosto na niego, nie bawiąc się w podchody czy strategię. Były ich dziesiątki. Widział niosących symbole węży, piorunów i wielkich psów. To właśnie tych Kacperek bał się najbardziej. Gdzieś dalej za nimi był jeszcze ten jeden, najgorszy. Miał na sobie symbol ciemności i widać go było dopiero, gdy wgryzał ci się w serce.

Miś przełknął ostatnią łzę. Były już tak blisko, że widział ich skrzywione pyski. Gęsta ślina kapłała im pomiędzy kłów. Ktoś, kto widział ich pierwszy raz, padłby z przerażenia, jednak Miś walczył z nimi już od dawna. Nie bał się tego, jak wyglądają, tylko tego, co zrobią Kacperkowi, kiedy jego obrońca zawiedzie.

Miało być tak jak zawsze. Dwie zabawki bronią Przejścia. Czuwają całą noc, rano, zwycięskie wracają na swoją stronę. Dzieci śpią spokojnie. Wszystko zgodnie z planem. Dziś jednak coś było inaczej. Było ich o wiele więcej niż zwykle. Zdarzały się dni, kiedy Kacperek bał się czegoś, idąc spać, wtedy zawsze potwory były liczniejsze, jednak nigdy nie było ich tyle, co teraz.

Były tylko kilka metrów od niego. Czuł smród bijący z ich pysków. Szeroko rozłożył ręce, zamknął oczy i zaczął krzyczeć.

Dopadli go. Wrzeszczał, ile sił w pluszowych płucach i na ślepo machał łapkami, łudząc się, że w coś trafi. Czuł ciepło ciał przebiegających obok niego. Czasem zahaczył o niego jakiś róg czy kolec. Mijali go, obojętnie, jakby był tylko kolejnym kamieniem na ich drodze. Biegli wprost do Przejścia. Trwało to tylko kilka krótkich

minut. Ostatni potwór przebiegł obok i został po nim tylko okropny zapach. Miś otworzył oczy. Zrobiło się zimno. Poczul, jak coś obślizgłego dotyka jego nogi. Krzyknął, kiedy tajemnicza siła unosiła go w powietrze. Wisiał głową w dół, patrząc, jak przed nim materializuje się najgorszy z Koszmarów. Ciemność. Najpierw pojawiły się zielone ślepie o pionowej źrenicy. Po nich, pokryty rogami i dziurami, kształt czaszki, z której coś wylewało się i ciekło.

Paszczka pełna długich zębów otworzyła się.

– Przepraszam – wyszeptał Miś.

Paszczka zamknęła się z trzaskiem.

Miś wyprostował się gwałtownie, strasząc stojące dookoła niego zabawki. Zielony Generał skinął skrytą pod hełmem głową i odwrócił się do wciąż leżącego nieruchomo rycerza Maćka. Ignorując narastający w głowie szum głosów zadających banalne pytania, Miś odtrącił kogoś łapką i zbliżył się do Generała.

– Maciej już się nie obudzi – powiedział.

Nastąpiła cisza. Po chwili przerwał ją odgłos odpadającego z misiowej głowy guzika. Jeden ruch łapką i obluzowane uszko też odpadło.

Zabawki milczały, wpatrzone w okaleczonego Misia.

– Idziemy do sztabu, tam mi wszystko opowiesz.

Siedzieli w dużym pudełku, przy stoliku z domku dla lalek. Generał spokojnie słuchał opowieści Misia. Kiwał tylko głową, czasem mocniej zaciskając pięści.

– Uratował cię świt – powiedział po wszystkim. – Gdyby nadszedł sekundę później, emisariusz ciemności pożarłby twoje serce.

– Wiem. – Miś siedział ze spuszczoną głową, ukrytą w łapkach i starał się nie rozplakać. – Co my zrobimy?

– Na razie odpoczniemy. Niedługo mama obudzi dzieci, a my będziemy postępować zgodnie z planem. Wejdziemy w stazę i spędzimy dzień na zabawie. Wieczorem natomiast wyślemy do Krainy Snów więcej zabawek. Skończył się czas dwójkowych patroli. Wyślemy dziesiątkę najmocniejszych żołnierzy, Rexa, czołgistów i superbohaterów.

– Z całym szacunkiem, nie dadzą sobie rady. Koszmarów były setki. Jeśli nie więcej. Nie jesteśmy w stanie ich pokonać.

– A co mamy zrobić? Siedzieć spokojnie i słuchać, jak nasze dziecko płacze w nocy? Pozwolić, żeby po jego główce bez problemów pałętały się koszmary? Mamy przestać walczyć? Idź to powiedz Maciejowi, że na nic jego poświęcenie. Dał zeżreć swoją duszę na darmo, bo poddajemy się, jak tylko zobaczymy zagrożenie. Zrobisz to?

– Przecież pan wie, że nie.

– To zbieraj pluszową dupę w troki i idź do lalek, niech cię poskładają do kupy. Dziś w nocy masz wolne, musisz odpocząć, ale jutro oczekuję od ciebie pełnej gotowości bojowej.

– Tak jest.

– Odmaszerować.

Miś wstał i skierował się ku wyjściu.

– Jeszcze jedno – generał zawołał za nim. – Przykro mi z powodu Macieja. Był dobrym chłopakiem. Będzie go nam brakowało.

– Dziękuję.

Wyszedł.

Zielony Generał został sam w dużym pudełku. Spojrzał na zegarek. Do pobudki jeszcze ponad pół godziny. Miał dużo czasu, żeby przemyśleć sytuację, rozważyć jej przyczyny i szukać rozwiązań.

Trzy minuty później płakał.

Miś poszedł do Macieja. Rycerz leżał nieruchomy. Dookoła niego czekały zabawki, przerażone sytuacją i żadne wytłumaczeń. Miś odpowiadał więc na pytania i przyjmował kondolencje. Powiedział im wszystko. Kilka lalek zemdłało, inne płakały. Mężczyźni i stworzenia bez określonej płci zniosły to lepiej. Wiedzieli, że wieczorem czeka ich cięższa walka, niż spodziewali się jeszcze godzinę temu.

Pięć minut do pobudki. Już słyszeli, jak mama krząta się na dole. Zaraz wejdzie do sypialni Kacperka. Kiedy tylko otworzy drzwi, wszystkie zabawki znieruchomieją, pogrążając się w stazie. Będą czekać w zawieszeniu, niezdolne do najmniejszego ruchu, aż do wieczora. Kiedy dzieci kładą się spać. Dopiero wtedy, kiedy nie będą mogły ich zobaczyć żadne ciekawskie oczy, przebudzą się ze swojego snu. Będą mogły chodzić i rozmawiać. Wszystkie oprócz Macieja.

Zabawki usłyszały kroki na schodach. Szybko schowały się w wyznaczone miejsca. Miś zaniósł Macieja do pudełka, po czym sam udał się na półkę, gdzie odłożył go Kacperek.

– Wstawaj kochanie, czas do szkoły. – Mama weszła do pokoju i rozsunęła kotary, zalewając wnętrze światłem. Pocałowała syna w czoło i patrzyła, jak otwiera zaspane oczy.

– Jakies koszmary? – zapytała.

– Żadnych, mamusiu – odpowiedział Kacperek.

Po nieruchomym obliczu Misia spłynęła jedna, pluszowa łza.

Kacperek szybko wrócił ze szkoły. Resztę dnia miał spędzić w otoczeniu swoich ulubionych zabawek, dzięki nim przeżywając kolejne przygody w fantastycznych światach. Jeszcze rok temu otaczał się misiami i innymi pluszowymi zwierzętami, teraz jego uwagę bardziej przykuwały figurki żołnierzy, superbohaterów, roboty, kosmonauci i strażacy. Kacperek organizował napady na banki, ratował zabawki z wypadków, wymyślał kryzysy i problemy. A wieczorem, kiedy najedzony i utulony przez mamę kładł się spać, zabawki wracały do życia. Zajmowały się swoimi sprawami, drobnymi naprawami, sprzątaniami i jeszcze jedną ważną rzeczą.

Walką.

Miś, choć bardzo chciał, nie mógł wejść do krainy snów. Zielony Generał by mu na to nie pozwolił. Dziś przechodziła elita. Najlepsi z najlepszych, najpotężniejsi wojownicy wśród zabawek. Sytuacja była o wiele poważniejsza niż zwykle, dlatego Generał wysyłał dziesiątkę. Pięć robotów, zmieniających się w dinozaury, minotaur z wielkim toporem, Kapral Dziwaczny, czyli żołnierz na stałe połączony ze swoim czołgiem, lew z zębami ostrymi jak noże, superbohater oraz Czarny Rycerz, mistrz i

mentor Macieja, pragnący pomścić śmierć ucznia.

Zabawki piszczwały z wrażenia, obserwując tę drużynę. Jeszcze nigdy tak wielu nie przechodziło na drugą stronę. Zielony Generał, jaśniejac dumą, stał przy łóżku Kacperka. Wszyscy byli pewni, że się uda. Herosi wrócą zwycięscy, koszmary uciekną do swoich nor i już nigdy nie uda im się zebrać tak wielkiej siły. Tylko Miś kiwał głową na boki i prosił, żeby go posłuchać.

Nadszedł moment przejścia. Zabawki czekały na Kruka. Czarne ptaszysko przyleciało po chwili, trzepocząc foliowymi skrzydłami.

– Podejdźcie – zaskrzeczał Kruk. Gdy go posłuchali, dotknął czoła każdego z żołnierzy, cały czas mruczac coś pod dziobem. – Przejście za chwilę się otworzy. Koszmary znów będą próbować dostać się do głowy naszych dzieci. Nie możemy na to pozwolić. Dlatego pójdziecie na ich terytorium i tam ich powstrzymacie. Niech stwórca będzie z wami.

Dziesięć uzbrojonych po zęby zabawek jak na komendę upadło na dywan. Ich dusze przeniosły się do świata snów. Miś popatrzył na Macieja. Zadrżał na wspomnienie tego, co stało się z jego przyjacielem. Miał nadzieję, że się mylił i wszystko będzie dobrze. Podeszedł do zwłok rycerza i przytulił je z całych sił. Trwał tak przez pół nocy, wsłuchując się w regularny oddech Kacperka. Z każdą mijającą minutą bał się coraz bardziej.

Wszystkie zabawki zgromadziły się przy łóżku. Czekwały. Zielony Generał chodził w kółko, gryzac plastikowy hełm.

Kacperek zaczął płakać. Po pokoju przeszedł jęk zawodu. Załamane zabawki przyłączyły się do chłopca. Generał usiadł na dywanie i pustymi oczami wpatrywał się w swoich żołnierzy. Wiedział, że żaden z nich już nigdy się nie obudzi. Choć chciał tak wiele powiedzieć, to jego usta poruszały się bezgłośnie.

Płacz ukochanego dziecka wgrzył się do głowy Misia. Wypełniał jego malutki mózdzek coraz bardziej, aż do momentu kiedy nie istniało nic oprócz niego. To było najgorsze uczucie na świecie. Nie mógł dłużej tego znieść. Wstał, ostrożnie odłożył ciało Macieja i poszedł zrobić coś, czego żadna zabawka nigdy nie powinna robić. Wspiął się na łóżko, podeszedł do płaczącego Kacperka i zaczął bić go po twarzy. Uderzał pluszowymi łapkami tak długo, aż płacz ucichł. Sekundę później, kiedy oczy dziecka otworzyły się, Miś leżał nieruchomy na kołdrze, a po pokoju rozeszło się echo zamykanych skrzyń z zabawkami.

– Mamo! – krzyczał Kacperek. – Mamo!

Mama wpadła do pokoju pół minuty później, w biegu zapalając światło. Dopadła do dziecka i przytuliła je bardzo mocno, własnym ciałem tłumiąc wybuchły nagle płacz. Żadne z nich nie zauważyło Misia, który ukradkiem zsunął się na podłogę i wtoczył pod łóżko, żeby tam w spokoju oddać się swojemu smutkowi.

Zielony Generał wrzeszczał i wrzeszczał. Miś, choć siedział w spokoju i bez dyskusji zbierał burę, myślami był gdzieś indziej. Chciał coś zrobić, żeby Kacperek następnej nocy nie musiał już płakać. Nie cieszył się wcale, że miał wtedy rację, a dziesięciu wysłanych wojowników leżało teraz pozbawionych dusz.

Miś wstał, wywracając krzesło.

– Z całym szacunkiem, ale zrobiłem to, co było potrzebne. Koszmary dopadły nasze dziecko i tylko ja miałem na tyle odwagi, żeby coś z tym zrobić. Powiem panu więcej, nie mam pojęcia, jaki jest plan na dzisiejszą noc, ilu żołnierzy chce pan poświęcić, żeby utrzymać przy życiu iluzję kontroli, ale ja nie mam zamiaru słuchać, jak Kacperek płacze. Przechodzę na drugą stronę i zrobię z tym coś. Raz na zawsze.

Wyszedł, trzaskając plastikowymi drzwiami.

Zielony Generał długo siedział bez ruchu, zastanawiając się, ile racji miał ten szurnięty pluszak. W końcu mama przyszła na górę i zabawki weszły w stazę.

Do zapadnięcia zmroku panował spokój.

Kacperek zasnął. Przez cały wieczór był jakiś dziwny. Przed położeniem się do łóżka powiedział mamie, że się boi. Nawet najbardziej naiwne zabawki wiedziały, że ta noc będzie bardzo ciężka. Najbardziej pewny był tego Miś. Szedł pomiędzy dawnymi przyjaciółmi, myśląc tylko o tym, jak bardzo byli słabi, kiedy pojawiały się jakieś problemy. Stanowiliby idealną obsadę serialu dla trzylatków, wszyscy śmiali się i cieszyli, a kiedy działo się coś złego, potrafili tylko załamywać ręce i płakać. Miś nie chciał być taki jak oni. Chciał coś zrobić. Wiedział, że nie znieś następną noc pełną łez. Nic nie boli tak bardzo jak płacz ukochanego dziecka.

Zabawki patrzyły na niego jak na szaleńca. Pewnie mieli rację. Co z tego. Skoro jego pluszowe szaleństwo miało pomóc Kacperkowi przespać spokojnie chociaż jedną noc, to było warto.

Zielony Generał razem z Krukiem czekali przy łóżku. Zbliżający się do nich Miś nie widział żadnych żołnierzy czekających na Przejście. Po wczorajszej klęsce strach zaległ się w sercach zabawek. Skoro dziesięciu najsilniejszych nie dało rady, to co inni mogą zrobić?

Cisza, zalegająca w pokoju, przerywana jedynie spokojnym oddechem dziecka, zdawała się trwać w nieskończoność. Miś, pewny swego, stanął przy Generale.

– Idę tam. Możesz próbować mnie powstrzymać, ale ci się nie uda. – Pluszak z całych sił zaciskał pięści, gotów wywalczyć sobie drogę i wymusić na kruku przeniesienie do krainy snów.

– Nie mam zamiaru – odpowiedział Generał. – Nie wiem, co innego mógłbym zrobić. Nikt nie chce iść, wszyscy się boją. Idź, jeśli chcesz. Będę się modlił, żebyś znalazł jakiś sposób.

Zabawki odsunęły się daleko od szaleńca. Kruk pokiwał tylko głową. Wyciągnął skrzydło i przywołał Misia do siebie.

– Jesteś tego pewien? – zapytał. Będziesz sam, nikt inny z tobą nie pójdzie – Tak. Zrób, co do ciebie należy, a ja się zajmę koszmarami. Dobrze?

Kruk kiwnął dziobem. Wyrecytował inkantację. Przejście do krainy snów kolejny raz stanęło otworem. Miś spoglądał w nie, aż jego dusza oddzieliła się od ciała i popłynęła ku górze.

Zielony Generał nie wytrzymał. Podbiegł do Kruka i szepnął coś do niego. Ptak bez słowa dotknął jego czoła. Po chwili plastikowe ciało leżało obok nieruchomego Misia.

Zabawki wstrzymały oddech. Wszystkie, bez wyjątku, patrzyły na miarowo



poruszający się pod kołdrą kształt, który w każdej chwili mógł wybuchnąć płaczem.

Czekały.

Miś wziął głęboki wdech. Dookoła było cicho i spokojnie. Wiedział jednak, że okolica jest pełna koszmarów i ich nieczystych symboli. Był pewien, że zaraz rzucą się na niego, gotowe rozerwać pluszowe ciało na strzępy, żeby tylko dostać się do umysłu dziecka i siać w nim chaos i zniszczenie. Był gotów na ich przyście. Musiał ich powstrzymać.

– To co robimy? – zapytał Generał, stając obok Misia.

– Jednak pan przyszedł. – Miś położył mu łapę na ramieniu.

– Nie mogłem cię zostawić samego. Nie mam pojęcia, co chcesz zrobić, ale jestem pewien, że przydałoby ci się wsparcie.

– Dziękuję.

– To jaki mamy plan? – Zielony podwinął rękawy i przeladowywał broń, przygotowując się do walki. – Masz jakąś cudowną sztuczkę albo pułapkę?

– Nie. Pan ma broń i dobrą okazję, żeby jej użyć. Ja – uśmiechnął się, pocierając wyjęte z kieszonki ucho – pójdę prosto w serce hordy, znajdę emisariusza ciemności i dam mu się zabić.

– Tobie naprawdę odbiło. – Generał stał spokojnie. Było już za późno na przekonywanie czy próby wybicia mu tych durnych pomysłów z pluszowego łba.

– Wiem. – Spojrzał na horyzont. – Nadchodzą.

– Przygotujmy im gorące powitanie. Powinienem mieć tu kilka granatów.

– Niech pan walczy najlepiej jak umie. Jeśli mi się nie uda, tylko pan będzie mógł ich powstrzymać.

Generał kiwnął tylko głową. Miał zbyt zaciśnięte gardło, żeby cokolwiek powiedzieć. Miś uśmiechnął się do niego, odwrócił i odszedł w kierunku nadciągających potworów.

Krok za krokiem pluszowe stopy niosły Misia coraz bliżej zagłady. Był pewien, że umrze tej nocy, ale uśmiechał się szeroko. Koszmary były coraz bliżej. Nadciągały setkami, niosąc symbole swoich panów. Każdy parszywiec, którego bały się dzieci, miał tu swoich sługusów. Każdy chciał zniszczyć noc biednego dziecka. Wypełnić ją płaczem i smutkiem. Jednak Miś na to nie pozwoli. Pokona ich wszystkich. Zaśmieje się złu w twarz. Odejdzie i to z wielkim hukiem.

Koszmary były już bardzo blisko. Tak jak ostatnio widział ich żółte i czerwone oczy, czuł smród bijący z pysków i słyszał ślinę kapiącą spomiędzy zębów. Ponadto wszystko wybijało się echo setek nóg i kończyn, pędzących w kierunku Przejścia.

Generał zaczął ostrzał. Karabin zalewał potwory gradem pocisków, a rzucane granaty rozrywały ich obrzydliwe ciała. Koszmary umierały, wrzeszcząc, i zalewały ziemię parująca posoką.

Miś wszedł pomiędzy ginących z uśmiechem na twarzy. Patrzył tylko na jeden punkt, przed sobą, pewien, że tam, gdzie mrok jest najgęstszy, czai się najgorszy z potworów. Reszta koszmarów jakby go nie zauważała. Przebiegały obok niego, całą uwagę skupiając na walczącym Generale.

Nie niepokojony przez nikogo pluszak został sam na piaszczystej równinie.

Wrzaski, piski i umieranie zostały daleko w tyle. Przestały istnieć, przestały się liczyć. Został tylko Miś i wirująca ciemność, stopniowo nabierająca kształtów. Niewidoczne macki chwyciły pluszaka i podniosły go w powietrze. Miś znów wisiał głową w dół, patrząc w pionowe, zielone źrenice. Wszystko było tak jak wcześniej. Brakowało tylko jednego, drobnego szczegółu. Strachu. Koszmary były przerażające, niosący symbol mroku najbardziej z nich wszystkich. Miś powinien drżeć ze strachu, jednak wciąż się uśmiechał. Nawet kiedy patrzył w oczy śmierci, która za ułamek sekundy rozerwie jego serce na strzępy.

– Nie boję się ciebie. Jesteś tylko cieniem na zasłonie i gałęzią stukającą o szybę. Pustką, którą trzeba wypełnić.

Koszmar, nieczuły na słowa Misia, zbliżał się do niego, ukazując długie zęby.

– Kocham cię, Kacperku – powiedział pluszak, dotykając rękami własnej piersi. Jego dłonie zagłębiły się w ciało i wyjęły bijące serce. Pokryty krwią, ciekącą z rozerwanych żył, mięsień świecił pulsującym białym światłem. Wszystkie koszmary zatrzymały się, zaskoczone. Zielony Generał odrzucił od siebie potwora, któremu właśnie skrzyknął kark. Wykorzystując sytuację, podniósł utracony karabin i znów zaczął strzelać.

Miś wciąż trzymał serce w dłoniach. Choć światło już się cofnęło, koszmar trwał nieruchomo z szeroko otwartą szczęką.

– Gryź – wrzasnął pluszak, czując uciekające siły. – Gryź!

Wepchnął serce w paszczę potwora i bił go po łbie tak długo, aż zęby zacisnęły się na jego sercu.

Świat przestał istnieć. Został tylko ból, większy niż cokolwiek innego. Emanował, pulsował i wylewał się z Misia, wyrzucając niesamowite ilości energii. Pluszak umierał. Wyciągnął dłonie do szarego cienia wiszącego nad nim. Uśmiechnął się i przyjął zimny pocałunek.

Zielony Generał usłyszał najstraszniejszy krzyk w całym swoim życiu. Wtedy poczuł eksplozję. Światło wróciło, wielokrotnie silniejsze. Rozprzestrzeniało się po równinie, zmieniając każdego potwora, którego dotknęło, w pył. Koszmary próbowały uciekać, jednak energia doganiała ich wszędzie. Generał zdążył jedynie zakryć oczy ręką, kiedy fala uderzeniowa trafiła i w niego.

Zielony Generał gwałtownie wyprostował się i wciągnął powietrze. Leżał w pokoju Kacperka, otoczony zaniepokojonymi spojrzeniami zabawek. Był już prawie ranek. Zalało go morze pytań. Przytłoczony, cicho prosił o spokój. Minęła dłuższa chwila, zanim zabawki posłuchały jego prośby.

– Czy Kacper był spokojny? – zapytał.

– Tak – odpowiedział ktoś z tłumu.

– Boże kochany, to znaczy, że mu się udało. Ten mały, pluszowy szalenciec załatwił ich wszystkich. – Podwinął nogi pod siebie i zaczął się śmiać.

– Czy to znaczy, że Miś nie żyje?

– Tak mi się wydaje, ale znacie go tak dobrze jak ja. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

Niedługo później z dołu przyszła mama. Obudziła Kacperka, wyjątkowo zadowolonego i wyspanego. Razem zeszli na dół. Pogrążone w stazie zabawki

czekały spokojnie, aż nadejdzie wieczór i będą mogli świętować.

Tylko Zielony Generał wciąż bił się z myślami. Rozsądek nakazywał myśleć, że Miś nie żyje, jednak oprócz tego było jeszcze coś. Niewyraźne wspomnienie, przesłonięte mgłą i ukryte na dnie mózgu, w którym coś podnosi go, będącego na granicy przytomności. i niesie do Przejścia. Coś bardzo przypominające małego, pluszowego misia.

Jednego Generał był pewien. Przez długi czas będą mieli spokój. Kacperek będzie spał głęboko, nienękany przez żadne koszmary. Ale one kiedyś wrócą. Rozmnożą się i będą próbować zakłócić sen ich dziecka. Wtedy znów wejdą do krainy snów, z pamięcią o poświęceniu Misia, które uratowało ich wszystkich, z miłością w sercach i uśmiechami na twarzach.

Będą walczyć, choćby mieli za to zapłacić własnymi duszami.

# Marta Krajewska

## ŚPIJ, CHŁOPCZYKU

– Proszę zwrócić większą uwagę na synka – poprosiła przedszkolanka. – On bardzo pana teraz potrzebuje.

Mężczyzna skinął z wymuszonym uśmiechem. W ciągu ostatniego miesiąca nasłuchał się tylu wyświechtanych frazesów, że nie silił się już nawet na odpowiedzi. Chciał tylko wrócić do domu, najszybciej jak to możliwe.

– Ja wiem, że panu też jest trudno. – Kobieta najwyraźniej źle odczytała wyraz jego twarzy. – Bardzo mi przykro. Ale wie pan, to jest mały chłopiec, sam sobie z tym nie poradzi. Zauważyłam też, że ma strasznego siniaka na prawym udzie. No i ten guz na czole...

– Tak, wiem, ma talent do robienia sobie krzywdy – odparł skrepowany. – Jak to chłopak.

– No tak, ale chciałam z panem porozmawiać, ponieważ myślę, że Jasiu w ten sposób próbuje zwrócić na siebie uwagę. Wie, że kiedy coś mu się stanie, przytula go pan, pociesza, a on za tym tęskni. Nie sądzi pan?

Krzysztof zastanawiał się chwilę nad jej słowami.

– Może coś w tym jest – przyznał. – Żona okazywała mu tyle czułości, że chyba przywykłem, że to jej działka.

– Tak, mężczyźni chyba tak mają. – Uśmiechnęła się wychowawczyni. – Ale proszę się postarać. To zacieśni więź między wami, a teraz musi pan być mu nie tylko tatą, ale też trochę mamą.

Krzysztof wiedział. Słyszał to już tyle razy, że dobre rady wychodziły mu uszami. Na szczęście już po chwili udało mu się pożegnać z przedszkolanką i wyjść na świeże powietrze. Jesienne popołudnie pachniało wygrzаныmi w słońcu, opadłymi liśćmi.

Ada, szwagierka Krzysztofa, odebrała małego z przedszkola kilka godzin wcześniej. Mężczyzna przyjechał prosto z pracy, na spotkanie z wychowawczynią. Spieszył się jak mógł, a i tak był już prawie wieczór. Za późno, by mały chłopiec mógł czekać w przedszkolu.

Na wiele rzeczy zresztą było już za późno.

– Jestem! – zawołał od progu, ale najwyraźniej nie został usłyszany, bo nikt nie wybiegł mu na powitanie.

Odwiesił płaszcz, wszedł na korytarz i westchnął. Przed sobą miał budowlę zajmującą większą część podłogi. Pomiędzy klocki powtykano na sztorc zaostrome kredki. Spróbował ominąć zamek i natychmiast stracił równowagę. Autko, na które nadepnął, odjechało mężczyźnie spod nogi. Desperacko zamachał rękami. Oczyma wyobraźni zobaczył własną twarz nadzianą na ostre końce ołówków.

Szczęśliwie natrafił dłonią na ścianę i ustał.

– Kurwa mać! – mruknął wściekle, rozmasowując obolałą stopę o drugą nogę. – Jasiu! Zbieraj to cholerstwo, bo zaraz pójdzie do kosza!

Z pokoju obok wysunęła się zaskoczona hałasem młoda kobieta, a zaraz za nią przydreptał czterolatek. Zamiast rzucić się ku ojcu, niepewnie trzymał się cioci.

– O, jesteś – zauważyła pogodnie Ada. – Zbudowaliśmy zamek. Jasiu chciał, żebyś zobaczył.

– No, piękny – odparł wciąż poirytowany Krzysztof. – A teraz posprzątaj, synku. I nie zostawiaj autek byle gdzie, bo prawie się wywróciłem.

– Ale chcę znaleźć Dzekiego – zamarudził chłopiec.

– No dobrze. – Kobieta pogłaskała go po króciutko przystrzyżonych włoskach. – To najpierw poszukaj Dzekiego, a potem posprzątaj grzecznie, dobra?

Malec skinął głową i wrócił biegiem do pokoju.

– Co ty robisz? – warknął Krzysztof półgłosem. – Ja mu mówię, żeby sprzątał, a ty go odsyłasz. Nie podważaj mojego autorytetu.

Pokręciła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Weź, daj spokój, Krzysiek. Niech znajdzie miśka, bo nudzi o niego od pół godziny. Jak znajdzie, to posprząta, a tak to będzie ci tylko marudził.

Krzysztof zacisnął szczęki i postarał się opanować. Siostra żony bardzo mu ostatnio pomagała i miała duży wpływ na dziecko. Zbyt duży. Chyba to go tak denerwowało.

– Słuchaj, a co to za ciocia Kaja? – Zaskoczyła go pytaniem. – Jasiu wygadał się, że była u was na noc. Masz kogoś?

Mężczyznę zatkało, ale szybko się opanował i parsknął lekceważąco.

– Gdzie tam była?! Zamykamy kwartał w firmie i długo siedzieliśmy nad raportem. Wyszła, jak już spał, a rano przyjechała po mnie, zanim się obudził, bo odbieraliśmy z lotniska naszego managera z Francji. – Zamilkł na sekundę, po czym dodał ciszej. – Fajna jest, nie powiem, ale ja chyba jeszcze długo... no wiesz. Nie myślę teraz takimi kategoriami. Za wcześnie.

– Jasne. – Ada szybko pokiwała głową. – Dobra, to ja się zmywam. Jutro tak jak dzisiaj? Dobrze. Pa, Jasieńku!

Dzięki się znalazł. Leżał w korytarzu, przykryty kurtką, która spadła z wieszaka. Mimo odnalezienia zguby Krzysztofowi z trudem przyszło namówienie syna do posprzątania zamku z klocków. Najpierw prosił i tłumaczył. Potem warczał. W końcu nawrzeszczał na chłopca i wściekłym kopniakiem rozrzucił zabawki po podłodze.

Jaś zawył przeraźliwie i rozplakał się, mocno przytulając misia.

Krzysztof wyszedł na balkon zapalić papierosa. Wiedział, że jeszcze chwila i tamten kopniak trafiłby w małego zamiast w zabawki.

Kiedy wrócił do mieszkania, mały klęczał na podłodze i pociągając nosem, wrzucał klocki do skrzyni. W jednej rączce wciąż ścisnął przytulankę. Rękawem podkoszulka raz po raz ocierał łzy i katar.

Krzysztof patrzył na synka, na jego małe rączki, nadąsane usteczka i kruche ciało, tak sprawne już, chociaż wciąż nieporadne. Wiedział, że jeszcze niedawno ten widok roztopiłby mu serce, przegonił gniew, a wściekłość zastąpiłyby wyrzuty sumienia i natychmiastowe pragnienie utulenia dziecka.

Wiedział. Ale prawda była taka, że patrząc na syna, nie czuł już nic.

Jaś nie lubił myć ząbków. Kiedyś było inaczej, ale wtedy mama mu pomagała.

Siadała na zamkniętej ubikacji i patrzyła, jak sam nakłada pastę i czyści zęby, a potem wskakiwał jej na kolana i szeroko otwierał buzię. Mama śpiewała śmieszna piosenkę o sztucznej szczęcie i kubku dynamitu, poprawiała szczoteczką gdzie trzeba, a po wyplukaniu ust zawsze dostawał całusa.

Tata nigdy nie śpiewał.

– No myj, Jasiek, szybciej – rozkazał Krzysztof. Stał nad maluchem, odciągając dziecięcą łapkę od kurka ciepłej wody. – Nie rozglądaj się teraz, bo się pokapiesz pastą. Jasiu... Jasiu, zostaw – powtórzył, kiedy chłopiec wychylił się, by przyciągnąć do siebie mydelniczkę. – Jasiek! Słyszysz, co mówię do ciebie?! – Klepnięciem strącił wyciągniętą, małą dłoń. – Myj te cholerne zęby! Codziennie musi być to samo?! Lubisz, jak tata na ciebie krzyczy?!

Jaś nie lubił. Czując, że zbiera mu się na płacz, opuścił rączki. Obie.

– Nie obrażaj się teraz, tylko myj! – Mężczyzna podbił mu przedramię, trzymając szczoteczkę. Chłopiec zapomniał jedynie na chwilę, że powinien trzymać ją w buzi. Chciał o tym powiedzieć tacie, ale zamiast tego tylko spochmurniał.

– Chodź tu! – Krzysztof szarpnął czterolatka, strącając go z plastikowego podestu, dzięki któremu malec dosięgał umywalki. – Siadaj!

Siłą posadził chłopca na kolanie, ale ten wyprężył się, chcąc natychmiast zejść. Ojciec chwycił go za policzki i próbował otworzyć małe usta. Jaś zacisnął je mocno, przez co szczoteczka boleśnie porysowała mu wargi.

– Otwieraj, Jasiek! – wrzasnął Krzysztof wściekle i malec rozplakał się, teraz już poważnie przestraszony.

Wierznął dziko, pragnąc uciec z objęć taty.

Szarpnął się i uderzył głową w umywalkę, aż zadudniło. Jasia zatkało. Chciał krzyczeć, ale przez dłuższą chwilę nie był w stanie złapać oddechu.

– Nie zapowietrzaj się! – Krzysztof dmuchnął dziecku wprost w otwarte usta. Pomogło, ale w zamian rozległ się głośny pisk. – Nie wyj! No widzisz, co się dzieje, kiedy jesteś taki niegrzeczny?! Widzisz, jak zdenerwowałeś tatę?! Cicho już! Przestań, bo nie mam dziś na to nerwów!

Tak zakończyło się mycie ząbków. Krzysztof, nie zwracając uwagi na płacz syna, przebrał go w piżamkę i nieomal wrzucił do łóżeczka.

– Chcę „Tomka” – wydukał malec.

– Nie ma dziś bajki, bo byłeś niegrzeczny. Śpij już, dobranoc.

Ojciec zgasił światło i wyszedł. W pokoju zrobiło się ciemno, ale blask ulicznych latarni rozświetlał mrok. W padającym na łóżeczko snopie światła Jaś wpatrywał się w oczka misia. Były zrobione z dużych, drewnianych guzików i nigdy się nie zamykały. Mama mówiła, że dzięki temu Dżeki nie musi spać i może pilnować chłopca każdej nocy.

Mama...

Jaś doskonale pamiętał, jak pewnego dnia przywiozła Dżekiego od dziadków.

– Zobacz, co znalazłam! – Wyciągnęła zabawkę z torby.

Misiek był ciemnobrązowy i bardzo wysłużony. Materiał na brzuszku prawie się przetaił, a nieproporcjonalnie duża głowa opadała na bok. Wypełniały go trociny,

więc przy każdym ruchu szeleścił cichutko.

– To jest mój bardzo stary przyjaciel, wiesz? – przedstawiła zabawkę mama. – Jest starszy ode mnie.

– Nawet od ciebie? – Mały szeroko otworzył niebieskie oczka.

– Tak! – Mama zaśmiała się rozbawiona. – Nawet ode mnie. I powiem ci, że to nie jest zwykły miś. Ma na imię Dżeki i kiedyś... właściwie uratował mi życie.

– Tak? – Jaś był coraz bardziej zafascynowany. – Kiedy?

– Dawno temu, kiedy byłam mała. Wiesz... – Mama spojrzała w zadumie w guzikowe oczy przytulanki – ja nie miałam takiego dobrego tatusia jak ty.

– Twoim tatą był dziadek Władek? Ale przecież on zmarł, prawda?

– Tak. – Mama uśmiechnęła się, ale nie do synka, lecz do Dżekiego. – Umarł. Właśnie.

Chłopiec czuł, że czegoś nie rozumie, więc na pewno było to coś bardzo dorosłego, czego on dowie się jak zwykle, kiedy będzie starszy. A tak bardzo chciał wiedzieć już!

Tego wieczoru telefon mamy zadzwonił bardzo późno, kiedy on leżał już w łóżku i oglądał bajkę o parowozie Tomku. Mama krzyczała do słuchawki, więc na pewno dzwonił tatuś. A potem szybko wyszła z domu, zostawiając chłopca z ciotką Adą, z którą piła tamtego wieczoru herbatkę.

I mama nigdy już nie wróciła.

Jaś codziennie o niej myślał i bardzo tęsknił. Szczególnie kiedy tata tak się złościł, że rzucał w niego rzeczami. Raz dostał w głowę drewnianym samolotem, bo nie chciał sprzątać i potem nie mógł leżeć w łóżeczku tak, żeby oglądać bajkę, bo bolało. Innym razem nie pozwolił się wyjąć z huśtawki, bo chciał jeszcze się bawić. Tata krzyczał bardzo głośno, a wreszcie rozbijał go tak wysoko, że malec zaczął się bać. Rozplakał się i zwymiotował podwieczorek. Tata strasznie się zezłościł i już nie wolno było się huścić.

A wczoraj, kiedy grabili pod orzechem liście, tatuś nie chciał podrzucać ich do góry. Nie chciał również, żeby Jaś bawił się w ten sposób, ale one tak pięknie pachniały i tak cudownie szeleściły, że mały nie mógł się powstrzymać i ostatni raz obsypał się deszczem rudych liści.

– Powiedziałem coś chyba! – ryknął mężczyzna tym tonem, który sprawiał, że chłopiec natychmiast stawał jak sparaliżowany. – Zostaw! – Odwrócił się i uderzył synka trzonkiem od grabi.

Trafił w nogę i maluch przewrócił się na ziemię, wyjąc z bólu.

To od tego miał siniaka na udzie.

Jaś wiedział, że to wszystko była jego wina i tatuś miał rację. Ale czasem trudno było mu się skupić i robić wszystko tak, jak chcieli dorośli.

Teraz leżał w łóżeczku, wpatrzony w dwa guziki i okrągłą głowę misia, który kiedyś uratował życie mamusi.

– Chcę do mamy... – szepnął i oczka zapiekły od napływających łez.

Miś patrzył na chłopca drewnianym wzrokiem.

– Cichutko, chłopczyku – powiedział. – Dżeki cię kocha.

– Nie chcę być niegrzeczny – szepnął Jasiu. – To samo tak wychodzi...

– Już dobrze, chłopczyku – mruknął uspokajająco miś. – Przytul mnie i śpij. Ja cię będę bronił przed koszmarami. Zawsze.

Ada jak co dzień odebrała siostrzeńca z przedszkola. Dopóki Krzysiek zostawał w pracy po godzinach, był to stały punkt w jej rozkładzie dnia. Zresztą bardzo lubiła te kilka godzin po południu, kiedy mogła się nacieszyć maluchem. Był bystrym, pogodnym dzieckiem i bardzo przypominał swoją matkę. Ada nie miała własnych dzieci i tym bardziej kochała siostrzeńca, dlatego ciężko jej było patrzeć, jak mały zamyka się w sobie.

– O rany! – jęknęła z zaskoczenia, kiedy przebierając Jasia w ubranko „po domu”, odsłoniła dziecięce plecki, okraszone podbiegłym krwią sińcem. – Co się stało, kochanie?

Czterolatek wzruszył pulchnymi ramionkami.

– Dżeki nie zdążył.

Ada nie zrozumiała.

– Jak to Dżeki? Czego nie zdążył?

Chłopiec nie odpowiedział. Naciągnął przez głowę czerwoną bluzę z Zygzakiem McQueen i spytał jakby nigdy nic:

– Puścisz mi „Auta”?

– Yhm – przytaknęła zamyślona i poszła za nim do salonu. – Ale co się stało? Wywróciłeś się? Ktoś cię uderzył? Może ten niegrzeczny łobuz Łukaszek?

– Nie. – Pokręcił głową, pochmurniejąc. – Chcę Dżekiego. Poczekaj!

Pobiegł do pokoju po miśka, a Adę naszły przeczucia, których wolałaby nie mieć.

– Jasiu, a może tatuś... – Nie chciała w to wierzyć, ale musiała zapytać – tatuś ci zrobił tego siniaka?

Mały przytargał ze sobą nie tylko zabawkę, ale też kołderkę, po czym usadził się wygodnie w fotelu.

– Nieee... – mruknął. – Szafka.

Ada, skołowana, zmarszczyła brwi. To wszystko zaczynało dziwnie wyglądać. Z drugiej strony Krzysztof był zawsze dobrym ojcem, siostra nigdy na to nie narzekała.

– No, puścisz wreszcie? – domagał się malec. – Proooszę!

– Tak, już. Słuchaj, bąku, a ty wiesz, że w waszym telefonie wystarczy wcisnąć jedynekę i zieloną słuchawkę, żeby do mnie zadzwonić? Tak? Wiem, że umiesz to zrobić. Pamiętaj, że jeśli cokolwiek złego będzie się działo, od razu do mnie dzwoń, tak?

– Tak, ciociu Ado. – Skinął w skupieniu głową.

Obliznął wargi, myśląc nad czymś najwyraźniej, po czym spytał:

– A, ciociu?

– Tak?

– Dasz mi kabanosika?

Wieczorem znów przyszła do taty ta nowa ciocia. Jaś jej nie lubił, ponieważ miała strasznie długie pazury, a kiedy nikt nie patrzył, była dla niego bardzo niemiła. Kiedy wylała wino na obrus mamy, powiedziała, że on to zrobił i gdy tata krzyczał na niego, uśmiechała się brzydko i oczy jej błyszczały.



Zza zamkniętych drzwi swojego pokoju, leżąc w łóżeczku, nasłuchiwał rozmowy dorosłych. Brzmiała bardziej jak mruczenie, a oni śmiali się tak jakoś powoli i chłopiec czuł, że bardzo mu się to nie podoba.

– Nie lubię tej cioci – szepnął do misia. – Chcę, żeby mama wróciła.

– Tak – odparł Dżeki, a jego głos przypominał szelest trocin. – To była kochana dziewczynka.

Chłopiec chciał spytać, dlaczego miś tak dziwnie mówi, ale niespodziewanie głosy dorosłych zbliżyły się do drzwi pokoiku. Po stukających butach chłopiec rozpoznał złą ciocię. Pewnie szła do drzwi, a tata tupał za nią.

– Jak mogłeś tego nie wiedzieć?! – warczała kobieta. – Była twoją żoną!

– No była! – Denerwował się tata. – Ale nic nie wspominała, że przepisuje wszystko na niego! Zresztą pewnie jej cholerna mamusia ją do tego namówiła. Jebane kurwiszczce, jak mogła mi nie powiedzieć?

– Wiesz co? Gównu mnie to teraz obchodzi! – Zła ciocia stukwała obcasami, nie mogąc ustać w miejscu. – Wiesz, w cośmy się wpięprzyli? Krzysiek, ja się pytam, czy ty sobie zdajesz sprawę, w co nas wpierdoliłeś, ty jebany tumanie?!

– Cicho bądź, bo go obudzisz. Jeszcze jego mi tu brakuje!

– Tak? A mam świetny pomysł! – Ciocia zaśmiała się jak złe czarownice w bajkach. – Pozbądź się go! Jak powiedziałaś A, powiedz i B. Nie ma żony, nie ma dziedzica! Fortuna przypada tobie i wracamy do planów o wspólnym domku na Hawajach.

– Pojebało cię... To jest moje dziecko!

– Serio? – zachrypiąca. – Mnie pojebało? Odezwał się ojciec roku... Wiesz co, spadam stąd. Jak pozbędziesz się problemu, zadzwoń.

Trzasnęły drzwi, a Jasio usłyszał, jak tata coś niezrozumiale mamrocze.

– Czemu on tak krzyczał? – spytał cichutko misia. – Znowu byłem niegrzeczny?

– Cicho, cicho. Miś już wszystko rozumie. Śpij, chłopczyku.

Jaś trochę się jednak bał i nie rozumiał, dlaczego dorośli znów byli tacy zdenerwowani. Przytulił mocno Dżekiego i zacisnął powieki.

Dlaczego mama zniknęła? Przecież mówiła, że nigdy go nie zostawi...

– Obudź się, chłopczyku! – Wyrwało go nagle ze snu.

W otwartych drzwiach pokoju stał tata i dziwnie chwiał się na nogach. Wszedł i ostrożnie zamknął drzwi, a wtedy zniknęło światło wpadające z korytarza. Minęła chwilka, nim oczy chłopca znów przywykły do półmroku, rozjaśnianego przez uliczne latarnie.

Tata ruszył w stronę łóżeczka. Po dwóch krokach wszedł wprost w zamek z klocków. Zrobił się hałas, gdy doczepione do budowli kubeczki i kredki uderzyły o panele.

– Ja pierdołę, te zabawki... – syknął wściekle mężczyzna i zatrzymał się na chwilę. Sprawdzał, czy obudził małego, ale ciemny kształt w łóżeczku nie poruszył się.

Jaś był pewny, że pochował wszystko do skrzynki przed umyciem ząbków.

Wielkimi oczyma poszukał obok siebie wiernego spojrzenia Dżekiego, ale misia nie było w łóżeczku. Jaś dopiero teraz poczuł, że się boi, choć sam nie wiedział

dlaczego.

Krzysztof zgarnął z krzesła małą poduszkę. Ścisnął ją w dłoniach, czując, jak wypity alkohol oczyszcza jego myśli. Wiedział dokładnie, co zrobić. Ułatwić sobie życie.

Podszedł do łóżeczka i pochylił się nad synem. Wielkie oczy wpatrywały się w niego bez słowa. Krzysztof wciągnął głęboko powietrze i przycisnął poduszkę do dziecięcej twarzy.

Chłopiec wierzgnął. Mężczyzna wiedział, że tak będzie. I że nie potrwa to długo. Zaciśnął usta, zdecydowany dokończyć dzieła.

Nagły łoskot i podwieszony pod sufitem słomiany pajak spadł mu na głowę. Był ciężki, jakby doczepiono do niego odważniki. Mężczyzna potrząsnął ramionami, próbując zrzucić zabawkę.

– Play with me! – upiornie zażądał zaplatany w słomę dziecinny laptop.

– Tato! – pisnął przerażony chłopiec i Krzysztof zorientował się, że zwolnił ucisk poduszki.

Laptop zsunął mu się z karku. Wbrew wszelkim prawom fizyki spadł, uderzając go boleśnie w przedramiona. Poczul ukłucie. Do laptopa przyklejone były plastikowe widelce.

– Co jest, kurwa? – wymamrotał Krzysztof.

I wtedy usłyszał za sobą złowieszczy pomruk jakiegoś dzikiego zwierzęcia.

Następnie włączyła się pozytywka. W półmroku nocy zabrzmiała jak zapowiedź czegoś strasznego. Wytresowany horrorami mózg mężczyzny posłał ciarki wzdłuż kręgosłupa. Puścił poduszkę i wstał. Jaś odczołgał się w głąb łóżeczka, przerażony i obolały. Z trudem łapał powietrze.

Krzysztof był tak skołowany, że nie wiedział, co chce zobaczyć, kiedy ruszał w stronę, skąd dochodziła melodia niemowlęcej pozytywki.

Nie uszedł daleko.

Nim stracił równowagę, zdążył jeszcze pomyśleć: „Jebane autka... Wszędzie autka!”.

Zamachał rękami jak ogromny, uwięziony w dziecięcym pokoju ptak, ale gdziekolwiek stawiał stopę, tam właśnie czekały ford, nissany, karetki pogotowia i wozy strażackie.

Walczył przez chwilę. W końcu runął przed siebie.

Ostatnim, co widział, był zbudowany z klocków mur obronny i wieńczące go, osadzone niczym piki kredki. A wszystkie zaostrzone w szpic.

Jedna ukłuła go w policzek. Druga w brodę.

A trzecia trafiła w oko, docierając aż do mózgu.

Krzysztofem wstrząsnęły drgawki.

Jaś zaczął krzyczeć. Ten obraz na zawsze utkwiał mu w pamięci.

Pozytywka zamilkła. Drzwi do pokoju otworzyły się bezgłośnie, jakby zapraszając do jasnego przedpokoju. Chłopiec usłyszał chrobot zamka w drzwiach i jak sprężyna wyskoczył z pościeli.

Wpadł w snop światła w tej samej chwili, gdy w drzwiach mieszkania stanęła Ada,

w kurtce narzuconej na piżamę, z komórką w dłoni.

– Dzwoniłeś? Jezus Maria...! – Zobaczyła białą jak płótno twarz dziecka i serce skoczyło jej do gardła. – Co się stało?!

Jaś wpadł w jej objęcia, płacząc.

– Nic, ciociu... To znaczy... Dzięki! Dzięki tym razem zdążył!

Ada patrzyła na chłopca wielkimi, niebieskimi oczyma.

– Jezus, dziecko, nic nie rozumiem... Gdzie tata?

– Chodź! – Pociągnął ją za rękę. – Ja nie wiem, gdzie jest Dzięki! Muszę go znaleźć!

Ciągnął ją w stronę salonu, ale nim tam dotarli, w kącie korytarza dostrzegli bezładnie rzuconego miśka. Leżał na brzuszku, jakby próbował się czołgać.

– Jest! – Chłopiec podbiegł i podniósł zabawkę, po czym przytulił ją mocno, aż zatrzeszczało wypchane trocinami ciało.

Ada niczego nie rozumiała.

– Zdążyłeś – mruczał zachwycony Jasiu. – Tak cię kocham, Dzięki. Tak cię kocham...

Kobieta spojrzała na trzymaną w dłoni komórkę. Zapomniała, że z wrażenia nie rozłączyła się jeszcze z numerem, wciąż zapisanym jako: Siostra. A potem spojrzała w miejsce, gdzie przed sekundą leżał dziecięcy miś. Świeciła tam słuchawka bezprzewodowego aparatu, a na wyświetlaczu zmieniały się sekundy, odliczając czas połączenia z numerem Ady.

– Jasiu... Gdzie jest tata?

# Sylwia Finklińska

## ZBRODNIA

Kubuś ubóstwiał misie. Zaczęło się od imiennika, wielkiego żółtego Puchatka, którego dostał na pierwsze urodziny. Wkrótce zabawka w czerwonej kamizelce została najlepszym przyjacielem chłopczyka. Misio siedział tuż obok przy posiłkach, razem z Kubusiem pedałował zawzięcie na trzykołowym rowerku, niewygodnie ściśnięty w walizce wyjeżdżał na wakacje i do Dziadków.

Potem chłopiec dowiedział się, że istnieją jeszcze inne, równie miłe pluszaki. Właściwie każdy wydawał się szalenie sympatyczny i w dziecięcym pokoju pojawiało się ich coraz więcej. Białe, brązowe, czarne i we wszystkich kolorach tęczy. Znane z filmów i anonimowe, którym trzeba było wymyślać imiona. Misie–chłopcy, misie–dziewczynki i misie–nie–wiadomo–co. Niedźwiadki odziane w różnorodne ubranka i chronione przed światem jedynie własną sierścią. Klasyczne, wypchane gąbką, i elektroniczne, tańczące, gadające i śpiewające. Przytulanki we wszystkich rozmiarach: od rodziny maleńkich Sylwanów, mieszkających we własnym domku, do gigantycznego Kibica (nazwanego tak, bo na samym początku znajomości Tata udekorował go szalikiem), któremu Kubuś mógł usiąść na kolanach.

Kolekcja błyskawicznie się rozrastała. Po bliższej i dalszej rodzinie szybko rozeszła się wieść, że najpewniejszy sposób na sprawienie chłopcu ogromnej radości z urodzinowego czy gwiazdkowego prezentu to obdarzenie go misiem. Wbrew pozorom wcale nie należało to do łatwych zadań; pluszak musiał różnić się od wszystkich poprzednich. Każdy wiedział, że Kubusiowi należy dawać niedźwiadki. Ale nie każdy zdawał sobie sprawę, że po przekroczeniu magicznego progu (od trzech do czterech sztuk na metr kwadratowy – zdania są podzielone) misie zaczynają mieć własne, świadome życie. Jeśli tylko w pomieszczeniu nie ma żadnego człowieka lub wszyscy obecni śpią.

- Och, wujku, dziękuję! Jest wspaniała!
- Cieszę się, że go polubiłeś. Wydawało mi się, że takiego jeszcze nie miałeś.
- Nie. Fantastyczny!

Rzeczywiście, nowy nabytek nie przypominał żadnego innego pluszaka: miał czarne, błoniaste skrzydła, a z pyszczka wystawały mu spiczaste kły. Najprawdziwszy, misiowaty wampir!

- Jak będzie miał na imię?
- Nazwę go... Helsing!

Wyjątkowość Helsinga (misio ze skrzydłami – pomyślcie tylko!) natychmiast zdobyła mu przyjaźń Kubusia. Równie szybko inne pluszaki zaczęły zazdrościć wampirovi.

Och, podobna sytuacja powtarzała się przy każdej nowej zabawce. Ale dotychczas żaden miś nie cieszył się niepodzielną uwagą chłopca aż tak długo. Wieczorem, kiedy Kubuś, wciąż tuląc skrzydlatego niedźwiadka, zasypiał, w pokoju rozlegały się cichutkie, ale nieprzyjemne szepty.

- To jeszcze nigdy nie trwało tak długo...

- Pewnie ten przybłąda wyobraża sobie, że jest od nas lepszy!
- A ja wam mówię, że musiał jakoś zaczarować Kubusia...
- Myślisz, że go zahipnotyzował?
- Kto wie, kto wie... Wampiry są zdolne do wszystkiego.
- Słyszeliście, jak Tata czytał tę książeczkę o potworach, prawda?
- Oczywiście, oczywiście. Straszna historia!

Szepty szeleściły do późna w nocy. Atmosfera w pokoju dzieciennym stawała się coraz bardziej ponura.

Wreszcie Kubuś wrócił do starszych pluszaków. Bawił się zwykle dwoma lub trzema jednocześnie, ale Helsing wciąż nieodmiennie znajdował się w grupce szczęśliwych wybrańców.

- Nie widzieliście gdzie Kasia?

Kasia miała beżowe futerko, słodką błękitną sukieneczkę z bufkami, pasującą wstążkę z kokardą i pantofelki do kompletu. Może i nigdy nie mówiła nic mądrego, ale każdy niedźwiadek za nią przepadał.

- Wczoraj Kubuś wyniósł ją i Helsinga z pokoju.

– Aha. I wrócił tylko wampir... – Stasio podejrzliwie łypnął szklanym okiem na zabawkę przytuloną do śpiącego chłopca. Wszyscy jeszcze bardziej ściszyli głosy.

– Och, nie! To straszne! – Załamywała łapki Ewa w skromnym, biało-zielonym fartuszk. Może i skrycie zazdrościła koleżance urody i zachwyconych spojrzeń, ale co szkodziło z egzaltacją przejąć się zniknięciem rywalki?

- Spokojnie, może nic się jej nie stało...

– No to gdzie się podziała? To na pewno ten straszny przybłąda z nietoperzowymi skrzydłami.

– Cisza! – zażądał duży i stary Wojtek. – Nie możemy wysuwać oskarżeń bez uzasadnienia. Musimy przeprowadzić śledztwo.

- Ale nawet nie mamy pojęcia, jak to się robi...

– Ja wiem. Kiedyś Kubuś zostawił mnie na kanapie w salonie i kiedy Tata zasnął, obejrzałem cały film o wykrywaniu mordercy.

– No i czego się dowiedziałeś?! – Wszystkie misie wpatrywały się w Wojtka tak intensywnie, że aż skóra zaczęła go swędzieć.

- Śledztwo prowadzi detektyw. On zawsze nosi jasny płaszcz.

Zachłanne spojrzenia przeniosły się na Piotrusia.

- No co?! Ja wcale nie mam jasnego płaszcza.

– Ale masz płaszcz. Tylko ty. Musisz zostać naszym detektywem.

- No dobrze. Co mam robić?

– Detektyw ma jeszcze takiego wielkiego papierosa. Chodzi i wszędzie nim śmieci.

- Ale skąd ja mam wytrzasnąć papierosa?

– Nie przejmuj się, coś wymyślimy.

– Nie przerywajcie mi bezustannie! – zdenerwował się Wojtek. – Ten detektyw od początku podejrzewa, kto zamordował. Zaprzyjaźnia się z nim, prosi o pomoc w rozwiązaniu sprawy, o wytłumaczenie różnych niezrozumiałych rzeczy. Zawsze

udaje, że wychodzi, ale po chwili wraca i mówi „jeszcze jedno”. A na końcu filmu morderca ma tak dosyć faceta w płaszczu, że do wszystkiego się przyznaje.

– No pięknie, świetny pomysł, ale ja nikogo nie podejrzewam – zaprotestował Piotruś. – Skąd miałbym wiedzieć, kto porwał albo zabił Kasię?

– Aha, zapomniałem powiedzieć, że jak ktoś coś wie, to opowiada detektywowi, więc jeśli widzieliście coś dziwnego, to musicie to przekazać Piotrusiowi. A zresztą i tak wszyscy wiemy, że to wampir zagryzł Kasię.

Skąd wziąć papierosa w pokoju dziecięcym? Trzeba stworzyć dobry plan, a potem odrobinę popracować zespołowo przy jego realizacji.

W trakcie obiadu misie pomanipulowały pokrętem od kaloryfera. Wkrótce w pomieszczeniu zapanował upał. Kiedy Tata wrócił z pracy, przyszedł przywitać się z Kubusiem. Zaraz zrobiło mu się tak gorąco, że zdjął marynarkę i rzucił na tapczan. Potem wystarczyło poczekać, aż wszyscy ludzie wyjdą z pokoju.

Mali Sylwanowie szperali po kieszeniach, aż znaleźli tę właściwą. Z trudem przepchnęli paczkę do wylotu, tam już czekał znacznie silniejszy Wojtek. Wspólnymi siłami zdołano otworzyć opakowanie i wydłubać papierosa.

Piotruś wreszcie mógł stać się pełnoprawnym detektywem.

Po chwili podszedł do niego Szymek.

– To teraz już możesz prowadzić to śledztwo, tak?

– No, chyba tak. Dlaczego pytasz?

– Bo mamy opowiadać ci o dziwnych rzeczach. A ja coś widziałem.

– Co takiego?

– Kłaczki waty. Bardzo blisko tego miejsca na półce, które Kubuś oddał Helsingowi.

– Nie rozumiem.

– No czego tu można nie rozumieć? – oburzył się konfident. – Jeśli wampir rozszarpał Kasię, to mogły mu się przyczepić do sierści jakieś kawałeczki tego, co misiaczka miała w środku!

– Aha, rzeczywiście. To bardzo ważna informacja. Dziękuję ci. – Pomny swoich obowiązków, Piotrek wydłubał kilka skrawków tytoniu i naśmiecił.

Papierosa zdobyto w bardzo odpowiednim momencie. Tego wieczoru Kubuś nie zabrał Helsinga do łóżeczka. Wampir miał spędzić noc na półce. Wkrótce przysiadł się do niego Piotruś.

– Cześć! Jak sobie radzisz w naszej gromadce?

– Och, dziękuję, f porządku. Tylko nikt nie chce se mną rosmafiać.

– Hmm, widzisz, kubusiowa fascynacja tobą trwała wyjątkowo długo. To po prostu zazdrość.

– Naprawdę? – z nadzieją szepnął Helsing.

– O tak! Teraz już sytuacja wróciła do normy, wkrótce wiele misiów się z tobą zaprzyjaźni.

Detektyw odszedł w kierunku swojego miejsca. Nagle się odwrócił.

– Jeszcze jedno!

– Tak?

– Jak się bawisz, kiedy Kubuś cię zabiera?

– Fspaniale, dziękuję. To bardzo miłe, kiedy nasz dzielny chłopak do mnie mófi albo daje mi jakieś sadania do fypełnienia...

– Eeee, no tak, ale chciałem spytać, co dokładnie robicie, kiedy wychodzicie razem z pokoju.

– Aaa, o to ci chodzi... Co tylko Kubuś chce. Kiedy idziemy do parku, bujamy się na huśtafce, siedzimy blisko siebie na karuseli, niekiedy Kubuś posfala mi samemu seślisnąć się po sjeżdżalni...

– A w domu?

– Kiedy fspólnie jemy, chętnie mnie częstuje. Czasem sadza mnie za kierofnicą ciężarówfki i ftedy fożę klocki po całym salonie.

– Aha. Dzięki, to ja już pójdę do siebie.

– Proszę. Miło się s tobą gafędziło. Możesz przychodzić do mnie częściej.

Następnego dnia Kubuś idąc na spacer, znowu zabrał ze sobą Helsinga. Wśród pluszaków natychmiast rozgorzała namiętna dyskusja.

– Widzieliście?! Widzieliście te plamy na plecach?

– Ja zauważyłem. Takie czerwone. Co to może być?

– Jak to co? Krew!

– Bez przesady... Skąd krew na misiu?

– Doprowadzisz mnie do szału tymi głupimi pytaniami! – gorączkowała się Ewa.

– To przecież wampir! Pochlapał się przy wysysaniu Kasi!

– Sama wygadujesz bzdury! Plecy sobie pobrudził? To czym ją wysysał? Może skrzydłami?

– Krew ma trochę inny kolor – wtrącił się ktoś. – Widziałem na plasterku, kiedy Kubuś się skaleczył.

– Bo to jest misiowa krew! – Ewa nie dawała za wygraną. – Musi różnić się od ludzkiej.

– A czy pluszaki w ogóle mają krew? – zastanawiała się Ola, misiaczka w fartuchu pielęgniarfki.

Szybko zgłosiło się kilku ochotników gotowych skaleczyć się w łapkę, aby przetestować tę ciekawą hipotezę. Niestety, zanim znaleziono wystarczająco ostre narzędzie, do pokoju wkroczyła Mama i spór pozostał nierozstrzygnięty.

– Ooo, cześć Piotruś.

– Hej, Helsing. Podobało ci się na spacerze?

– Oczywiście, bafiliśmy się z Kubusiem refelacyjnie!

– A z Kasią też się kiedyś bawiłeś?

– A która to jest?

– Taka misiaczka o jasnym futerku, w niebieskiej sukience.

– Aaa, to już fiem. Tak, kiedyś Kubuś fymyślił, że ona będzie jego mamą, a ja tatą. Bardzo fajnie fyszło, grałem z moim synkiem f piłkę, a mama f tym czasie ugotofała nam pyszny obiadek. I na deser sjeśliśmy lody. Nafet dokładki dostaliśmy – z rozrzewnieniem wspominał wampir.

– I jeszcze w coś się bawiliście razem z Kasią?

– Nie, później już f nic. F ogóle dafno jej nie fidziałem. Coś się jej stało?  
– Nie wiem. Nie, wszystko w porządku – plątał się detektyw.  
– To dobrze. Miła s niej misiaczka.  
– Aha, jeszcze coś mi się przypomniało – ogłosił nagle Wojtek, kiedy ludzie wyszli i misie mogły porozmawiać. Okazja trafiła się tym lepsza, że Kubuś znowu zabrał gdzieś Helsinga.

– Co takiego? – spytało kilka zabawek.  
– Przewstępcza zawsze stara się załatwić sobie alibi.  
– Co to znaczy?  
– Nooo, przygotowuje wszystko tak, żeby ktoś go widział w czasie popełniania zbrodni, jak robi coś całkiem innego. Na przykład spotyka się z kimś.

– Nic nie rozumiem – obruszyła się Ewa. – To w końcu zabija czy nie?  
– Też tego do końca nie rozumiem – przyznał z ociąganiem ekspert. – Ale to chyba może wyglądać tak, że rozmawia z jakimś znajomym, nagle mówi, że chce siku i wychodzi. Tylko zamiast pójść do łazienki, biegnie i zabija ofiarę, a potem myje ręce, wraca i gada dalej.

– I po co to wszystko?  
– Żeby ten znajomy opowiedział detektywowi, że przewstępcza nie mógł zamordować, bo przez cały czas rozmawiali.

Misie z szacunkiem pokiwały główkami. Rzeczywiście, pomysł należało uznać za znakomity.

– Piotrek, czy ktoś ci mówił, że wampir z nim rozmawiał, gdy Kasia zginęła?  
– Nie. Helsing nawet wspominał, że nikt z nim nie chce gadać. Może to wcale nie on? – Detektyw z wrażenia naśmiecił papierosem.

– Czyli niesłusznie go oskarżyliśmy? – upewniał się Hamilton, rosły pluszak w stroju kierowcy Formuły 1.

– Nieważne słusznie czy niesłusznie! – pisnęła Mama Sylwan. – Ty jesteś duży, więc możesz się nie bać wampira. Ale pamiętaj, że nie wszyscy możemy się skutecznie obronić. I niektórzy z nas mają maleńkie dzieci!

Drobniejsze niedźwiadki poparły panią Sylwan bez wahania.

– Pewnie!

– Nie zapominajmy, co spotkało Kasię!

– Musimy bardzo uważać i nigdy nie oddalać się w pojedynkę!

Następnego dnia misie dotknęła kolejna katastrofa. Mama znalazła papierosa. Nie dosyć, że zabrała Piotrusiowi bezcenny atrybut detektywa, to jeszcze pokłóciła się z Tata. Misie z troską przysłuchiwały się ostrej wymianie zdań.

– Dlaczego ty musisz zachowywać się tak nieodpowiedzialnie?!

– Ale o co ci chodzi, kochanie?

– Jeszcze się pytasz?

– Ciszej, obudzisz dziecko. Owszem, wołałbym wiedzieć, co takiego zrobiłem. Wiesz, to pozwoli mi lepiej zrozumieć swój błąd.

– Ile razy prosiłam, żebyś nie palił w domu?

– Przecież nie palę!



– Nie, oczywiście, to Kubusiowi był potrzebny ten papieros w dzieciennym pokoju. Och, czy on musi przejmować po tobie wszystkie najgorsze cechy?!

– To nasz syn pali?

– Tego jeszcze brakowało! Przecież on nawet nie skończył sześciu lat! I boi się zapalek.

– No, to trochę utrudnia wpadnięcie w nałóg.

– Toteż właśnie! – ucieszyła się Mama, nie wiadomo z czego. – Jeśli nie on, zostajesz tylko ty!

– A ten pet w ogóle był zapalony?

– Nie, tylko niesamowicie wymiętoszony. – Mama triumfalnie pokazała papierosa.

Rzeczywiście, nie wyglądał najlepiej. Piotruś naśmiecił w różnych miejscach, wysypując niemal połowę jego zawartości. Poza tym długotrwałe przebywanie za pazuchą misiowego płaszcza najwidoczniej mu nie służyło.

– I cała awantura o te nędzne szczątki? – zdziwił się Tata. – Widocznie wyjąłem jednego, żeby zapalić, ale coś mi przeszkodziło, więc schowałem do kieszeni, a potem zapomniałem. Sądząc po stanie, chyba z miesiąc tak nosiłem tę biedną pet-rurkę, a potem zgubiłem akurat w pokoju Kubusia. Pewnie, kiedy wczoraj próbował mnie ujeżdżać.

– No i co teraz?

– Mama pozbawiła nas detektywa.

– A tu trzeba się spieszyć, nie wiadomo, kto następny zostanie zaatakowany przez wampira.

– No i już nie prowadzę śledztwa! A tak dobrze mi szło! Zaprzyjaźniłem się z Helsingiem. Jeszcze trochę i mógłbym go złapać.

– Nie przejmuj się, Piotruś. Coś wymyślimy.

– Jakoś zdobędziemy następnego papierosa.

– Lepiej się pospieszcie. Zróbmy wreszcie coś z tym obrzydliwym wampirem. Jak długo mogę trząść się ze strachu o własne dzieci? – zapiszczała Mama Sylwan.

Helsing siedział na półce. Wygodnie, bo dookoła niego pozostawało mnóstwo wolnego miejsca. No właśnie. Nikt nie chciał się do niego przysiąść. Bolało. Wszystko: cisza, pustka i samotność. Nawet Piotruś przestał go odwiedzać. Dlaczego? Czy powiedział coś nieodpowiedniego, w jakiś sposób obraził misia w czarnym płaszczu?

Z ponurych rozmyślań wyrwał go pełen zgrozy krzyk.

Wychylił się poza krawędź półki i spojrzał. To najmłodsze Sylwaniątko musiało beztrudno porazkować odrobinę za daleko, a teraz spadało z samej góry regału. Krzyk wydobywał się z pyszczka Mamy Sylwan, która nerwowo i nieporadnie ześlizgiwała się po desce zbyt grubej, aby mogła ją pewnie objąć. Reszta rodziny stała na brzegu z nieszczęśliwymi minami.

Decyzja podjęła się właściwie sama. Wampir miał przecież skrzydła, prawda? Bez wahania skoczył tak, żeby znaleźć się na trasie lecącego malucha.

Udało się. Złapał Sylwaniątko i mocno przytulił do piersi.

Okazało się, że nietoperzowe skrzydła nie wystarczają, aby utrzymać w powietrzu sporego misia. Tylko trochę spowolniły upadek i umożliwiły rudymentarne sterowanie. Helsing obrócił się w powietrzu i gruchnął na plecy. Ale przynajmniej niemowlakowi nic się nie stało. Wypchany gąbką korpus dużego misia zamortyzował wstrząs.

Wampir nie ruszał się. Skrzydła za bardzo bolały. Chyba coś się w nich popsulo. Zwłaszcza w lewym, bo rwało tak mocno, że Helsing prawie tracił przytomność. Ale starał się patrzeć z optymizmem w przyszłość; teraz już inne misie przekonają się, że można mu ufać. Uratował przecież malucha.

Tymczasem zniecierpliwiony dzieciak uwolnił się ze słabnącego uścisku wampira i zaczął radośnie poznawać nowy teren, pełzając po brzuchu swojego wybawcy. Mama Sylwan dotarła na podłogę, porwała nieposłuszną latorośl w ramiona, wymierzyła jej w ostrym stresie kilka klapsów i podjęła mozolną wspinaczkę na szczyt regału. Największe misie pomagały jej w miarę możliwości.

Kiedy wreszcie trafiła na własną półkę, wsadziła dziecko do kojca i zajęła się omawianiem strasznego przeżycia z sąsiadką.

- Widziała pani, co ten wampir zrobił? Myślałam, że umrę ze strachu!
- No, złapał małego błyskawicznie!
- Mało mu było Kasi, wyciągnął łapska po mojego Dzidziusia!
- Ale przecież uderzyłby o podłogę!
- Nic by mu się nie stało. Małe misie dobrze sobie radzą z upadkami z dużych wysokości. Kiedyś Tata Sylwan zleciał ze stołu i nawet nic go nie bolało.
- Coś podobnego!
- A owszem. Całe szczęście, że zaraz znalazłam się na dole i wyrwałam małego temu wampirowi!
- Myśli pani, że zrobiłby coś Dzidziusiowi na oczach wszystkich?
- Z tymi krwiopijcami nigdy nic nie wiadomo. Ależ ja się przestraszyłam! Następnego ranka do pokoju dziecinnego zajrzała Mama.
- Kubusiu, Kasia wreszcie wyschła. Na szczęście udało się sprać barszczyk. Bałam się, że te plamy nie zejną. Na przyszłość uważaj przy jedzeniu, szkoda byłoby takiego pięknego futerka.

# Jan Maszczyzyn

## ZABAWECZKA

Dziewczynka pochyliła się nad leżącą nieruchomo kobietą. Gdyby zasinienie mogło lśnić, na pewno zatańczyłoby poszarpanym cieniem na małej twarzy dziecka. Nosze były szerokie. Spokojnie zmieściłyby się na nich jeszcze dwie osoby.

– Tutaj popraw – spokojny i ciepły głos Fidle’a wniósł do pokoju trochę optymizmu. Dzieciaki od pół godziny obmywały ciało zmarłej. Myjąc, myślały, że to od szarego mydła dalej pozostaje sinofioletowa, zimna i jak nigdy dotąd nieruchoma. Spróbowali proszku do prania, ale tylko się spienił i wypełnił pomieszczenie nowym, odrażającym smrodem. Przestały znudzone.

– Teraz możesz pytać, Betty – zadeklarowała Emerald pełnym wystudiowanej powagi głosem. – Będę odpowiadać. – Jak zwykle okazywała całemu światu pogardę.

– Ona–trup, ma po bokach dwa na w pół otwarte, owłosione narządy. Co to jest? – Na okrągłej buzi Betty pokazywały się śliczne dołeczki, gdy mówiła.

Emerald wraz z chłopakiem parsknęli nieopanowanym śmiechem.

– Skończyłaś cztery lata i nie wiesz, że każdy człowiek posiada wbudowane ponad biodrami reproduktory recyrkulacyjne, głupia pindo?

– Ja takich nie mam.

– Masz, tylko jeszcze nie działają. Jesteś za mała. Pokaż. Unieś rękę. Wyżej. – Emerald uniosła pidżamkę Betty do góry, obracając jednocześnie dziecko w stronę wiszącego lustra. Wskazała palcem malutkie, zaledwie zaznaczone na powierzchni skóry załączki przyszłych narządów. – Tutaj rosną twoje dżajny. Tuż ponad kością biodrową.

– Dżajny?

– No, w języku potocznym nazywamy je dżajnami.

Dziewczynka z jakiegoś powodu bardzo się ucieszyła.

– Dżajny? – Parsknęła rozweselona. – Do czego służą?

– W wieku około ośmiu lat zaczną funkcjonować. Będziesz zdolna wykluć z nich przedmioty codziennego użytku. Jak na przykład małe zabawki. – Betty podskoczyła z wrażenia. – Nic się w organizmie nie marnuje. Człowiek już nie produkuje gówna. Dżajny wytwarzają z resztek przemiany materii coś na specjalne życzenie. Musisz przejść w szkole trening projektancki, aby nauczyć się nimi posługiwać. Zatem najpierw zabawki, a w późniejszym wieku będziesz zdolna wykluć wszystko. Od guzików, tabletek na ból głowy, do wszczepialnych fragmentów uszkodzonych narządów.

Betty pochwyciła leżący nieopodal na stole długopis, podeszła do noszy i ostrożnie rozchyliła mocno ściągnięte pośmiertnym stężeniem wargi lewej dżajny trupa.

– Jesteś ciekawa, co stara tam chowa? No, pokaż!

Fidle roześmiał się grubiańsko. Odepchnął małą z jej prymitywnym długopisem. Rozszerzył krawędzie specjalnym zestawem łyżek operacyjnych.

– Spójrz. Wewnątrz coś jest – powiedział niefrasobliwie.

Betty, pokonując obrzydzenie, sięgnęła do środka. Przebierała palcami jak w portfelu mamusi, cały czas obserwując twarz zmarłej. Po chwili, ośmielona nieruchomością leżącej, pociągnęła z całej siły bielejący pośród wewnętrznych fałd dzajny przedmiot.

– To zabawka! – krzyknęła mimowolnie, natychmiast zamykając sobie usta mokrą jeszcze dłonią. – Ale fart... – Cmoknęła. Oglądała dokładnie przedmiot, który wzięła za malutką, białą lalkę bez twarzy. Niemal gubiła się w jej drobnej rączce.

– Stara na pewno planowała wykluć ją dla ciebie, ale nie zdążyła. – Zaśmiał się chłopak. – Bawidełko jest jeszcze nie całkiem dojrzałe. – Udał zainteresowanie. – Musisz rozciąć błonę ochronną i lalunię rozpakować – szydził, jakby wiedząc, co jest w środku.

– Ja bym tego nie robiła – doradziła Emerald przemądrzałym tonem. – Wiedźma jest martwa już od tygodnia i nie wiadomo, jaki program wytwarzania uruchomił organizm w tym czasie. Może całując to gówno, dzieci wchłaniają truciznę?

– Nigdy się nie całowałam z lalką. – Betty była oburzona.

– Ja, kiedy byłam w twoim wieku, nie mogłam się oprzeć. Ciotka Radmont wyklula mi kilka. A wiesz, ona nienawidziła naszej matki. Wiele razy takie malusieńkie skurwiątka doprowadzały mój żołądek do dotkliwych bólów, a później krwotoków.

– Bujaj się, siostra. Nie strasz małej. Co mogłaby zrobić taka zabawka komukolwiek tutaj. Jeśli podskoczy choćby o milimetr, po prostu ją rozdepczemy. Odpakuj ją z błony, Betty. Dawaj, szybko. Sam jestem ciekawy, co jest w środku.

Nacięli opakowanie lancetem. Zasyczało. Wystrzelił biały puder wprost w ich zaciekawione twarze, a z wnętrza wylała się różowa ciecz. Wypadł pojedynczy, brązowy cukierek na porost włosów u niemowlaków. Nawet Emerald wydała z siebie jęk zawodu.

Sprawdzili drugą dzajnę. Była pusta. Stali nieruchomo, przypatrując się.

– Zobaczcie jej nogi. Te wszędobylskie narośle są miniaturowymi narządami wydzielniczymi. Tak zwane dopingatory mięśni. Natychmiast je transplantujemy. – Policzył szybko, obracając martwe nogi na wszystkie strony. – Wychodzi po jedenaście na głowę. Tobie, Betty, wystarczą trzy. Jesteś za mała na pełny wypas.

– Nawet nie chcę. To obrzydliwe.

Obserwowała Emerald wszywającą sobie amputowane części w obnażone ciało.

– Czy tak można?

– Głupie pytanie. Przecież reszta starej i tak zgnije. Lepiej sama sobie coś wybierz, zanim nie będzie za późno.

– A co ja bym mogła?

Emerald zastanawiała się przez dobrą chwilę. Uniosła obwisłe, zimne piersi starej kobiety.

– Widzisz te gruzełkowate nici tuż pod lewym cyckiem?

– Widzę.

– Doprowadzają mleko do specjalnych gruczołów wydzielniczych pod językiem. Będziesz je mogła mieszać z Milo za każdym razem, jak pociągniesz łyka z filizanki.

– Ale to skomplikowana transplantacja – z westchnieniem zawodu odparła Betty.  
– A, głównie tam skomplikowana. Od urodzenia posiadasz system kanałów przewodzących. A kuzyn Fidle wszystko załatwi ci od ręki.

– Będzie bolało?

– Najwyżej jak ukłucie komara – zapewnił kuzyn.

– Dobra.

Jej zgoda nie była potrzebna. Już ją rozebrali i wdrożyli rutynowe procedury automatu transplantacyjnego. Urządzenie wyglądające jak mały robot robiło wszystko samo.

Tymczasem Emerald pochylała się, zaciekawiona łonem starej kobiety.

– Myślicie, że ona wydała na świat młode metodą naturalną? – zapytał chłopak.

– Pobierz płyny. Sprawdzimy.

Z wielkiej walizki leżącej na niskim stoliku obok noszy Fidle wygrzebał metalową strzykawkę do punkcji. Każdy dorosły mógłby pozazdrościć mu wprawnej ręki i celnego oka. Ostrze igły z dokładnością co do milimetra sięgnęło narządów rozrodczych kobiety. Wypełnił płynem niemal całą strzykawkę.

– Jeśli to zapłodnione jajeczka, można na tym zbić niezłą fortunę.

– Przecież ludzie potrzebują aktu. – Emerald parsknęła śmiechem na sam dźwięk podekscytowanego tonu chłopaka. – Po co im gotowce? – Chyba był w tym temacie zielony, pomyślała.

– Ojciec mi mówił, że od kilkunastu lat wstrzykuje się do głównych tętnic zapładniający płyn i kobieta sama decyduje, kiedy chce i czy w ogóle pragnie dziecka – kontynuował poważnie. – To częstsze niż brudny religijnie seks – dodał z wyższością.

– Co to jest seks?

– Dla takich małych smarkuli jak ty, Betty, to wiedza zgoła niepotrzebna. Wystarczy, że powiem tak: to zbędny akt przymusu reprodukcyjnego. Chciałabyś, aby jakiś brudny chłopak z dzielnicy Williamstown zmuszał cię do rodzenia dzieci? Od tego są specjalistyczne instytucje reprodukcyjne.

– To dlaczego pobieranie materiału reprodukcyjnego miałyby być intratne? – zapytała Emerald kuzyna.

– Mam ci to tłumaczyć? Przecież w twoim wieku już jesteś wyczyszczona. Nie wierzę, że coś z tego, co im oddałaś, nadaje się do inkubatora. Ta stara posiada niezmienny garnitur genetyczny. Są ludzie, którzy zapłaciliby krocie za możliwość posiadania własnego potomka urodzonego z macicy.

– Jak chcesz wypróbować wartość materiału?

Fidle odrzucił głowę w tył. Wysłał porozumiewawcze spojrzenie do kuzynki. Odchrząknął. Kątem oka oboje obserwowali grzebiącą we wnętrzu pierwszej dzajny Betty. Ciągle szukała następnej zabawki.

– Można podłączyć generator do dzajny...

– Przecież...

– Wiem, że się nie zmieści, ale można spróbować. Choćby troszkę?

Emerald zgodziła się w milczeniu. Sama była ciekawa. Betty zbliżyła się, żeby

lepiej widzieć.

– Będziemy robić zabawki? – zapytała, wierząc się niespokojnie.

Parsknęli zgodnym śmiechem.

– Wepnij, mała, te elektrody w brzuch starej – powiedział Fidle mentorskim tonem. – Emerald, pomóż jej, bo gotowa spać całą zabawę.

Nagły przepływ betatruponów był tak silny, że potrzęsnał obiema równocześnie. Krzyknęły i puściły. Fidle zarechotał. Końcówki były jednak już mocno wtopione w sąsiedztwo lewej dżajny. Chłopak porwał do ręki pordzewiałą strzykawkę. Nacisnął tłok. Uronił nieco płynu na powierzchnię stolika. Betty trzymała główkę na wysokości blatu. Jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe na widok lśniącej jak upuszczona perła kropli. Fidle za pomocą niewielkiego aplikatora przeniósł śladowe ilości płynu z zapłodnionymi jajeczkami do wnętrza lewej dżajny. Tym razem uśmiechał się łobuzersko.

– I to wszystko? Będzie z tego nowy człowiek? – zapytała Betty. Mlasnęła językiem. Już od jakiegoś czasu czuła słodki smak mleka na podniebieniu. A przecież było jeszcze o całe lata za wcześnie.

– Tak, smarkulo – odparł Fidle na poły z dumą, na poły z pogardą. – Emerald, podaj mi przyśpieszacz inkubacyjny. Leży na stoliku po twojej stronie – poprosił.

Po chwili urządzeniem podobnym do staroświeckiej suszarki rozpoczął nawiew promieniotwórczy na brzuch i dżajnę. Zaraz zrobiły się różowutko pulsujące. Dopiero po kwadransie zaczęło się coś dziać. Narząd napęczniał do wielkości sporej piłki. Drżał i furkotał. Nie zdołał utrzymać tak wielkiego ładunku w swoim ciasnym wnętrzu. Rozwarł się z mlaśnięciem, ale jeszcze nie otworzył.

– Lepiej natnij boki, bo stara nam eksploduje i zasra cały pokój, a nie uśmiecha mi się sprzątanie! – krzyknęła przerażona Emerald.

Gdy chłopak naciął boki, na ziemię wypadła wielka głowa z nieproporcjonalnie małym tułowiem, obracającym się w szaleńczym turlaniu niczym dodatkowo, za to bardzo elastyczne ucho. Nowo narodzony wydał z siebie okropny, piskliwy wrzask. Miniaturowe usta skrywały szeregi cieniutkich jak włos zębów i nic poza tym. Brakowało języka.

– I to będzie człowiek? Taki jak z centrum porodowego? – zapytała Betty, obłapiając z przerażenia roztrzęsione nogi Emerald.

– Spoko, ludzie! Stara ma przedatowany materiał rozrodczy. Trzeba cholerstwo dobić. Łapcie to. Szybciej, zanim się ktoś obudzi i tu przyjdzie! – Fidle próbował przekrzyczeć potęgując się z każdą chwilą wrzask malca.

Drzwi otworzyły się z hukiem. W progu stał ojciec. Tuż za nim matka, pospiesznie skrywająca pod szlafrokiem swoją nagość.

– Co tu się dzieje, do cholery?! – ryknął, jednocześnie chwytając chłopaka za wielkie uszy. – Zawsze ci rosną, jak coś przeskrobiesz, smarku – dodał ze śmiechem, unosząc go ponad podłogę jak zaczarowanego królika.

– Mówiłam, żeby zamknąć babcię w trumnie – zrzędziła matka, próbując przepchać się przez drzwi zablokowane zwalistym ciałem męża. Kiedy w końcu jej się to udało, wpadła w szal porządków.

– Domowa trumna jest jeszcze brudna po twojej ciotce Hanny. Mechanizmy wymagają drogiej naprawy. Gnilitory w tylnej ścianie są niesprawne – wyjaśnił mąż.

– Trzeba było oddać ciało na cmentarz!

– Nie stać nas na to, kobieto.

– Przy tobie nie stać nas na nic! – wrzeszczała, próbując pochwycić toczącą się od ściany do ściany głowę noworodka. Wreszcie dopadła ją i wrzuciła do dezintegratora przy oknie, ruchem godnym mistrzyni koszykówki.

– A ty co sobie transplantaowałaś, mała zdiro?! – krzyknęła na Betty pośpiesznie chowającą się za stojącego ojca. Jej usta były białe od przypadkowo uronionego mleka. Ukrywała w mocno zaciśniętej dłoni cukierek na porost włosów u niemowlaków. Wiązała z nim nowy, upiorny plan.

– Jeszcze raz zobaczę was bawiących się trupem babci, to podzielicie jej los! – darła się matka, czyszcząc brudną od rozchlapanej krwi szybę.

Ojciec, korzystając z jej nieuwagi nachylił się do ucha Fidle’a.

– Schowaj gdzieś tę strzykawkę, mały – wyszeptał. Odczekał aż żona ponownie wykręci szmatę. Odwrócona do okna zagłuszała samą siebie. – Widziałem wczoraj w parku trupa z potrójnymi dzajkami – dodał po przerwie. – Pójdziemy na spacer po południu, to się zabawimy.

Napotkał pełne miłości spojrzenia dzieci.

Troskliwym ruchem zmierzwił nieuporządkowane włosy Emerald. Była dopiero siódma rano, a tak ciekawie zapowiadał się ten dzień. Sięgnął po papierosa do lewej dzajny i po zapalną do prawej. Zapalił i spokojnie wypuścił dym.

# Marcin Rusnak

## SKLEPIK Z ZABAWKAMI

Wciąż pamiętam ten dzień, wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy ujrzałem sklepikarza. Był szósty czerwca, sobota. Powietrze rozedrgane od gorąca stało między szarymi monolitami bloków, wokół Wzgórza Partyzantów roznosił się upajający zapach zdziczałego jaśminowca.

Bawiliśmy się pośród gruzów Dworca Głównego w chowanego, gdy Pablo przybiegł powiedzieć nam, że przed mój blok zajechał obcy.

– Rudy, jakiś obcy stoi pod twoim blokhauszem – oznajmił podekscytowany. – Mus wam go zobaczyć, chłopaki. Ma osła i wóz, a na wozie chyba z tonę różnych fantów.

Wszyscy mieliśmy już dość skwarzącego słońca, poza tym zabawa w chowanego nieco się nam znudziła. Właściwie to byliśmy już na nią za starzy, ale w wojnę rodzice nie pozwalali nam się bawić – jak jednego razu Papa nas przyłapał na strzelaniu z kijków, to tak mi złoił skórę, że przez trzy dni jadłem na stojąco. Poszliśmy więc z Pabłem: ja, Szymek, Lewy i Petarda.

Opuściliśmy krzaki porastające ruiny, minęliśmy ciąg walących się kamienic przy Piłsudskiego i skryliśmy w cieniu rzucanym przez mój blok. Budynek jako jedyny w okolicy nie padł ofiarą bomb i pożarów, tylko na parterze porozbijane witryny szczyrzyły z futryn brudne, ostre kły.

Wóz obcego przycupnął na rogu, zaprzężony osioł skubał jakieś zielsko wyrastające spomiędzy potraskanych płyt chodnika. Fura była nieduża, drewniana, z dachem w kształcie obróconej do góry nogami kołyski i czerwonymi drzwiczkami. Na ścianie napisano zielonym sprayem: *ZABAWKI PANA KAWKI*. Pojazd stał po naszej stronie, naprzeciw cukierni, a umieszczony przed wejściem agregat warczał nisko, niby zazdrosny kundel. Po przekątnej, na placyku obok opuszczonej apteki, w dni powszednie parkował beczkowóz.

– Gdzie ten twój obcy? – zapytał Petarda. Jak go znam, już dumiał, czy się nie zakreślić wokół niepilnowanego wehikułu i nie doprowadzić kilku fantów.

– Był tu przed chwilą... o, tam idzie!

Mężczyzna wyłonił się zza rogu. Nieduży był z niego człowieczek, niepozorny, tylko brodę miał długą i gęstą, barwy grafitu. Na głowę nasadził wytarty melonik, na nos okulary w okrągłych oprawkach, takie fikuśne, z podnoszonymi czarnymi szklami, a w usta wetknął fajkę na długim ustniku. Akurat popatrzył w naszym kierunku i pomachał do nas.

– Faktycznie jakiś dziwny – zauważył Lewy. – Ale osła ma prima sort.

– Ciekawe, co go tu przywiało. – Włączył się Szymek.

Obcy skończył palić, wystukał resztki z fajki na popękany asfalt. Później ruszył w naszą stronę, a my czekaliśmy, zafascynowani, rozbawieni, przerażeni.

– Cześć, chłopcy – powiedział sklepikarz. Miał ciepły głos. – Nie chce któryś popilnować mojego dobytku i zarobić paru groszy?

Może i nie jestem zbyt lotny – pastor Ebner w chwilach belferskiego zwątpienia



twierdził, że widywał martwe gołębie z większym potencjałem poznawczym – ale refleks zawsze miałem przedni. Zgłosiłem się jako pierwszy, a sklepikarz wyszczerzył do mnie żółte zęby.

Tak się to wszystko zaczęło.

Następną godzinę spędziłem na betonowej rampie, z której dawniej wchodziło się do sklepów ulokowanych na wysokim parterze. Gapiłem się na osła i na drewniany wóz, bacząc, aby nikt się do nich nie zbliżał. Sklepikarz tymczasem zaglądał do kolejnych opuszczonych lokali. W końcu wrócił i, kiwając głową w stronę dawnej piekarni, powiedział:

– Ten się nada pierwszorzędnie.

– Do czego się nada?

– Nie do czego, tylko na co – poprawił mnie. – Na sklep. Chodź, pomożesz mi przenieść rzeczy do środka.

Otworzył drzwiczki i zaczął wyciągać z fury najróżniejsze bagaże: skórzane nesesery, ortalionowe torby, plastikowe skrzynki pełne przedmiotów poowijanych w szmaty albo stare gazety. Minął dobry kwadrans, nim ułożyliśmy to wszystko w stertę w kącie pomieszczenia.

Dawna piekarnia nie wyglądała specjalnie zachęcająco: wszędzie leżały odłamki szkła, farba odłaziła ze ścian wraz z kruszącym się tynkiem, kikuty kabli sterczały z sufitu i ścian.

– Idealnie, idealnie! – Sklepikarz zacierał z zadowoleniem dłoń.

Komenderował mną do wieczora. Wysprzątaaliśmy co się dało, stare graty wylądowały na podwórku. Wreszcie we dwóch przytachaliśmy z wozu jakieś żelastwo zawinięte w brezent.

W pewnym momencie zebrałem się na odwagę i zapytałem, jak się nazywa.

– Baltazar Kawka, do usług – odpowiedział, unosząc melonik. – A ty?

– Tadek. Dla kumpli Rudy.

– Tadeusz... śliczne imię. Ile masz lat, Tadeuszu?

– Dwanaście. A pan?

– Za dwa lata będę od ciebie pięć razy starszy.

Główkowałem przez chwilę, po czym stwierdziłem, że nie poradzę sobie bez kartki, na której mógłbym to policzyć.

Kawka wyciągnął z brezentowego pakunku jakieś metalowe listwy, tuleje i cały worek śrub, nakrętek i podkładek. Zabrał się do tego ze śrubokrętem, pogwizdując jakąś nieznaną mi melodię, a ja podawałem mu wskazywane części.

W końcu zrobiło się zbyt ciemno, żeby pracować. Sklepikarz przyniósł z wozu lampę benzynową. Pożegnałem się, a pan Kawka dał mi na odchodne dwa złote. Wtedy wydawało się to prawdziwą fortuną: lody z automatu po drugiej stronie ulicy kosztowały tylko dziesięć groszy za sztukę.

\* \* \*

Następnego dnia wypadła niedziela, a te spędzaliśmy w szkółce pastora Ebnera. Uczył nas czytać i pisać, ćwiczył z nami rachunki i opowiadał o różnych rzeczach: o przyrodzie, geografii, historii. Próbował nam też nawkładać do głów możliwie dużo

niemieckiego, ale efekty były oplakane.

– Po diabła my to zakuwamy? – psioczył Petarda. – Przecież i tak nikt nas nie puści przez granicę. Nikogo nie puszczają.

– Kto wie, może kiedyś puszczą – odpowiadałem, a chłopaki kiwali głowami. – Może kiedyś coś się zmieni.

Żaden z nas tak naprawdę w to nie wierzył.

Z naszej piątki tylko mnie i Pabla rodzice zmuszali do uczęszczania do szkółki niedzielnej. Petarda i Lewy dołączyli, gdy dowiedzieli się, że pastor Ebner raz w miesiącu dostaje z Zachodu paczki ze słodyczami, kawą i owocami w puszkach. Szymek nie miał rodziców, a po słodyczach regularnie dostawał sraczki, ale chodził z nami na lekcje, bo samemu na podwórku byłoby mu nudno.

Wracając ze szkółki, chciałem zajrzeć do pana Kawki, ale w witrynę zamiast szyby wstawiono arkusz blachy falistej. Sklepikarz wymienił też drzwi; musiał je przynieść z któregoś z pustych mieszkań. Ze środka dobiegały odgłosy stukania i szurania, ale nie miałem dość odwagi, by zapukać i zajrzeć do środka. Nie chciałem wyjść na natręta.

Kiedy następnego dnia zszedłem na dół, sklep pana Kawki był już otwarty.

Na blasze zastępującej szybę wystawową sklepikarz wymalował ten sam napis, co na wozie: *ZABAWKI PANA KAWKI*. Na drzwiach pojawił się gwóźdź, na gwoździu zaś kawałek tektury z jednym słowem: *OTWARTE*. Zajrzałem do środka.

Lokal zmienił się nie do poznania. Wyczyszczona podłoga, odmalowane ściany, w powietrzu ostry zapach farby i detergentów. Po lewej, po prawej i na środku stały proste regały z metalowych rur i listewek, z półkami z azurowego aluminium. A na półkach...

– No proszę, mój pierwszy klient. – Uśmiechnął się pan Kawka, stając w drzwiach prowadzących na zaplecze. Zawzięcie traktował grzebieniem włosy niesfornie odstające od czaszki. W sklepie paliły się dwie nakręcane lampy elektryczne, a rozłożony w kącie stolik przykryto ceratą. – Nie bój się, wejdź do środka. Zapraszam.

Nie miałem wiele czasu, ale zdecydowałem, że chwila zwłoki nie zaszkodzi. Wszedłem i uważnie przyjrzałem się zabawkom zgromadzonym na półkach.

Czego tam nie było! Regały mieściły obiekty pożądania dzieci każdej płci i w każdym wieku. Na najniższych półkach czekały te dla najmłodszych: kolorowe bąki, lalki szmaciane i plastikowe, pluszowe zwierzaki, drewniane klocki. Wyżej znaleźć można było piłki, tekturowe układanki, rozmaite zestawy kart i plansze do gier, z których znałem tylko tę podzieloną na kwadraty, używaną do warcabów. Na kolejnej półce brygada żołnierzyków formowała szyk pomiędzy resorakami a parkiem maszynowym, składającym się z plastikowych traktorów, koparek i innych ciężkich sprzętów.

Dużo tego było; zbyt dużo, by wszystko wymieniać. Były plastikowe samoloty zwisające spod sufitu na żyłce wędkarskiej i dziwne lunety, w których wielobarwne szkiełka układały się w oszałamiające wzory. Był cały kosz klocków, nazywanych przez sklepikarza klockami lego, które dało się łączyć w fantazyjne kształty i konstrukcje. Był dom dla lalek, z otwieraną boczną ścianą i miniaturowymi

mebelkami. Cuda, prawdziwe cuda.

Dopiero po chwili dostrzegłem zawieszony na ścianie zabawkowy karabin. Zaparło mi dech w piersiach.

– Niezła sztuka, prawda? – zagadnął pan Kawka, stając za mną. – Jak go znalazłem, miał popękana kolbę, ułamaną lufę i spust się zacinał. Dwa lata szukałem innych modeli, żeby poprzyklejać z nich brakujące części, ale się opłaciło. Prawie nie widać spojeń. Chcesz go potrzymać?

Zaprzeczyłem gwałtownie i cofnąłem się o krok.

– Nie lubisz broni, co? – zapytał sklepikarz z łagodnym uśmiechem. – Dzisiejsi chłopcy już się nie bawią w wojnę? Kiedy byłem w twoim wieku, całymi dniami latałem z kijkiem po parku i krzyczałem „tratatatata!”, naśladując terkot M16.

– Ojciec... ojciec mi nie pozwala – odpowiedziałem, nie odrywając wzroku od karabinu. – Mówi, że wojna to nie zabawa. Mówi, że to właśnie przez wojnę tak żyjemy. I że...

Ugryzłem się w język. Nie zamierzałem rozmawiać o Mamie. Nie z obcym człowiekiem.

– Twój ojciec ma wiele racji. – Kawka pokiwał głową. – Ale jest tu mnóstwo innych zabawek. Założę się, że nie grałeś nigdy w chińczyka.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, rozłożył na stole planszę i zaczął objaśniać zasady. Słuchałem jednym uchem, co chwila zerkając na wiszący na ścianie karabin. Nie mogłem się skupić, gdy nagle usłyszałem swoje imię.

– Tadek!

W drzwiach wejściowych stała moja siostra. Anka miała szesnaście lat, rude włosy i bladą cerę szczerze obsypaną piegami.

– Czego cię nie ma na polu? – zapytała.

– Już idę.

– Byle żywo! Jak nawalisz, Szrama raz dwa znajdzie sobie innego smarka do pracy.

– Powiedziałem, że już idę!

Popatrzyła na mnie, później na Kawkę, który uklonił się nisko. Mruknęła coś pod nosem i już jej nie było.

– Muszę iść – przyznałem niechętnie. Wcale nie chciałem wychodzić.

– Gdzie pracujesz, Tadeuszu?

– Różnie. Zależy, gdzie nas Szrama pośle. Teraz głównie na polach makowych, konopie na plantacji jeszcze dość nie urosły. Ale dobre będą, gęste i wysokie. Jesienią zapowiada się moc roboty.

Pan Kawka odchrząknął, jakby dziwnie zakłopotany. Zdjął pionki z planszy, sześciennie kości schował do słoika, planszę wetknął z powrotem pomiędzy inne. Szkoda, że musiałem iść, chętnie bym wypróbował tego całego chińczyka.

– Do widzenia – powiedziałem, po czym ruszyłem do wyjścia.

Byłem już na zewnątrz, gdy usłyszałem jego głos.

– Tadeuszu...

Zawróciłem. Kawka marszczył czoło w zadumie, a w palcach lewej dłoni obracał

maleńką buteleczkę pełną brązowego proszku, która zwisała mu z szyi na rzemyku. Dopiero kilka tygodni później dowiedziałem się, że ten proszek w środku to mirra.

– Co byś powiedział, gdybym zaproponował ci pracę? Dam złotówkę za dziesięć godzin, sześć dni w tygodniu. Co ty na to?

Tego samego dnia poszedłem do Szramy, by mu powiedzieć, że znalazłem lepszą pracę. Nie byłem pewny, czy dobrze robię – pola makowe i plantacje konopi od dawna stanowiły integralną część Wrocławia, a pan Kawka był obcym. Zjawił się znieścacka i nie miałem pojęcia, jak długo u nas zabawi. Lokal odnowił pierwszorzędnie, ale wprawa, z jaką to zrobił, sugerowała, że nie pierwszy raz się przeprowadza. I pewnie nie ostatni.

Za bardzo mnie jednak ciągnęło do jego sklepu, żebym miał nie skorzystać z takiej okazji. Pracowałbym nawet ze połowę zaproponowanej stawki albo i mniej, byle móc codziennie zanurzać się w tej magicznej atmosferze. Ileż cudów znajdowało się na tych półkach, ile przedmiotów, których tajemnice dopiero miałem odkryć... Nie, takiej szansy nie mogłem przepuścić. A że pieniądze pan Kawka zaproponował niemałe, nie wahałem się długo. Z moich kolegów tylko Lewy zarabiał złotówkę dziennie, ale on harował po czternaście godzin na dobę w mleczarni. Szymek i Pablo wyciągali u Szramy po sześćdziesiąt, siedemdziesiąt groszy, natomiast ten leń Petarda zadowalał się czterema groszami za godzinę – pilnował kóz, które on i paru innych łebków wyprowadzało codziennie z szop przy Hubskiej, żeby pasły się wśród chwastów porastających tory kolejowe.

– Zanudzisz się tam na śmierć – powiedział Pablo, kiedy poznał moją decyzję. Myślę, że po prostu był zazdrosny. – Cały dzień w klitce pełnej zakurzonych zabawek...

Niesłusznie się martwił, bo w samym sklepie spędzałem mało czasu. Pan Kawka potrzebował kogoś na posyłki, a ja znałem miasto na tyle dobrze, żeby się w tej roli sprawdzić.

– Popatrz – mawiał na przykład, podnosząc wzrok znad rozebranej pozytywki – potrzebuję dwóch takich kółek zębatach, takiej śrubki i blaszki takiej wielkości, żeby uzupełnić brakujący ząbek w grzebieniu.

Chowałem wszystkie elementy do kieszeni, sklepikarz dawał mi trochę drobnych z metalowej kasetki i ruszałem w drogę. Odwiedzałem składy z artykułami żelaznymi w podziemiach placu Jana Pawła, w zrujnowanych halach przy Tęczowej albo – w najgorszym razie – w starym bunkrze przy tej dziwacznej, sterczącej w niebo lokomotywie. Szukałem tak długo, aż znalazłem dokładnie to, o co prosił pan Kawka.

W okolicy Kołłątaja mieszkało niewielu bogatych ludzi, więc klientelę mieliśmy skromną – przychodziły głównie dzieciaki bez pieniędzy, które chciały napatrzeć się na te wszystkie cuda. Mój pracodawca okazał się ciepłym, dobrodusznym człowiekiem. Podczas gdy większość handlarzy czym prędzej przepędzała podobnych wyrostków, on pozwalał im pobawić się zabawkami z pólek, uczył zasad gier planszowych, ku naszej uciechu popisывał się karcianymi sztuczkami. W takich sytuacjach miałem za zadanie dopilnować, aby zabawki przypadkiem nie opuściły

sklepu i żeby nie uległy uszkodzeniu.

Na efekty nie trzeba było długo czekać: nasz lokal stał się jednym z punktów spotkań okolicznej dzieciarni, a wieści o nim prędko rozprzestrzeniały się po Wrocławiu. W tydzień po otwarciu pojawił się pierwszy poważny klient i po namyśle nabył lalkę dla najmłodszej córki. Zapłacił siedemnaście złotych.

– Siedemnaście złotych! – ekscytowałem się. – Kawał mamony! Mamy więcej takich cennych fantów?

Pan Kawka ze śmiechem zaczął wskazywać zabawki, które warte były znacznie więcej.

– Poza tym nie zarobiliśmy siedemnastu złotych, Tadeuszu – dodał. – Tylko trzynaście.

Wyliczył, ile kosztowała go podniszczona lalka, którą kupił w niedużej osadzie pod Rawiczem, oraz materiały potrzebne, żeby doprowadzić ją do pierwotnego stanu: żywica syntetyczna, farby, klej... nawet olej w lampie, który wypalił w trakcie pracy nad przywróceniem zabawce dawnej urody. Był bardzo dokładny. Później opowiedział mi o paru innych przedmiotach w swojej kolekcji, o tym, jak określa cenę oraz ile kosztowało go zdobycie ich lub renowacja.

Podaję, że ta jedna rozmowa dała mi więcej niż wszystkie niedziele w szkółce pastora Ebnera razem wzięte.

Mijały tygodnie. Przez Wrocław przetoczyła się fala morderczych upałów, później nadeszły burze i deszcze. Zanim wróciły ciepłe, słoneczne dni, była już połowa sierpnia. Któregoś wieczora wybrałem się nad Odrę, popatrzeć na plantację. Zielone pióropusze kiwały się nad ścianą wiotkich, tyczkowatych łodyg, wiatr niósł ze sobą zapach rzeki i specyficzną, mocną woń konopi. Zbliżał się czas zbiorów.

Wracałem do mojego bloku już po zmroku. Wokół panowała cisza i przechodząc obok drzwi sklepu, usłyszałem dobiegające z wnętrza głosy.

– Jeśli jest w mieście, znajdę go – powiedział ktoś. – Ale to będzie kosztować.

– Ile?

– Stówę.

– Dobrze – drugi głos należał do Kawki. – Jestem gotów zaakceptować taką kwotę.

Zamurowało mnie. Sto złotych?!

Usłyszałem kroki i czym prędzej czmychnąłem w mrok. Otworzyły się drzwi, słabe światło nakręcannej lampy rozlało się po betonowej rampie. Mężczyzna w skórzanej kurtce wyszedł przed sklep, a ja nagle zapragnąłem wcisnąć się plecami w mur. Na jego ramieniu dostrzegłem białą opaskę z czarnym odciskiem psiej łapy.

Czarny Ogar. Jezu Chryste.

Mężczyzna zerknął w moją stronę i natychmiast przestałem oddychać. Sfilcowane czarne włosy opadały mu po bokach twarzy jak glisty, nisko przy biodrze wisiał nóż w pochwie. Nie mógł mnie dostrzec w ciemnościach, a mimo to cały drżałem. Czulem, że jego spojrzenie przeszywa mnie na wskroś, zgłębia moje myśli i karmi się moim strachem tak, jak pijawka syci się krwią.

W życiu się tak nie bałem.

Chwilę później obrócił się na pięcie i odszedł w kierunku fosy.

Odczekałem chwilę, uspokoiłem się, moje serce w końcu przestało bić jak oszalałe. Wiedziałem to i owo o Czarnych Ogarach. Czasem Papa po kilku głębszych powtarzał, żebym trzymał się od nich z daleka, bo to „niebezpiecznie popaprane skurwysyny”, a brat Petardy twierdził, że rewirowy z Placu Dominikańskiego kiedyś zadarł z Ogarami i później znaleziono go w przejściu podziemnym z „jajami zamiast oczu i odciętym językiem wetkniętym w dupę”.

Co za interesy mógł Kawka ubijać z takimi ludźmi?

Zapukałem i moment później drzwi stanęły otworem.

– Ach, to ty, Tadeuszu – powiedział pan Kawka. – Wejdz proszę.

Zamknął za mną. Zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać, ujrzałem coś, co wyparło Czarne Ogary z moich myśli. Na podłodze leżała wielobarwna plansza przypominająca mapę świata pokazywaną nam parokrotnie przez pastora Ebnera. Obok leżała sterta kolorowych figurek przedstawiających żołnierzy, czołgi i samoloty, talia nietypowych kart oraz kilka sześciennych kości.

– Ta gra była kiedyś niezwykle popularna – powiedział Kawka, widząc moje zainteresowanie. – Wyjaśnić ci zasady?

Przykucnąłem na podłodze. Wszystko – plansza, modele wojsk, karty – zachowane było w idealnym stanie. Intensywne kolory cieszyły oczy, gładka faktura kartonu prosiła, by jej dotykać. Żadna zabawka w naszym sklepie nie była w równie doskonałej kondycji.

– Nie ma Polski – zauważyłem.

– Wielu państw tu nie ma. Te pola to w większości regiony: Europa Południowa, Kamczatka, Bliski Wschód...

Kawka przysiadł obok mnie i zaczął wyklądać zawiloci rozgrywki. Wyjaśnił, że celem jest przejęcie kontroli nad całym światem, że służą do tego rozlokowane na planszy oddziały, a starcia pomiędzy nimi rozstrzygane są za pomocą rzutów kośćmi. Opowiedział o tym, że czołgi warte są więcej niż piechota, a samoloty więcej niż czołgi, oraz o kartach, które się dobiera i wymienia na dodatkowe oddziały. Słuchałem podniecony i przerażony: czym było latanie z kijkami imitującymi karabiny, gdy tutaj chodziło o wysyłanie na śmierć całych armii? Gdyby Papa wiedział, co robię...

– To była ulubiona gra Roberta – dodał sklepikarz, gdy skończył wyjaśniać reguły. Świadomie lub nie, zacisnął dłoń na wisiorku z miniaturową buteleczką pełną mirry.

– Roberta?

– Mojego syna.

Pan Kawka westchnął, po czym zmusił się do uśmiechu i puścił do mnie oko.

– To jak, chcesz zagrać?

Rozstawiliśmy wojska. Mnie przypadła w udziale większość Ameryki Północnej, Afryki i Europy, w Azji i Ameryce Południowej przewagę miał Kawka, a Australią i Oceanią podzieliliśmy się po równo. Ja zaczynałem, więc pierwszy dozbroiłem swoje oddziały i posłałem je w bój. Zagrzechotały kości, rozstrzygnęły się pierwsze potyczki. Zdobyłem Skandynawię i Ural, ale oddziały sklepikarza odparły mój atak

na Nową Gwineę. Przesunąłem wojska, dobrałem kartę. Przyszła kolej Kawki. Dołożył oddziały w innych miejscach, niż ja bym to zrobił, ale widać za tą decyzją szło doświadczenie: w tej samej turze przejął Peru i zdobył całkowitą kontrolę nad Ameryką Południową.

Uczyłem się na własnych błędach, poza tym miałem dużo szczęścia przy rzutach. Po czterech turach osiągnęliśmy swoistą równowagę. Mieliśmy inne strategie. Ja atakowałem mniejszymi oddziałami, za to wiele terytoriów równocześnie. Kawka gromadził siły i przeprowadzał zmasowane natarcie, zajmował jeden obszar i czekał. Pozwalał moim wojskom wykrwawiać się, a gdy miałem nieco szczęścia i wdarłem się w głąb jego ziem, szybko je odbijał. Wystarczyło, że przy którymś rzucie powinęła mi się noga, a on przechodził do ofensywy. Zdobywał jedno terytorium, przerzucał więcej oddziałów bliżej granicy i tworzył mur nie do przebiccia. Nie grał widowiskowo, brawurowo i z polotem – po prostu skutecznie.

W pewnym momencie dostawałem już takie baty, że musiałem zmienić taktykę i ufortyfikowałem się w głębi Starego Kontynentu. Obsadziłem dużymi siłami Wielką Brytanię, Islandię, Europę Zachodnią oraz Południową, a także Skandynawię. W Europie Północnej, której obszar obejmował Polskę, zostawiłem jeden symboliczny oddział w sąsiedztwie gigantycznej, skumulowanej w Rosji armii pana Kawki. Miałem nadzieję, że gdy ten moloch zaatakuje, kilka fartownych rzutów pozwoli mi uszczuplić jego potęgę, a wtedy mógłbym przejść do kontrofensywy z głębi kontynentu.

– Widać tak już musi być. – Uśmiechnął się smutno sklepikarz. Czekałem na atak, ale Kawka zwlekał z przesunięciem pionków. Dłoń mu wyraźnie drżała, gdy sięgał po figurki.

Dopiero wtedy zrozumiałem, do czego doprowadziłem. Zmasowana potęga Rosji miała uderzyć na nas. Na Polskę. Wystawiłem własny kraj na zer. Oczywiście to była tylko gra, manewr taktyczny, a w plastikowych oddziałach nie ginęli prawdziwi ludzie, ale mimo wszystko poczułem się nieswojo.

– Czy... czy tak to właśnie wyglądało? – zapytałem. – Czy tak wyglądała Wojna?

Kawka uniósł wzrok znad planszy i popatrzył mi w oczy.

– Nie powiedzieli ci o niej za dużo, prawda?

– Papa nie chce o tym mówić. Anka była za mała, żeby coś pamiętać. A pastor Ebner aż cały sinieje, jak zaczynamy z chłopakami ten temat.

Sklepikarz pokiwał powoli głową.

– Wojna, o której mówisz, jest prawdopodobnie najkrótszym konfliktem w dziejach świata. Tak naprawdę trwała nieco ponad kwadrans.

Wytrzeszczyłem na Kawkę oczy.

– Nie było inwazji, nie było nalotów bombowych, kolumn piechoty i wciągania obcej flagi na maszt Belwederu. Było natomiast kilkanaście minut piekła zgotowanego przez dziesiątki tysięcy rakiet balistycznych z ładunkami paliwowo-powietrznymi i kasetowymi. Dobrze wycelowanych rakiet, które obróciły w ruinę każde większe polskie miasto i zrównały z ziemią wszystkie istotne zakłady przemysłowe, jednostki wojskowe, dworce kolejowe, porty i lotniska. Kilkanaście

minut piekła. A później nic.

Kawka zaatakował ten mój biedny, osamotniony oddział i oczywiście zniszczył go przy pierwszym rzucie. Jednak zamiast zgodnie z zasadami przesunąć część wojska na podbite terytorium, pozostawił je puste.

– Dokładnie to zrobili. Zniszczyli nas. Zmiażdżyli całą infrastrukturę, zamordowali setki tysięcy albo i miliony ludzi, zamienili część kraju w pustynię popiołów i zgliszczy. To miało być ostrzeżenie dla NATO coraz odważniej poczynającego sobie w Azji Wschodniej. Nie zadzierajcie z nami, powiedzieli, bo zgnieciemy was jak robaka. Tak jak Polskę. W ciągu kwadransa. Bez znaczenia okazały się wszystkie nasze sojusze, przynależność do Paktu, zapewnienia pomocy. Nastąpił exodus na zachód, w odpowiedzi na co Niemcy, Czechi i Słowacja oczywiście zamknęli granice. Później granice zamknęli też Litwini, Ukraińcy i Białorusini, na Bałtyku ustawiono blokady morskie. Nikt nie chciał trzydziestu milionów uchodźców. Rozpętała się chaotyczna wojna domowa, w której każdy walczył z każdym.

Znowu zacisnął dłoń na wisiorku z mirrą. Usłyszałem, jak pociąga nosem i po raz pierwszy pomyślałem, że może jednak mam szczęście. Ja nie pamiętałem czasu sprzed Wojny i nie bolała mnie tak strasznie świadomość, co straciliśmy.

– Robert chorował na astmę – wyjaśnił Kawka, choć o nic nie pytałem. – Po zamknięciu granic dostęp do lekarstw stał się bardzo trudny. Wtedy jeszcze nie rozwinęła się uprawa maku i konopi, narkotyków nie przemycano na taką skalę. Teraz zdołałbym pewnie przekupić szmuglerów, żeby załatwili inhalatory i lekarstwa... ale wtedy? Próbowałem wszystkiego. Mirra pomagała... przez jakiś czas.

Zapadła cisza. Lampki zaczęły przygasać, ale nie byłem pewien, czy powinienem je nakręcać. Nie wiedziałem, czy chcę zobaczyć, jak pan Kawka płacze.

– Czemu nie mieliśmy... – zacząłem. – Skoro Rosja nie zaatakowała innych krajów, musiały być jakoś chronione. Czemu my nie byliśmy?

– Byliśmy – odparł pan Kawka, a w jego głosie pojawiła się nagle jakaś twarda, nienawistna nuta. – Mieliśmy zaawansowany system ochrony przed rakietami balistycznymi. Nazywał się „Cyfrowy Orzeł”. Gdyby działał prawidłowo, do celu dotarłoby nie więcej niż trzydzieści procent pocisków, a Polska, choć zraniona, mogłaby się podnieść.

– Więc co się stało?

– System nie zadziałał.

– Dlaczego?

Kawka zawahał się. W pomieszczeniu było już tak ciemno, że widziałem tylko zarys jego sylwetki i kontur twarzy. Czuję zapach tytoniu, który wcześniej palił, i wyobrażałem sobie zbieleńnięte palce zaciśnięte na buteleczce z mirrą.

– A skąd ja miałbym niby wiedzieć? – powiedział.

Za długo zwlekał z tą odpowiedzią. Wiedziałem, że nie mówi mi wszystkiego, ale nie zamierzałem naciskać.

Posiedzieliśmy jeszcze jakiś czas w milczeniu, po czym pan Kawka wstał, nakręcił jedną lampkę i złożyliśmy grę do kartonowego pudełka.



Dopiero na zewnątrz przypomniałem sobie, że nie zapytałem go o Czarnego Ogara, ale teraz wydawało się to jakieś błahe, mało istotne. Natomiast zasypiając, myślałem o buteleczce z mirrą na szyi sklepikarza. Pastor Ebner w niedzielę wypadającą najbliżej Trzech Króli zawsze przypominał nam część Ewangelii, w której Kacper, Melchior i Baltazar przybywają do maleńkiego Chrystusa z darami złota, kadzidła i mirry.

Baltazar. I mirra.

To wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że Baltazar Kawka to wcale nie musi być prawdziwe nazwisko mojego pracodawcy.

Dni płynęły jak woda w Odrze, na pozór niespiesznie, kryjąc wartki nurt przemijających chwil pod gładką taflą monotonii. Tylko słońce zdradzało rychłe nadejście jesieni: dłużej zwlekało z każdym kolejnym wschodem i nieco wcześniej udawało się na zasłużony odpoczynek. Później zjawiał się wrzesień – niepostrzeżenie, jakby skradał się już od dawna na palcach, by w końcu rozgościć się na całego, barwiąc czerwienią liście drzew, ciskając na ziemię żołądźcie i rozsiewając wokół zapach jabłek, wilgotnej ziemi i dymu ognisk.

Pracowałem, zarabiałem pieniądze i kompletnie zapomniałem o wizycie Czarnego Ogara w sklepie Kawki.

Aż do nocy, kiedy usłyszałem ten huk.

Ocknąłem się po północy, nagle rozbudzony i czujny. Wokół panowała cisza, tylko z pokoju na dole dobiegało chrapanie Papy. Przez wypaczone okno wpadało rześkie powietrze, więc opatulilem się lepiej i obróciłem się na bok z nadzieją, że szybko z powrotem zasnę.

Wtedy właśnie rozległ się ten huk. Grzmotnęło gdzieś na dole – mieszkamy na drugim piętrze – mocno, że aż szyby w oknach zadrżały. Ze strachu przestałem nawet oddychać. Urwało się też chrapanie taty. Huk poniósł się echem między surowymi murami bloków i zrujnowanych kamienic, po czym ucichł. Czekałem w bezruchu na ciąg dalszy, otulony w gęsty mrok niby w gruby koc. Jednak ciąg dalszy nie nadszedł. Żadnych więcej hałasów, żadnych głosów – nic. Wkrótce ojciec znowu zaczął chrapać.

Następnego ranka w drzwiach rozsypującej się rudery na Stawowej znaleziono martwego Czarnego Ogara. Jeszcze zanim poszedłem mu się przyjrzeć, wiedziałem, że to ten sam mężczyzna, którego widziałem u Kawki.

Przez kolejne dwa dni sklepikarz był milczący. Błądził gdzieś myślami, nieświadomie chyba bawiąc się zawieszonym na szyi wisiorkiem z mirrą. Wzrok miał wtedy nieobecny i czasem mamrotał pod nosem, cichutko, na granicy słyszalności.

Raz próbowałem poruszyć temat trupa znalezionego w sąsiedztwie, ale odpowiedź otrzymałem mało satysfakcjonującą.

– Wszyscy umierają – powiedział wtedy Kawka i pospiesznie znalazł mi coś do załatwienia poza sklepem.

Wiedziałem, że coś ukrywa, ale nie zamierzałem naciskać. Nigdzie indziej nie dostałbym takich pieniędzy, nie mówiąc już o takiej pracy. Zwyciężyło

wyrachowanie, ciekawość musiała obejść się smakiem.

Pod koniec drugiego dnia po tym, gdy znaleziono martwego Czarnego Ogara, Kawka poprosił mnie na zaplecze sklepu.

– Chcę, żebyś coś jeszcze dzisiaj dla mnie zrobił – powiedział, wręczając mi paczuszkę owiniętą w gruby szary papier. – Jest człowiek, któremu musisz to dostarczyć.

– Co to takiego?

– Przesyłka. To wszystko, co musisz wiedzieć – odparł Kawka, nietypowo jak na siebie tajemniczy. – Odbiorca nazywa się Karol Bontarski. Mieszka na Kochanowskiego, na domu jest tabliczka z numerem 32A. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem, ale to kawał drogi, a ja...

– Zaraz kończysz, zdaję sobie z tego sprawę. Ale, Tadeuszu, to nie może czekać. Zapłacę ci dodatkowo... dwa złote. Co ty na to?

O ile wcześniej miałem pewne podejrzenia, o tyle teraz sprawa zaczęła naprawdę mocno śmierdzieć. Dwa złote za głupi spacer na Kochanowskiego i z powrotem? Zawodowy kurier policzyłby sobie niewiele więcej.

– Proszę pana, co tu się dzieje? – zapytałem lekko łamiącym się głosem. – Co takiego jest w tym pakunku?

– Nie twoja sprawa – rzekł, po raz pierwszy, odkąd go poznałem, okazując zniecierpliwienie. – Weźmiesz tę przesyłkę czy nie? Jeśli nie, jestem pewien, że któryś z twoich kumpli chętnie cię wyręczy.

Zważyłem pakunek w dłoni. Miał rozmiar niedużej książki, ważył z pół kilo. Pod papierem dało się wyczuć gładką fakturę metalu. Błądząc wzrokiem po sklepowych półkach, zastanawiałem się, co mogło być w środku. Pozytywka? Składana w pudełko szachownica z namagnesowanymi pionkami? Jakieś wyjątkowo wartościowe puzzle?

Obróciłem przesyłkę i dopiero teraz zauważyłem podpis na papierze. Ernest Bruckner.

– To pana prawdziwe nazwisko? – wyrwało mi się, zanim dobrze pomyślałem.

Rysy twarzy sklepikarza stężały, jakbym go uderzył. Milczał przez chwilę, po czym odwrócił wzrok.

– To jak?

– Zaniose ją.

Wyruszyłem bez zwłoki, mając nadzieję, że przynajmniej w jedną stronę pokonam trasę przed zmierzchem. Plac Dominikański i okolice były terenem Czarnych Ogarów, a dalej musiałem jeszcze przedostać się przez gigantyczne gruzowisko w miejscu dawnego Placu Grunwaldzkiego. Pośród zgliszczy można było trafić na niewybuchy z czasu Wojny, sfory bezpańskich psów albo na sekciarzy z któregoś z dwóch skonfliktowanych kultów: Bractwa Rdzawego Świtu lub Świątyni Sammaela. Za dnia mogłem bez większych trudności uniknąć podobnych niebezpieczeństw – w nocy już niekoniecznie.

Poszedłem wzdłuż fosy po stronie Wzgórza Partyzantów. Drzewa pochyliły się nisko nad ścieżką, jakby chciały przejrzeć się w mętnej, zasnutej rzęsą wodzie.

Minąłem kilku młodszych chłopaków z Piotra Skargi, którzy rzucali nożami w pień starego platanu.

Fosa się skończyła, a ja poszedłem dalej, w stronę mostu. Zostawiłem za sobą metalowy szkielec, na którym czerwone litery układające się w napis *GALERIA DOMINIKAŃSKA* wisiały jak ochłapy krwistego mięsa na rzeźnickich hakach. Minąłem czarny od ognia gmach z dachem porośłym rdzewiejącymi talerzami anten. Wreszcie przedostałem się przez betonową pustynię Placu Powstańców Warszawy, usianą spalonymi wrakami samochodów, autobusów i tramwajów niby osobliwymi kaktusami. Bywałem tu wcześniej, i to nie raz, ale dopiero po usłyszeniu opowieści Kawki dotarło do mnie, jak wiele Wojna nam odebrała. Wyobraziłem sobie te wszystkie pojazdy w ruchu, pokryte kolorowymi lakierami, odbijające promienie słońca w szerokich szybach, wspinające się z rykiem silników po ślimakach estakad...

Na Kochanowskiego dotarłem równo z zachodem słońca. Nie było tutaj kamienic czy bloków, tylko domy. Mury większości z nich kruszyły się jak stare ciasto, ale zdarzały się też budynki remontowane: łatanie czym popadnie, z uporem wydzierane ze szponów niszczycielskiego upływu czasu.

Dom z numerem 32A okazał się dużym budynkiem ze zdziczałym trawnikiem pełnym popękanych dachówek. Uchyliłem skorodowaną furtę i stanąłem przed drzwiami. Coś uciskało mi żołądek, wprawiało dłonie w drżenie.

Zapukałem do drzwi, które po chwili otworzyły się ze szczękiem zasuw i brzękiem łańcucha. W progu stanął mężczyzna po pięćdziesiątce. Rzadki zarost pokrywał twarz o delikatnych rysach, spod wąskich brwi zerkały ciemne oczy. Miał na sobie pomarańczowy szlafrok, a pod spodem slipki i podkoszulek, na stopach rozchodzone kapcie. Zdziwił się na mój widok, ale na jego twarzy zaraz zagościł uśmiech.

– Cześć, skarbeńku – powitał mnie miękkim głosem. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Czy pan Bontarski? Karol Bontarski?

– Trafiony, zatopiony – odparł, opierając lewą dłoń o ościeżnicę. Dopiero teraz zobaczyłem, że w prawej trzymał pistolet. Wzdrygnąłem się i cofnąłem o krok.

– Och, nie bój się, złociutki – powiedział Bontarski. – W życiu bym nie skrzywdził dziecka. Widzisz, już odkładam to paskudztwo.

Pistolet powędrował na stojącą przy drzwiach szafkę. Gospodarz odgarnął szlafrok, złapał się pod boki. Slipki nieznacznie zsuwały mi się z bioder, w przerwie pod przykrótkim podkoszulkiem widać było kosmki włosów łonowych.

Zauważył, że mu się przyglądam, i uśmiechnął się przyjaźnie. Oczy miał jakby wilgotne, przesunął językiem po pełnych wargach.

– Wejdz proszę – zaproponował. – Mam pyszną, chłodną lemoniadę. I czekoladę. Całe mnóstwo słodziutkiej czekolady.

Coś w jego zachowaniu budziło niepokój i dopiero po chwili zrozumiałem co: sposób, w jaki na mnie patrzył. Niektórzy starsi chłopcy spoglądali w podobny sposób na Ankę.

– Muszę wrócić do domu przed zmrokiem – wykrztusiłem w końcu. – Proszę, to

przesyłka dla pana.

Podałem mu pakunek. Zmarszczył brwi zaskoczony.

– Dla mnie? Od ko... Ach!

Kiedy zobaczył nazwisko na papierze, oczy mu rozbłysły. Kimkolwiek był Ernest Bruckner, Bontarski musiał go dobrze znać.

– Teraz musisz wejść – powiedział, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Opowiesz mi więcej o tej przesyłce i człowieku, który ci ją dał. Czy on jest tutaj, we Wrocławiu? Ciekawe, czemu sam nie przyszedł... No, chodźże, mam tutaj więcej smakołyków, niż zdołałbyś zjeść w ciągu tygodnia. Pięć minut cię nie zbawi.

Wahałem się, ale w końcu wszedłem do środka, niech Jezus Nazarejczyk się nade mną zlituje. Czulem, że powinienem brać nogi za pas, ale wlałem do tego domu. Nie z powodu słodyczy – z powodu przesyłki. Musiałem wiedzieć, co w niej było. Reakcja Bontarskiego była kroplą, która przelała czarę; ciekawość, trzymana dotychczas na wodzy, zerwała się z uwięzi i ruszyła galopem, jak nieujeżdżony ogier.

Bontarski zamknął za mną drzwi i pozasuwał wszystkie rygle.

– To niebezpieczna okolica – odparł na moje pytające spojrzenie, po czym położył mi dłoń na ramieniu. Można było w tym geście doszukać się jakiegoś śladu ojcowskiego instynktu; w tym, jak musnął palcem mój policzek – już nie.

– Proszę mnie nie dotykać – powiedziałem, ale mój głos naraz zabrzmiał słabo, płacząco.

– Oczywiście, słonko – odparł, ale cofając dłoń, niby przypadkiem przejechał jeszcze po mojej szyi i obojczyku. – Jak sobie życzysz.

Zaprowadził mnie do jednego z pokoi. Na środku dominował drewniany stół, wersalka o sparciałej tapicerce podpierała ścianę. Po kątach walały się puste flaszki, popiół i niedopałki wysypywały się z blaszanej puszki na parapecie. Na taborecie leżały w rozsypce naboje do pistoletu, kilka z nich upadło na podłogę.

– Siadaj, skarbeńku, zaraz przyniosę ci coś do picia.

Zapadłem się w wersalce. Pachniała starością i stęchlizną. Zawiesiłem wzrok na odchodzącej płatami pożółkłej tapecie, później na czarnej plamie grzyba hodowanego w kącie, pod sufitem.

Minęła chwila, nim mężczyzna wrócił. W jednej dłoni niośł pistolet, w drugiej szklanekę jakiegoś musującego, zielonkawego napoju. Nie miał na sobie koszulki, a jego slipki wydawały się jakby pełniejsze. Pospiesznie odwróciłem wzrok.

– Proszę – powiedział, podając mi szklanekę. – Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

Ciągnął się za nim ciężki, słodkawy zapach, trochę podobny do perfum kobiet, które wieczorami stawały w bramach kamienic przy Gwarnej.

– No dalej, pij.

Przyjąłem szklanekę, ale nie zamoczyłem ust. Powoli docierało do mnie, jak idiotycznie postąpiłem, przyjmując zaproszenie Bontarskiego. Stały mi w pamięci wszystkie opowieści o trucicielach, gwałcicielach i mordercach, którymi wraz z Petardą, Lewym i całą resztą staraliśmy się napędzić sobie nawzajem stracha. Zacząłem się zastanawiać, czy rozwiązanie zagadki tajemniczej przesyłki jest tego

warte i doszedłem do wniosku, że nie. Wyobraźnia podsuwała mi kolejne przerażające wizje: ziejącego czernią otworu lufy, dotyku lodowatego metalu na skroni, Bontarskiego liżącego ostrze brzytwy, mojej krwi chlustającej strugą z poderżniętego gardła... Nagle zrobiło mi się słabo. Gdyby nie to, że od rana nic nie jadłem, zwymiotowałbym mężczyźnie na kapcie. Spróbowałem wstać, ale Bontarski z łatwością pchnął mnie z powrotem na wersalkę. Zabezpieczenie broni kliknęło metalicznie.

– Pij – powtórzył.

Pierwsze łyzy pociekły mi z oczu, drżącymi wargami z trudem odszukałem szklankę. Wziąłem maleńki łyk. Pod sztucznym posmakiem cytryn wyczułem ostrą nutę alkoholu.

– Proszę pana...

– Pij.

Nie pozwolił mi odstawić szklanki. Popijałem małymi łydkami, krzywiąc się i ciągle patrząc na broń. Gładki metal lufy hipnotyzował, wypełniał myśli, paraliżował mięśnie. Piłem i płakałem bezgłośnie, dłonie mi się trzęsły. Bontarski kołysał się nieznacznie w przód i w tył, śledził czujnie każdą kroplę, która spływała mi po brodzie w dół szyi, by zniknąć pod koszulką. Oprócz ciężkiego zapachu perfum czułem od niego coś jeszcze, jakąś lepka, nieprzyjemną woń. Mężczyźnie chyba podobała się władza, jaką nade mną posiadał, bo z chwili na chwilę uśmiechał się coraz szerzej. W pewnym momencie podsunął lufę broni przed moją twarz, dotknął chłodnym metalem policzka. Gdyby nie wypity alkohol, pewnie bym się kompletnie rozkleił i poryczał ze strachu.

– Wiem, że chłopcy lubią bawić się bronią. Podoba ci się? – zapytał miękko, niemal prosząco. – Chcesz go polizać? Chcesz wziąć go do ust?

Umrę tutaj, pomyślałem.

I wtedy chwyciłem się ostatniej deski ratunku.

– On jest tutaj – krzyknąłem. – Człowiek, który dał mi tę przesyłkę. Mogę pana do niego zaprowadzić. Choćby teraz. On... on powiedział, że...

Rozpaczliwie poszukiwałem czegoś, co mogłoby mi pomóc.

– On powiedział, że ta przesyłka zmieni pana życie – skłamałem.

Bontarski przestał się kołysać, opuścił broń. Zerknął na pakunek leżący na stole, później na mnie. Zmusiłem się, żeby patrzeć mu w oczy. Z możliwie niewinnym wyrazem twarzy zastanawiałem się, czy mam szansę dobiec do drzwi i pootwierać te wszystkie zamki, nim mnie dopadnie.

– No dobrze – powiedział. – Chciałem nieco odwlec ten moment, ale zobaczymy, co ten stary cap dla mnie ma.

Podsunał sobie krzesło i usiadł przy stole. Zaczął rozdzierać papier, a ja ścisnąłem w dłoni szklankę. Zdecydowałem, że gdy tylko otworzy przesyłkę, cisnę naczyńcem w jego głowę i rzucę się do ucieczki.

– Cóż to...

Bontarski zmarszczył brwi. Spod szarego papieru wyłoniło się metalowe pudełeczko przypominające nieco cygarnicę. Mężczyzna obrócił je w dłoniach,

obejrzał starannie gładkie ścianki, a ja ze zdziwieniem ujrzałem na jednej z nich plamę z wygrawerowanych cyfr układającą się w kształt orła.

Cyfrowy Orzeł.

W tym momencie mężczyzna odszukał zamknięcie i pudełeczko eksplodowało mu w twarz. Buchnął dym albo raczej gęsta, wilgotna mgiełka, która spowiła go całego. Bontarski wrzasnął, zaniósł się kaszlem, zleciał z krzesła.

Łomot wyrwał mnie z niemocy. Chwilę później byłem już w korytarzu i drżącymi rękoma szarpałem zasuwy, a każde szczęknięcie rygła przybliżało mnie do upragnionej wolności.

Wypadłem na zewnątrz i odbiegłem w mrok, żegnany nieprzerwanym kaszlem Bontarskiego.

W drodze powrotnej musiałem sporo kluczyć i dotarłem w okolice domu dopiero przed północą. Jednak zamiast iść do siebie, zajrzałem najpierw do sklepu Kawki.

Drzwi nie były zamknięte. Sklepikarz poderwał się na mój widok z krzesła, rozlewając trzymaną w dłoni herbatę.

– Martwiłem się o ciebie – powiedział. Wyglądał, jakby miał ochotę mnie uściskać, ale chyba bał się mojej reakcji.

– Co było w tej przesyłce? – zapytałem. Miałem dość zagadek i gier. – Widziałem, jak eksplodowała mu w twarz.

Kawka drgnął.

– Byłeś blisko? Czy... czy to dotknęło ciebie?

– Nie. Co to było?

Sklepikarz wyraźnie odetchnął, po czym wrócił na miejsce i zaczął ścierać rozlaną herbatę.

– Proszę pana, mam prawo wiedzieć. Co to było? Czy... czy ten człowiek nie żyje?

– Żyje – odparł Kawka ciężko. – Jeszcze. To był sprężony ładunek hantawirusów.

– Widział, że nic z tego nie rozumiem. – To jakby przenośna choroba. Jeśli zachoruje, umrze za jakieś dwa tygodnie.

– Jeśli zachoruje?

– Ma jakieś pięćdziesiąt procent szans. Jeśli jest niewinny... może Bóg pozwoli mu żyć.

– Niewinny? – burknąłem. – Widziałem ten znak na pudełku, tego orła z cyfr. Jak w nazwie tego systemu obrony, o którym pan mówił. Czy on... czy pan myśli, że to przez Bontarskiego...

Zawahałem się, słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Kawka odłożył mokrą szmatkę i podparł głowę. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego i bardzo nieszczęśliwego.

– Jutro, Tadeuszu. Obiecuję, że jutro odpowiem na wszystkie twoje pytania. Dobrze?

Po długim wahaniu skinąłem głową. Miałem wszystkiego dość i z każdą chwilą coraz bardziej marzyłem o tym, żeby położyć się spać.

Kiedy następnego ranka wyszedłem z mieszkania, okazało się, że sklep jest pusty, a sklepikarz zniknął wraz ze swoim osłem i kolorowym wozem.

Choć nie od razu zdałem sobie z tego sprawę, spotkanie z Baltazarem Kawką odmieniło moje życie. Sprawilo, że w mojej głowie zakiełkowały pytania, zrodziła się ciekawość, której już nie mogłem stłumić. Chciałem wiedzieć więcej: o Wojnie, o tym, jak nasz kraj wyglądał przed nią, o ludziach, którzy byli winni temu, w jakich warunkach przyszło nam żyć. To za sprawą tej ciekawości pewnego dnia opuściłem Wrocław i wyruszyłem na włóczęgę po zrujnowanej Polsce. Musiałem poznać prawdę, a moje miasto nie oferowało odpowiedzi, których szukałem.

Minęły lata, nim udało mi się odkryć przynajmniej część tajemnicy. Punktem wyjścia były dwa nazwiska: Ernest Bruckner i Karol Bontarski. Przeszukiwałem stare biblioteki, archiwa, przekopywałem się przez tony dokumentów pozbawionych w naszym powojennym świecie większej wartości. Wiele trudu i czasu kosztowało mnie dotarcie do ogniwa łączącego tę dwójkę: do listy trzynastu osób zaangażowanych w program „Cyfrowy Orzeł”, którego szefem był właśnie Bruckner. Program ten zakładał skonstruowanie niemożliwego do złamania systemu informatycznego sterującego polską ochroną antybalistyczną. Systemu, który na kluczowy kwadrans, gdy Rosja spuściła na Polskę deszcz zabójczych rakiet, któraś z tych trzynastu osób musiała wyłączyć. O ile, rzecz jasna, zdrajca był tylko jeden.

Jeszcze później udało mi się zdobyć zdjęcia większej części wspomnianego zespołu. Nawet nie zdziwiłem się specjalnie, gdy przy nazwisku Kacper Wróblewski ujrzałem podobiznę człowieka znanego mi jako Baltazar Kawka.

Kawka, Wróblewski. Baltazar, Kacper. Skojarzenie było oczywiste.

Ostatnią wskazówkę otrzymałem od pewnego katolickiego księdza, który wyjawiał mi, że mirra była w starożytności stosowana do balsamowania zwłok. Dopiero wtedy zrozumiałem, że buteleczka na szyi Kawki mogła być czymś więcej niż pamiątką po ukochanym dziecku. Mogła przypominać mu o jego nowej roli: człowieka niosącego śmierć, anioła zemsty. Nie miałem wątpliwości, że szukał osób ze swojego dawnego zespołu i paczuszkami z hantawirusami mścił się za tragedię kraju i swoją własną. Czy wiedział, kto z nich faktycznie był zdrajcą? Myślę, że nie. Pozostawił to w rękach Boga: zarażony hantawirusami miał przecież szansę nie zachorować. Logika godna szaleńca, ale czy ktoś, kto przeżył to, co Kawka, mógł pozostać normalny?

Wreszcie odnalazłem i samego sklepikarza. Od naszego spotkania we Wrocławiu minęło dwanaście lat. Znalazłem go w podwarszawskich Siedlcach. Sklepikarz leżał w malignie i nie poznał mnie przez te dwa dni, kiedy go pielęgnowałem. Później zmarł.

W jego rzeczach znalazłem listę trzynastu nazwisk z programu „Cyfrowy Orzeł”. Dziesięć z nich było wykreślonych, pozostało nazwisko Wróblewskiego oraz dwa inne. Pod listą, w hermetycznie zamkniętych opakowaniach, spoczywały bliźniacze metalowe pudełka ze sprężonymi hantawirusami.

Następnego dnia spakowałem dobytek sklepikarza na wóz i pojechałem kontynuować dzieło Baltazara Kawki. Gdy opuszczałem Siedlce, promienie słońca odbijały się w maleńkiej buteleczce z mirrą, która wisiała mi na szyi.

# Kornel Mikołajczyk

## ZABAWKI Z GALATEI

Erik Gray poprowadził slinger nad atmosferę Europy. Szarobrązowa, przęgowana tarcza Jowisza wychyłała się z za zasłony rzeczywistości, wypełniając całą przednią szybę. Mężczyzna dodał gazu i skręcił w kierunku orbistrady na Kallisto.

Komputer pokładowy przejął stery, gdy tylko znaleźli się w przestrzeni kosmicznej. Erik puścił sterownicę i wysłał impuls myślowy do mechanicznej protezy nogi, aby rozluźnić tłoki. Rozciągnięta na tylnej kanapie Barbara uniosła wzrok znad grubego katalogu Galatei – „Najlepsze zabawki w kosmosie”.

– Zbliżają się urodziny Timmy’ego – poinformowała suchym tonem – ostatnie przed Akademią. Musimy wybrać prezent.

Erik obrzucił żonę krytycznym spojrzeniem. Wciśnięta w jeden z tych słynnych, produkowanych na Wenus gorsetów, wyglądała bardzo ponętnie. Półprzezroczysta, czerwona sukienka znakomicie podkreślała figurę modelki, a skośny krój pozwalał na podziwianie długich, opalonych nóg.

Nikt by się nie domyślił, że leciała na pogrzeb.

– Chcesz jeszcze po wszystkim chodzić po sklepach, kochanie? – zapytał, pocierając wymownie nogę w miejscu złączenia z protezą. – Możemy mu coś kupić, gdy wrócimy. Tak czy inaczej wszystko psuje.

Barbara prychnęła szyderczo, nie podnosząc wzroku znad katalogu.

– Nie psuje, tylko majsterkuje. To twórcza duszyczka. I tak, chcę chodzić po sklepach, skarbie. Sam mówiłeś, że nie wiesz, po co lecimy na ten pogrzeb.

– Jak to po co? – zdziwił się. – Bo dostałem zaproszenie!

– A wiesz chociaż, kto zmarł?

– Mówiłem ci przecież setki razy. Laura Morgan. Koleżanka z Akademii.

Erik dobrze pamiętał Laurę. Niepozorna, o długich ciemnych włosach, które zdawały się rosnać w przyspieszonym tempie, miała obsesję na punkcie lalek z Galatei. A w zasadzie nie tylko samych lalek, ale wszelkiego rodzaju ożywionych modeli, miniatur i figurek, które można było zamawiać od Obcych. Zmarła przed tygodniem na rodzinnym Kallisto. Z nekrologu Jupiter Orbit wynikało, że „w niewyjaśnionych okolicznościach”.

– Timmy by ją polubił – odezwał się Erik, z nostalgią wspominając lata nauki. – Szukasz dla niego prezentu z Galatei? Laura wiedziałaby, co mu zamówić. Pamiętam, że sama projektowała hologramy na wzorce. Wiesz, specjalne zamówienia.

– Więc byłeś z nią blisko? – w głosie Barbary pojawiła się słabo ukryta pretensja.

– Nie aż tak, kochanie. Biedna Laura bardzo mnie lubiła, nawet trochę za bardzo, ale ja... cóż, ja zawsze wolałem sport! – Zaśmiał się krótko. – Walki w zerowej grawitacji, to były czasy! Szkoda, że skończyło się tak... no, ale sama wiesz. – Poklepał się po protezie. – Musisz jednak przyznać, że wtedy to był szzał. Żywe lalki z Galatei, którymi trzeba się opiekować, karmić, chronić od złego... Każdy chciał mieć swoją własną!



– Jeśli myślisz, że Timmy’ego zadowoli chodząca pacynka, to grubo się mylisz, skarbie. – Barbara przerzuciła kilka stron. – Teraz mają ożywione lalki, nielalki, modele slingerów do naprawiania, zestawy planetarne do regulowania, kolejki grawitacyjne, małe zwierzątka do opieki – pełne miniaturowe symulakrum rzeczywistości. Ludzie z Galatei...

– Nie ludzie, kochanie. Obcy. Założyli filię na księżycu Neptuna, ale nie pochodzą z Układu.

– W każdym razie – kontynuowała dobitnie – rozwinęli się w prawdziwe handlowe imperium. I nikt już nie chce innych zabawek. – W jej ustach zabrzmiało to jak zbrodnia przeciwko majestatowi najnowszych trendów. – Dlatego wstąpimy do filii na Kallisto zaraz po tym twoim pogrzebie.

To pogrzeb Laury, nie mój – pomyślał z przekąsem. Chociaż zaczynał żałować, że nie jest na odwrót. Nie musiałby tego wysłuchiwać.

Nie miał już jednak siły klócić się z żoną. Sięgnął po hełm symulowanej rzeczywistości, wsunął go na głowę i uruchomił program relaksujący, który przeniósł go w upojny, górski krajobraz z drewnianą chatką i szumiącym potokiem.

Odetchnął głęboko imitacją leśnego zapachu. Noga dokuczała mu nieco: stara rana podrażniona wspomnieniem chłopięcych lat, kiedy wszystko zdawało się prostsze. Bez zrzędlivej żony, nadpobudliwego synka, kolorowego domku w kolonii na Europie i kredytu na czerwonego slingera. Tylko nauka i zabawa, egzaminy i imprezy, pierwsze miłości i pierwsze złamane serca (choć w jego przypadku była to raczej zmiażdżona kończyna). Wszystko, co nastąpiło potem, zdawało się Erikowi jak na wół zapamiętany sen. Nieprawdziwe.

Uczucie to pogłębiło się, gdy godzinę później wbili się jak strzała w atmosferę Księżyca i wylądowali przed Domem Gwiazdopyłu. Ceremonie pogrzebowe rozpoczynały się tak jak zawsze – bez zbędnego pośpiechu – Erik miał więc okazję przyjrzeć się swoim od lat niewidzianym znajomym. Bracia Higgins przybyli tu bezpośrednio z zamiejskiej elektrowni atomowej, w roboczych kombinezonach wskazujących, że zostali tam technikami na najniższej płacy. Marty Elquist z kolei wyglądał, jakby nie pracował nigdzie już od dłuższego czasu. Na nogach miał buty nie od pary. Stojąca przy wejściu Deborah Prince klóciła się z mężem o prawa do ogródków hydroponicznych jej ojca i Erik był pewny, że usłyszał słowo „rozwód” wystrzelające z języka niczym jad.

W jaki sposób jemu – kalece, nieukowi, leserowi – udało się tak dobrze ułożyć życie?

Zajęli z Barbarą miejsca w ławach. Kapsuła z ciałem Laury leżała na widoku, otoczona wieńcami kwiatów z niemal wszystkich kolonii Układu. Znalazło się nawet parę rzadkich ziemskich stokrotek. Pracownicy kończyli rozstawiać ramki wyświetlające hologramy: maleńkie, zastygłe w przeszłości sceny teatrów pudełkowych; migawki z życia tej bladej, oplecionej czarnymi włosami nieboszczki, oczekującej na złączenie z absolutem.

Prowadzący ceremonię robot wystąpił na środek i wygłosił standardową mowę, odtwarzając życiorys zmarłej z zapisów księżniczki: jej nieśmiałe lata w Akademii,

krótką karierę w holorzeźbie, liczne działania na rzecz rodzinnej kolonii na Kallisto. Laura nie miała nikogo bliskiego, więc cały swój doczesny majątek przekazała na rzecz lokalnej społeczności.

Nie padło też ani słowo o okolicznościach jej śmierci z wyjątkiem tych najzwyklejszych: tragedia, nieszczęście, strata, przedwcześnie...

– Z pyłu gwiazdnego powstałeś, w pył gwiazdny się obrócisz – automat wygłosił tradycyjną formułę. Zgromadzeni pochylili głowy w cichej modlitwie.

Srebrzysta kapsuła zatrzasnęła się z sykiem i automatycznie skierowała ku niebu. Ciało Laury, starte uprzednio we wnętrzu na gwiazdny pył, wystrzeliło ku górze jak wielki fajerwerk i przebiło atmosferę, znikając im z oczu.

– Laura Morgan została zwrócona wszechświatowi – zakończył prowadzący.

Żałobnicy zaczęli podnosić się z siedzeń. Erik dźwignął się z wysiłkiem i ruszył wolno za Barbarą, która użyła uroku osobistego, by wypytać o najmodniejsze centra handlowe na Kallisto. Społeczne zwierzę.

– Przepraszam, czy mogę zająć panu chwilę, panie Gray?

Uśmiechnięty, schludny młodzieniec wyrósł przed nim jak spod ziemi. W zadbanych dłoniach ścisnął ciemne, sześciennie pudełko.

Erik zerknął przelotnie na socjalizującą się żonę.

– Oczywiście, panie...?

– Trevor Chiang – przedstawił się uprzejmie – oficjalny egzekutor testamentu świętej pamięci Laury Morgan.

Erik zmarszczył brwi, ale uścisnął wyciągniętą dłoń.

– Pani Morgan... znaczy, Laura... myślałem, że wszystko przekazała na rzecz społeczności? Prywatne konto, dom wystawiony na aukcji, ubezpieczenie na życie – wszystkie te środki otrzymuje kolonia jako dobro wspólne. Przynajmniej tak to działa na Europie.

Chiang skinął głową.

– Tak jest w istocie, panie Gray. Za te pieniądze powstanie nowa szkoła przygotowawcza do Akademii. Laura szczególnie kochała dzieci.

– Sama była wielkim dzieckiem – wspomniał z uśmiechem Erik.

– W testamencie zostało jednak wyszczególnionych kilka osobistych przedmiotów – kontynuował Chiang. – Między innymi coś dla pana.

– Dla mnie? Ależ nie widziałem się z Laurą od dziesięciu lat!

– Nie mnie kwestionować klauzule testamentu, panie Gray. – Wysunął ku niemu pudełko. – To dla pana. – Uśmiechnął się krótko, profesjonalnie. – Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

Erik wymamrotał podziękowanie, nie patrząc, jak Chiang znika w tłumie.

Pojemnik był bardzo lekki, z plastikową pokrywką próżniową. W środku leżał samotny kartridż symulowanej rzeczywistości, wyraźnie produkcji domowej, opatrzony napisem *ODTWÓRZ MNIE*. Cyfrowa data zapisu wskazywała na tydzień przed śmiercią Laury.

Zaintrygowany, Erik w pośpiechu wrócił na parking, otworzył kabinę slingera i wyciągnął spod siedzenia swój hełm. Zastąpił program relaksacyjny kartridżem

Laury. Bez chwili zastanowienia, na stojąco, zanurkował w symulowaną rzeczywistość.

Wylądował w szarym, znajomym dormitorium Akademii. Laura uśmiechała się do niego z dolnej pryczy. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał, gdy się żegnali: młodsza, o satynowych włosach do pasa, ze skulonymi nieśmiało ramionami. Przed minutą wysłana w kosmos, a jednak nadal żywa w tym zapętlonym, fałszywym nagraniu. W prezentacji show-and-tell, zupełnie jak w pierwszych latach Akademii.

– Jeśli to oglądasz, Eriku, znaczy, że stało się najgorsze – przemówiła smutnym głosem. – A w związku z tym należy ci się drobne wyjaśnienie.

Erik odruchowo przestawił hełm na większą czułość. Wyjaśnienie? Co Laura chciała mu wyjaśnić? Własną śmierć?

– Pamiętasz zapewne, jak w Akademii dzieciaki zawsze mi dokuczały – mówiła Laura. – Pamiętasz też pewnie, że to ty, mój rycerz na białym koniu, sprawiłeś, że dały mi spokój. – Z zakłopotaniem przygryzła wargę. – Przez lata robiłam, co mogłam, byś poczuł to samo, ale coś zawsze stało nam na drodze. Byłeś moją małą, nastoletnią obsesją. Kimś, kogo mieć nie mogłam, a kogo bardzo pragnęłam. Nie pomagała mi w tym wrodzona wstydlivość. Zadowoliliam się więc... substytutem.

Symulacja Laury obracała coś w dłoniach. Erik podszedł bliżej i rozpoznał lalkę z Galatei – lalkę uformowaną na jego podobieństwo. Erika Graya takiego, jak kiedyś: od szarego, szkolnego uniformu aż po tę jego absurdalną, młodzieńczą fryzurę. Figurce brakowało jednej nogi.

– Erik-lalka dawał mi pocieszenie w chwilach słabości. Czułam się silniejsza, gdy byłeś przy mnie, gdy nosiłam cię w kieszeni, dokarmiałam, opiekowałam się tobą... I, co niezwykle, odkąd dostałam tę specjalną przesyłkę, prawdziwy Erik Gray zaczął ze mną więcej rozmawiać. – Westchnęła ciężko, naraz zasmucona. – Ale wtedy zdarzył się ten wypadek...

Erik spojrzał w dół, na protezę.

Wciąż czasami śnił mu się ten moment, gdy w pomieszczeniu zerowej grawitacji wróciło nagle ciężenie i stary automat treningowy runął wprost na jego nogę. Posttraumatyczna depresja była jednym z najciemniejszych okresów w jego życiu – prace domowe odrabiane w szpitalnym łóżku, nieustające testy, dopasowywanie protezy, rehabilitacja.

– To była moja wina.

Erik zamarł.

– Co takiego? – zapytał, mimo że nie mogła mu przecież bezpośrednio odpowiedzieć.

Podniosła do góry chromą laleczkę – wybrakowanego, ołowianego żołnierzyka.

– Upuściłam moją żywą lalkę i niechcący nadepnęłam na nią. Minutę później zdarzył się twój wypadek. Ten sam moment, ta sama noga... Wiedziałam, że to nie mógł być przypadek. Przeraziłam się i zamknęłam lalkę w szufladzie.

Szuflada. Erik przypomniał sobie to uczucie: mrok napierający na niego ze wszystkich stron, niemożność ruszenia się w żadną stronę.

– Depresja – wymamrotał. Czy to wszystko tylko dlatego, że Laura schowała

gdzieś swoją laleczkę? To przecież całkiem niedorzeczne! Jednak z drugiej strony, co tak naprawdę wiedział o produkowanych przez Obcych zabaweczkach?

– Nie myślałam o tym przez długi czas, dopóki nie odwiedziłam cię w szpitalu – ciągnęła tymczasem symulacja Laury. – Twój pusty wzrok przypomni mi o tej lalce: samotnej, niedokarmianej, zaniedbanej. Czym prędzej wyciągnęłam ją i zajęłam się nią. Wydobrzałeś, zdałeś egzaminy i opuściłeś Akademię. Przekonałam się wtedy ostatecznie, jaka moc drzemie w lalkach z Galatei, i wiedziałam, że to zbyt wiele jak na moją głowę. Oddałam cię więc gdzieś, gdzie mogłeś być chciany. Kochany. – Poglądziła czule trzymaną w dłoni figurkę. Uniosła wzrok. – Oddałam cię moim dzieciom.

Erik zrozumiał, że nie chodzi o krew z krwi, o córkę czy syna, bo tych nigdy nie miała. Nekrolog w Jupiter Orbit wspominał jednak o charytatywnej pracy Laury w sierocińcu Arcadia na Kallisto. Czy to możliwe, żeby lalka wciąż tam była?

Ściągnął hełm, uwalniając zapocone czoło i obejrzał się za siebie. We wnętrzu podobnego do szklarni Domu Gwiazdopyłu zaczęto podawać drinki na rozpoczęcie stypy. Erik obserwował swoją żonę flirtującą z jednym z braci Higgins i zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

Skąd mógł w ogóle wiedzieć, że to nie jest jakiś chory żart? Lalki z Galatei były raczej standardowe – anonimowi mężczyźni i kobiety, którymi można się było zajmować. Żeby stworzyć figurkę kogoś prawdziwego, trzeba by złożyć specjalne zamówienie, przekazać im jakieś wymiary, cechy charakterystyczne! Trzeba by...

Jego wzrok padł na miejsce, z którego wystrzelono ciało Laury: na otaczające je, utkane ze światła obrazy. Oczywiście hologram! Nie pamiętał, żeby Laura kiedykolwiek robiła mu holograficzne zdjęcie. A zatem jedynym miejscem, z którego mogła go wykroić i wysłać zabawkarzom z Galatei, było...

Erik poczuł przyływ adrenaliny. Wrócił pędem do budynku i zaczął się rozglądać po najbliższych hologramach, ignorując zajętych sobą gości.

Nagle poczuł blisko siebie zapach perfum Barbary.

– Skończyłeś już ganiać w tę i z powrotem, skarbie? Moglibyśmy lecieć. W pobliżu jest punkt zamówień Galatei – możemy dostać przesyłkę bezpośrednio na Europę.

– Mhm – mruknął krótko, idąc wzdłuż ramek projekcyjnych. Przyglądał się uważnie każdej z nich. Laura przyjmuje gratulacje od gubernatora kolonii, Laura z ojcem na wystawie jej prac, na tym hologramie w ogóle jej nie ma, Laura w czerwonym kubraczku na grawitacyjnym placu zabaw... Jest! Zdjęcie klasowe z Akademii!

– Myślałam o zestawie planetarnym dla Timmy'ego – paplała dalej Barbara. – Byłby z niego dobry inżynier terraformacji, nie uważasz? Chciałabym jakieś specjalne zamówienie, żeby mógł poćwiczyć...

– Nie ma mnie – oznajmił Erik, odwracając się ku żonie. W dłoniach trzymał prostokątną ramkę hologramu.

– Słucham?

– Na hologramie. Nie ma mnie. Stałem o tu, w ostatnim rzędzie. Zawsze byłem najwyższy w klasie. Ale tu mnie nie ma.

Barbara prychnęła, poirytowana.

– Może byłeś chory, co za różnica! Słuchaj, Timmy na pewno chciałby dostać...

Ale Erik wiedział lepiej. Laura wysłała jego zapis holograficzny do Galatei, by stworzyli dla niej laleczkę. Kopię Erika Graya w skali 1:10, która teraz była Bóg wie gdzie. Której w każdej chwili jakieś dziecko mogło z nudów zmiażdżyć głowę. Erik wiedział, że gdyby to był Timmy – jego nadpobudliwy, nieprzewidywalny synalek – mógłby już dawno nie żyć.

– Idź na zakupy beze mnie – oznajmił żonie poważnym tonem, wciskając jej w dłoń holograficzną ramkę.

Barbara otworzyła usta, by zaprotestować, ale Erik już jej nie słuchał. Wybiegł z Domu Gwiazdopyłu, sprintem przeciął parking i odpalił silnik slingera.

W powietrzu, wśród brązowych chmur Kallisto, połączył się z działem map księżnicy planetarnej. Kurs na sierociniec Arcadia był długi, Erik wołał jednak sam poprowadzić pojazd. Skłębione myśli buzowały mu pod czaszką jak nastawione na szum radio.

– Dlaczego ja? – zapytał na głos, podążając wzdłuż wyświetlonej na szybie trasy. – To znaczy, dlaczego ta konkretna lalka? Pamiętam, że wiele osób je miało, wiele osób się nimi bawiło, niszczyło je nawet... I nic się nie działo.

Wspomniał, jak Marty Elquist spalił jedną ze swoich figurek w pokoju wspólnym chłopców. Laleczka po prostu leżała nieruchomo, z wolna zmieniając się w kałużę plastiku.

– Czy to dlatego, że Laura złożyła specjalne zamówienie? A może ci Obcy z Galatei wybrali mnie jako ofiarę kosmicznego żartu?

– Przepraszamy. Ta informacja nie znajduje się w naszej bazie danych – poinformował go uczciwie komputer, wciąż dostrojony do księżnicy Kallisto. Erik westchnął. Cokolwiek by to było, jego życie, jego rzeczywistość znajdowały się teraz w rękach jakiegoś dziecka.

Godzinę później znalazł się na miejscu. Lądowisko przed sierocińcem było małym spłachetkiem ubitego piachu. Erik posadził slingera na ziemi i wysiadł przed gmachem. Siedmiopiętrowy budynek pomalowany był w liczne białe chmurki, podziurawione prześwitami okrągłych okienek. Gromada dzieci bawiła się na błoniach, ganiając za czymś, co Erik dopiero po chwili rozpoznał jako skórzaną piłkę. Musiała jeszcze pamiętać czasy nieprzeludnionej Ziemi.

Mały chłopczyk przy bramie wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Domorośli odźwierny.

– Coś się stało, aniołku? – zagaił Erik, rozglądając się za jakimś opiekunem.

Wyrostek otarł nos brudną dłonią.

– Bo pan to wygląda jak ta lalka u Emily – wypalił wprost. – Bardzo fajniści, no i czasem sama chodzi.

Erik uśmiechnął się przymilnie i kucnął przed chłopcem.

– Łał! Naprawdę? Chciałbym to zobaczyć. Powiesz mi, gdzie mieszka Emily?

– A zara obok mnie, psze pana. Na górze, w 713. Ale bym nie szedł, ona jest strasznie dziwna.

Erik poklepał go po ramieniu.

– One wszystkie są dziwne, kolego.

Podniósł się i wszedł do lobby. W Arcadii na szczęście działała winda. Erik wjechał na najwyższe piętro, przez cały czas starając się uspokoić oddech. Już wkrótce wszystko stanie się jasne – kto i do jakiego stopnia przez tyle lat kontrolował jego życie.

Wyszedł na korytarz i ruszył pospiesznie wzdłuż rzędu numerów.

701, 702, 703... Jak Laura mogła to trzymać w tajemnicy przede mną?!

704, 705, 706... Nigdy nie poświęcałem jej za wiele uwagi, to fakt, ale przecież jej samej bardzo na mnie zależało!

707, 708, 709... Czy naprawdę myślała, że przekazanie lalki do domu dziecka nie będzie miało większych konsekwencji? To moje życie, do diaska!

710, 711, 712...

Przystanął. Drzwi do pokoju 713 odsunęły się przed nim automatycznie.

Była to niewielka klitka z łóżkiem we wnęce, ekonomiczną komódką z plastiku i ekranem elektronicznej książki na jednej ze ścian.

A na przykurzonej podłodze klęczała mała, kędzierzawa dziewczynka okopana rotundą wiernych zabawek.

Erik poczuł się tak, jakby wkroczył do parku miniatur poświęconego jego życiu. Staromodny, rozkładany domek dla lalek stał pośrodku: dwupiętrowy i pastelowy jak jego dom na Europie.

Tuż obok parkował czerwony model slingera z takim samym jak u niego ostrym spojlerem na dachu. Żywa lalka Erika Graya poruszała się niemrawo na jednej nodze, spacerując przed domem z pomocą małej Emily. Towarzyszyła jej stara, plastikowa lalka Barbie (Barbara, oczywiście!) oraz nakręcany bączek, który bardzo przypominał Timmy'ego.

Jakie to dziwne, pomyślał oniemiały. Oto stali naprzeciwko: Erik Gray–lalka, wchłaniający w siebie całą tę zabawkową rzeczywistość, oraz Erik Gray–człowiek, żyjący w tych samych realiach dzięki kaprysowi małej dziewczynki.

– Nie powinno cię tu być, Eriku – przemówiła nagle Emily obcym, dorosłym głosem. Oczy miała puste, pozbawione wyrazu, szklące się matowo, zupełnie jak lalka.

– Co to ma być? – zapytał niepewnie. – Co to wszystko ma znaczyć?

Emily uśmiechnęła się od ucha do ucha. W maleńkiej rączce ścisnęła jego wierzącą postać.

– Lalka ukochanej osoby – przemówiła wolno – model slingera niewiernego męża, figurka wpływowego polityka, dom nieznanego krezusa, zwierzątko na wygnięciu... Wszystko jest eksperymentem, Eriku.

– Eksperymentem?

– Testem. Sprawdzianem. Egzaminem dojrzałości. – Zerknęła w maleńką kopię jego twarzy i pogładziła ją po policzku. – Czy potraficie wziąć odpowiedzialność za to, co małe i niepozorne, a jednak potężne? Za narzędzia zdolne zakrzywiać stochastykę zdarzeń i kreację rzeczywistości. Czy rozplenieni po Układzie Homo

sapiens mają prawo decydować o własnym wszechświecie?

Erik zrozumiał. To nie była żadna mała dziewczynka, tylko wcielenie, awatar jakiejś znacznie potężniejszej istoty.

Obcy z Galatei... Rząd, prasa, astronomowie – wszyscy od lat próbowali dociec, skąd się wzięli w Układzie. I po co w ogóle przybyli.

Ale to przecież kompletny absurd testować w ten sposób ludzkość!

– Nie mogliście przecież kontrolować Laury – powiedział zamiast tego. – Wysłała wam tylko mój hologram, nie swój. Nie mogliście przewidzieć, co zrobi z tą lalką!

Emily spokojnie sięgnęła po leżącego z boku plastikowego dinozaura.

– Wszechświat to jeden wielki hologram, Eriku. Wasz, nasz, twój, mój. Hologram, z którego my formujemy rzeczywistość. Od piętnastu ziemskich lat karmiliśmy was testami, próbami charakteru i możliwościami. Jak starsi, dojrzałsi bracia przekazaliśmy wam nasze używane zabawki. A wy tylko niszczyliście, bawiliście się cudzym życiem, krzywdziliście bliskich. – Obnażyła ledwo wyrżnięte zębki. – „Najlepsze zabawki w kosmosie” – ludzie w rękach ludzi... – Stanowczym ruchem ustawiła jego lalkę naprzeciwko dinozaura. – Zbliża się ostateczna próba waszego przystosowania – oznajmiła poważnym głosem. – Życie miliardów złożone w dłoniach jednego.

– Życie miliardów... – powtórzył Erik, czując nagły zawrót głowy.

– Zostań ze mną – poprosiła Emily. – Czekaj. Obserwuj z pierwszego rzędu. I tak nie masz już dokąd pójść. – Machnęła dłonią nad domkiem dla lalek; nad groteskową karykaturą jego dorosłego życia. – Dobrze wiem, jak nienawidzisz żyć w fałszu.

Erik nie wiedział, co odpowiedzieć. W oczach tej potężnej istoty czaiło się coś bardzo niedobrego, przebiegłego... a jednocześnie dziwnie figlarnego. Jakby bawiła ją cała ta sytuacja – wszystkie te próby, jakim poddała ludzkość. Jakim poddała jego.

Muszę kogoś ostrzec – pomyślał prędko. Zawiadomić rząd, prasę, kogokolwiek, ostrzec ich wszystkich. Boże, przecież Barbara poszła coś od nich kupować, jakiś nowy chodzący horror dla Timmy'ego!

Nie oglądając się za siebie, wypadł z pokoju i pobiegł w kierunku windy.

Slinger sunął przez niebo z powrotem do Domu Gwiazdopyłu. Erik miał nadzieję, że zastanie tam jeszcze Barbarę – że zdąży ją ostrzec, nim ta podpisze z Obcymi z Galatei jakiś nowy handlowy cyrograf. Może i była jego żoną jedynie przez kaprys jakiejś kosmicznej siły, ale wciąż czuł się za nią odpowiedzialny.

Serce łomotało mu w piersi jak szalone. Wcześniej próbował połączyć się z policją, ze strażą planetarną, a nawet z samym gubernatorem Kallisto, ale elektryczna burza na zachodzie księżycy zakłócała komunikację. Czuł, że eksploduje, jeśli jak najszybciej nie podzieli się z kimś tą przekłętą tajemnicą!

Wewnętrzny skaner slingera zapalił się na czerwono. Podwyższone tętno, nadmierna ekscytacja, skoki adrenaliny. Koniecznie musiał się uspokoić, jeśli nie chciał w najbliższym czasie paść na zawał.

Erik sięgnął po hełm symulacji, żeby zatopić się w swoim ulubionym programie relaksacyjnym. Jednak zamiast na skraju górskiego strumyka wylądował z

powrotem w szarym dormitorium.

– ...cię moim dzieciom – Laura zaczęła tam, gdzie jej przedtem przerwał, zdejmując symulator.

Kartridż. Zupełnie o nim zapomniał!

– Wczoraj przypomniałam sobie o tobie – mówiła jego zmarła znajoma. – Odwiedziłam Arcadię: sierociniec, do którego przekazałam tę nieszczęsną lalkę.

Erik zmarł. Nie miał pojęcia, że jej wiadomość miała dalszą część.

– Odkryłam tam prawdę... straszliwą, niewygodną prawdę o tym wszechświecie. Myślałam, że mogę odejść, wrócić do domu, do życia i zapomnieć o wszystkim. Ale dziś zaatakował mnie mój własny, marsjański dog. Oczy miał takie... puste. – Chlipnęła. – Jak marionetka.

Erik słuchał z niedowierzaniem. Kontrolowali jej psa, tylko po to, żeby się jej pozbyć? Żeby nie wyjawiała nikomu prawdy? Ale to przecież... dokładnie to samo, co on...

Po policzku Laury spłynęła łza.

– Nagrywam tę wiadomość, gdyż wiem, że oni spróbują po raz kolejny. Upewnią się, bym nie przeszkodziła w ich planach.

– O nie – jęknął Erik.

Zrzucił z głowy symulator i w przedniej szybie slingera ujrzał śmierć.

Pojazd pikował w kierunku ziemi, podążając za fałszywymi wskazówkami autopilota. Na samym końcu trasy znajdowała się wielka, atomowa elektrownia zasilająca stolicę.

Życie miliardów w dłoniach jednego...

Erik rzucił się ku kierownicy, ale zmarł w pół ruchu. Ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Przypomniawszy sobie z obrzydzeniem dotyk małych paluszków Emily na jego miniaturze. Oczami wyobraźni zobaczył ją w ciasnym pokoiku, jak unosi nad główkę model slingera i ze śmiechem puszcza go w lot wirowy ku miniaturowym reaktorom.

Był jeszcze w stanie mrugać, łzawić, oddychać, przełykać ślinę – czuł gęsią skórę na przedramionach i ssącą pustkę w żołądku. Poza tym jednak nie mógł poruszyć ani jednym mięśniem. Mechaniczna proteza dokuczała mu znowu ostrym fantomowym bólem... Zaraz, proteza!

Poczuł przyływ nadziei. Stworzona przez Laurę laleczka miała tylko jedną nogę. Emily nie była w stanie kontrolować jego prawej nogi!

Siłą woli naprężył tłoki w mechanizmie, zdołał rozhuścić swoje ciało. Awaryjna dźwignia była tuż nad jego głową, po lewej, przy samym dachu. Bujnął się jeszcze parę razy, po czym w odpowiednim momencie gwałtownie wyprostował kolano.

Nie dość wysoko! Narażona na wybuch elektrownia zbliżała się w ekspresowym tempie, rosła w oczach z każdą sekundą. Turbulencje przesuwwały go coraz dalej od kierownicy.

Teraz albo nigdy. Poluzował staw skokowy i raz jeszcze rozkołysał nieruchome ciało. Przymknął oczy, wymierzył kąt, po czym z ciężkim sapnięciem poderwał się w kierunku podsufitki.



Klik!

Fotel wystrzelił w powietrze przez rozpadający się dach. Spadochron rozwinął się nad nim jak ochronna egida, niosąc go wolno ku bezpieczeństwu. Pod jego stopami gwałtownie odciążony czerwony slinger przeleciał o metr nad głównym reaktorem, wbił się w grunt za elektrownią, koziółkował w powietrzu, po czym opadł w zbitej masie metalu, kabli, rur i wyciekających z nich płynów.

Dryfujący nad brunatną powierzchnią Kallisto Erik Gray odetchnął z ulgą, odzyskując władzę nad ciałem. Udało się. Udaremnił plan tej wrednej, małej lalkarki z Galatei – przędzarki jego losu.

Na razie był bezpieczny. Zarówno on, jak i wszyscy na tym księżycu.

Muszę jak najszybciej wracać do domu, pomyślał. Fałszywa czy nie, moja żona zasługuje, żeby jej o tym opowiedzieć. Jestem teraz w końcu bohaterem Układu.

Zastanawiał się tylko, czekając, aż spadochron opuści go na ziemię, czemu Emily powiedziała „miliardy”, skoro dobrze wiedziała, że w kolonii Kallisto żyło jedynie siedem milionów...

– Wszystkiego najlepszego, Timmy! – zawołała Barbara Gray, przekazując w ręce syna imponujący pakunek.

Chłopiec pospiesznie rozerwał papier. Zestaw planetarny z Galatei był szczegółową kopią Jowisza i jego zamieszkałych księżyców. Maleńkie kulki orbitowały wokół gazowego olbrzyma, utrzymywane siłami mikrogravitacji. Kolejny cud od Obcych handlarzy zabawek. Miniaturowy kosmos na ich domowej werandzie.

– Pamiętaj tylko, że musisz o to dbać – zastrzegła synowi. – Można się bawić okresem obiegu, mimośrodem orbity, a nawet fauną i florą. Prawda, że cudne? Przemiły pan z Galatei pomógł mi to wybrać! Wszystko mu o tobie opowiedziałam. Stwierdził, że to pewnie ostatnia szansa, żeby nauczyć cię troszkę odpowiedzialności, zanim pójdziesz do Akademii. Także pamiętaj: szanuj swoje zabawki, skarbeńku.

Timmy bez zastanowienia zanurzył umorusaną dłoń w atmosferze Jowisza i ścisnął coś, co wyczuł pod palcami. Jądro mikroplanety rozkruszyło się w jego palcach jak glina.

– To jakieś badziewie, mamo! – wrzasnął z pretensją. – Już się popsuło, widzisz! Nigdy nie kupujecie mi nic fajnego, nigdy!

Ale Barbara nie słuchała syna. W milczeniu wpatrywała się w chmurne niebo Europy.

Gdzieś ponad nimi, w niebiosach, potężny grom wstrząsnął całą strukturą kosmosu.

# Bartłomiej Żarnowski

## ZABAWY W WOJNĘ

Mirek wyskoczył zza drzewa i dalej biegł pochylony. Skaner pikał, oznaczając kolejne cele; osprzęt, który taszczył na plecach, pracował pełną parą. Blisko trzydzieści kilo pancerza i wymyślnej elektroniki dwoiło się i troiło, aby zmylić systemy przeciwka. Krótka seria szarpnęła jego nogą, ale osłony pochłonęły większość obrażeń. Jedna penetracja, niegroźna. Neuroimplanty przechwyciły impulsy niosące informację o rwącym bólu i wyciszyły go do poziomu ledwo zwracającego na siebie uwagę. W ciągu kilku milisekund wspomaganie mięśni przesterowało się automatycznie, by zrównoważyć niedostatki organizmu. Dobiegł do kolejnej osłony, nie myśląc nawet kroku, w tym czasie jego oddział ostrzelał oznaczone cele, namierzając kolejnych agresorów. Misja zakończyła się kilka minut później. Zrealizowali wszystko, co było zaplanowane.

Siedział na ziemi, dysząc, po chwili ustabilizował oddech. W interkombie rozległ się głos kapitana: „Dobra robota, chłopaki! Zbierać graty, dzisiaj my jesteśmy górą!”. Wstał i otrzepał się z kurzu, choć tak naprawdę żaden brud nie przylegał do ubrania. Tkanina była doskonale wszystkofobiczna, nawet gdyby wpięprzył się do bajora ropy, wyszedłby czysty jak łąka, jednak nie mógł się pozbyć odruchu wpojonego przez matkę w dzieciństwie. Ułomność człowieka. Wyłączył większość układów w oprzyrządowaniu, zostawiając tylko wzmocnienie siły, po czym ruszył w kierunku bazy. Za godzinę dotrze do magazynu i będzie mógł się pozbyć upierdliwego ekwipunku. Zabawa na poligonie dobiegła końca, obie drużyny zrealizowały plan na dziś. Nie używali prawdziwej amunicji, ale ból i wszystkie odczucia były symulowane przez niezliczone implanty. Wlazłeś na minę? OK, komputer sparaliżuje ci mięśnie w nodze, przy okazji przysmaży odpowiednie nerwy, żeby bolało jak cholera. Uroki współczesnych szkoleń, ciężko odróżnić je od rzeczywistości...

Baza 6332C składała się z dwóch dużych hangarów otoczonych siatką. Główny budynek nie wyróżniał się niczym specjalnym. Sporej wielkości parking zajmowały zarówno pojazdy cywilne, jak i wojskowe. Samochody terenowe, opasłe opancerzone transportery, skutery, a nawet jednoosobowe myśliwce. Ktoś niezorientowany mógłby przypuszczać, że to jakaś wystawa demobilu albo prezentacja na nadchodzący dzień żołnierza czy inny festiwal dla cywili. Nic bardziej mylnego. Każdy egzemplarz stojący na betonowym placu był w pełni sprawny, na bieżąco serwisowany, gotowy do użycia w dowolnym momencie. Jedyne szkopuły to posiadanie odpowiednich wszczepów, które pozwoliłyby na uruchomienie tej złowrogiej maszynery. W najnowszej historii planety konflikt zbrojny nie miał miejsca od ponad pięciuset lat. Nie zmieniało to jednak faktu, że każda osada posiadała swoją prywatną jednostkę wojskową. Ostatnia zanotowana wojna to konflikt ze sztuczną inteligencją, którą stworzyli ówcześni ludzie. Co ciekawe, obie strony się dogadały, podpisały nawet zobowiązania o nieagresji. Od tego czasu żyją w zgodzie i harmonii, wspierając się na różnych płaszczyznach. Wojsko jednak

zostało (wymóg traktatu), lecz wyposażenie oraz profil szkolenia były całkowicie zależne od lokalnych władz, które miały nieograniczoną autonomię w tym zakresie. Jedyne obowiązki, jakie na nich spoczywały, to wyszkolenie i utrzymanie ściśle określonej liczby żołnierzy. Dokładnie rzecz biorąc – jeden wojskowy na tysiąc mieszkańców, których miał chronić. Osada Jawór miała więc dwunastu zawodowych wojaków, wracających właśnie do kompleksu po całym dniu na poligonie.

Zgodnie z regulaminem Mirek zdał sprzęt do zautomatyzowanej zbrojowni. Wziął prysznic i ruszył do sekcji medycznej, na drugi z dwóch obligatoryjnych codziennych skanów. Cała procedura była prosta, szybka i bezbolesna, ale wkurzała swoją przymusowością. W centrum pokoju o metrażu trzy na trzy metry znajdował się tylko jeden przyrząd: wielki, wypolerowany pierścień. Po zajęciu oznaczonego na środku pomieszczenia miejsca następowała procedura weryfikacji. Jeśli wszystko było w porządku, stalowa obręcz rozpędzała się, po czym – wirując dookoła – szumiała i popiskiwała, dając do zrozumienia, że ciężko pracuje. Gdy ostatecznie wszystko się zatrzymywało i cichło, człowiek był wolny i mógł iść do domu.

W całej jego ośmioletniej karierze Mirek zaledwie raz został skierowany na leczenie. Nie mógł sobie wyobrazić sytuacji, kiedy ulega wypadkowi albo ginie. No chyba że zaczęliby używać ostrej amunicji... ale z tego, co wiedział, od pół milenia nikt tego nie robił. Wszystkie szkolenia i treningi były symulowane. To, z czym człowiek musiał się zmierzyć, było jak najbardziej realne: ból, zmęczenie i braki w umiejętnościach. Gdy podczas „walki” z jakichś przyczyn został uznany za martwego, po prostu nie mógł się ruszać. Leżał bezwładnie, aż bitwa dobiegnie końca i paraliż minie, ot taka niedogodność. Mimo braku prawdziwego zagrożenia treningi i szkolenia były długie i ciężkie. Część teoretyczna, którą należało opanować, już we wczesnych fazach naboru odsiewała osoby niemające predyspozycji. Wycisk w terenie wykruszał kolejnych ochotników.

Prawdziwe wyzwania pojawiały się dopiero po przyjęciu. Taktyka, strategia, działania w stresie i skrajnym zmęczeniu – nie należało liczyć na taryfę ulgową. Choć w jednostce było ich tylko dwunastu, co roku na miejsce każdego z nich próbowało wskoczyć kilkudziesięciu ochotników. Nic dziwnego – płaca była o wiele lepsza niż większość tego, co można zarobić w mieście. Potężna konkurencja faworyzowała najlepszych, obsada zmieniała się średnio co dziesięć do dwunastu lat. Tyle zazwyczaj potrzeba czasu, aby najwytrwalsi młodszy zaczynali przewyższać fizycznie weteranów. Nie zmieniało to faktu, że emerytowani zawodowi dostawali połowę służbowej gaży, więc i tak lepiej niż reszta społeczeństwa. Skan dobiegł końca, Mirek czekał, aż aparat przestanie wirować, fajrant! Na dzisiejszy wieczór miał bilety na spektakl w teatrze. Planowali z żoną to wyjście od dłuższego czasu, później kolacja, a dalej – to się zobaczy... W każdym razie zapowiadało się fajnie.

Piątek zaczął się typowo, zebrali się jak co dzień w sali odpraw, przy ekranie stał Michał, oficer informacyjny. Gdy wszyscy zajęli miejsca, rozpoczął poranną odprawę.

– Panowie, dostaliśmy rozkaz o wysokim priorytecie. Jeśli mieliście jakieś plany

na weekend, proponuję o nich zapomnieć – rzucił spokojnym tonem.

Kilka osób skrzywiło się, widać coś ich ominie.

– Zadanie, jakie nam wyznaczono, to opracowanie taktyki specjalnej, na wypadek wroga korzystającego z nietypowego i niespotykanego do tej pory wyposażenia. Szczegóły przedstawię na podstawie nadesłanych materiałów.

Resztę dnia wypełniły symulacje oraz burza mózgów. W okolicach dwudziestej drugiej mieli opracowane dwa warianty, które dawały realne szanse na sukces. Przed nimi próby polowe, wiadomo bowiem, że nawet najlepsze pomysły często biorą w łeb, gdy zaczyna się je realizować w terenie. Przekazali opracowania do dowództwa, po czym rozeszli się do domów. Jeśli ich propozycja zostanie przyjęta, dostaną odpowiedź z rana, kilka dni później przyjdą zabawki potrzebne, by pobiegać po poligonie. Mieli co prawda projektory holo, potrafiące wyczarować dowolne rzeczy, jednak zasada dotyczyła tylko wizualizacji przeciwników. Oni zawsze trenowali z prawdziwym uzbrojeniem, tak jakby to robili na misji. Z jednej strony było to idiotyczne, gdyż strzelali prawdziwymi realnymi rakietami do hologramów lub prostych makiet, plus był taki, że mogli się oswoić z prawdziwą bronią. Nikt nie był zaskoczony odrzutem, hukiem czy innymi niespodziankami wyposażenia, z którego mieli korzystać. O koszty nikt nigdy nie pytał ani nie robił żadnych problemów, zupełnie jakby ich zabawa w wojnę nic nie kosztowała. Wyglądało na to, że wszyscy są zadowoleni z takiego układu.

Ciężki transportowiec wylądował około dwunastej następnego dnia, miał na pokładzie wszystko, co zamówili. Dodatkowo było trochę gratów, o które nikt nie prosił, ale ci z góry uznali, że mogą się przydać. Zaskakujące było tempo realizacji zamówienia. Zapowiadał się długi tydzień, jeśli nie miesiąc...

Po kilku dniach harówki zaczęli odnosić pewne sukcesy. Pierwsze pomysły opracowane w sali odpraw nijak się miały do rzeczywistości. Symulacja okazała się dużo cięższa, niż pierwotnie ocenili, przeciwnik szybko się do niej adaptował. Ćwiczyli coraz to nowe warianty, starając się wybrać elementy, które sprawdzały się najlepiej. Ewolucja zamiast rewolucji. Krok za krokiem, w końcu dopięli swego. Dwanaście dni i niezliczona liczba „kurew” i „ja pierdołę”. Dowództwo przyjęło z zadowoleniem końcowy raport, zlecając jednocześnie opanowanie opracowanych taktyk na poziomie A. Mówiąc wprost, chodziło o dziewięćdziesiąt procent skuteczności ich drużyny w przypadku spotkania z wrogiem spełniającym przesłany wcześniej opis. Rozkaz skutecznie popsuł humor wszystkim bez wyjątku. Przecież to harówka na kolejne kilka dni. W wersji optymistycznej...

Sześć tygodni, codziennie po dwanaście do osiemnastu godzin. Tyle zajęło im wykonanie rozkazu. Ile kasy poszło w sprzęt? Tego nikt nie wiedział, w każdym razie było co sprzątać i zakopywać. Przedsiębiorstwo, od którego wynajmowali koparki, ucieszy się. Patrząc na pobożowisko, Mirek miał wrażenie, że zużyli budżet na cały rok, chociaż z drugiej strony dowództwo nigdy się tym nie przejmowało. Jak sięgał pamięcią, nigdy nie doszły go słuchy na temat jakichkolwiek oszczędności. Gdy zgłaszali zapotrzebowanie, zazwyczaj dostawali zamówiony towar. Ot tak, niczym pstryknięcie palcami. Nieważne, że za pół roku zapominało się dużą część zdobytej

wiedzy. Zawsze chodziło o to, aby opanować coś w stopniu perfekcyjnym. Zaliczyć egzamin i zapomnieć. Podobno jakby przyszło co do czego, to raz przeszkolony żołnierz szybko przypomina sobie co i jak przy drugim szkoleniu.

Siedział w kantine i popijał piwo. Nie odczuwał stresu ani zmęczenia, zresztą z całym tym biosprzętem, jaki miał w sobie, to chyba było niemożliwe. Po prostu miał ochotę napić się piwa w ciszy i spokoju. Inny nawyk, który wyniósł z lat młodości, kiedy wszystko było jeszcze proste i bezstresowe. Dzisiaj, po wieczornym skanie, dostał pochwałę z góry: „Sierżancie, jesteśmy niezwykle zadowoleni z pana osiągnięć. Zarówno poziom wyszkolenia, jak i pana ogólna kondycja jest wysoce doceniana. Na pańskie konto została przelana gratyfikacja w wysokości dziesięciu procent rocznych dochodów”. Kto by nie chciał takiego pracodawcy? Niby uważnie patrzy ci na ręce, ale za to jest hojny. Jedyne pytanie, jakie trzeba sobie postawić, to: ile lat jeszcze będzie spełniał ich wysokie oczekiwania? Nie miał wątpliwości, że kiedyś ten dzień nadejdzie. No, ale to za jakiś czas... Rozejrzał się po sali, w rogu siedzieli Roman i Grzechu, spoko chłopaki. A jako że nie chciało mu się iść do domu, to wypije jeszcze kilka piw z nimi. W końcu i tak może oczyścić organizm z alkoholu w kilka sekund...

– Dezer 6, Dezer 6, powtarzam, wróg silnie naciera! Potrzebne natychmiastowe wsparcie. Jesteśmy pod ciężkim ostrzałem, mamy duże straty – szeregowy darł się do interkomu. Sytuacja była tragiczna.

– Echo 1, przyjąłem! Musicie wytrzymać jeszcze kilka minut, oddział specjalny w drodze. Bez odbioru!

Zerknął na wskazania skanerów. Kurwa, jeszcze kilka minut? Jakim cudem mają to niby zrobić? Byli otoczeni z każdej strony, ilu kumpli zamieniło się w krwawe strzępy? Nawet nie liczył. Wystrzelił krótką serię w cel oznaczony przez jego komputer taktyczny, po czym przeturlał się i przywarł do zrujnowanej ściany. Wszystko szło dobrze do momentu, gdy przeciwnik rzucił do walki jakieś niespotykane do tej pory uzbrojenie. Standardowe osłony były nieskuteczne, wytrzymały raptem jedno trafienie, później człowiek był jak na widelcu. Bariery kinetyczne po prostu nie blokowały kolejnych nadlatujących pocisków, a te robiły z ciebie mielonkę. Dosłownie. Świat stał się na chwilę granatowy, coś cisnęło nim kilka metrów w prawo i do góry. Wyrznął plecami o beton. Ból eksplodował niespodziewanie i równie nagle zniknął stłumiony przez stymulanty. Jego wszczępy medyczne informowały o obrażeniach, złamane cztery żebra, obita wątroba. Atramentowy bąbel blaknął, przywracając światu normalne barwy. Na szczęście osłona wytrzymała, dobrze, że to był zwykły granat, a nie plazmówka. Wskazanie baterii: dziewięć procent, następnej takiej niespodzianki nie przetrzyma. Ignorując pulsujące klucze w boku, przebiegł do najbliższego schronienia. Jeśli można tak nazwać żelbetowy popękany filar.

Skaner zakończył serię swoich świergotów, pierścień wytracał prędkość, w końcu Mirek wyszedł ze środka ustrojstwa. Nagle zupełnie niespodziewanie drzwi do pomieszczenia badań otworzyły się, po drugiej stronie stał nieznanemu mu osobnik w uniformie służb medycznych.

– Sierżant Mirosław Szczygieł? – zapytał nieznajomy.

– Tak, kim pan jest? – odpowiedział zdziwiony.

– Protokół 1, kod: Hektor–Iza–Iza–Adam–6772–Cezary.

W oczach mu pociemniało, czuł, że chwieje się na nogach. Z nieznanych przyczyn mięśnie zaczęły żyć własnym życiem. Po chwili lekko oszołomiony stwierdził, że stoi prosto w pozycji zasadniczej. Jak we śnie, zupełnie jakby był gdzie indziej, jakby patrzył na siebie, nie będąc sobą. Odpowiedział, nic nie mówiąc: „To ci dopiero osiągnięcie techniki” – mówić, nic nie mówiąc.

– Potwierdzam, podaj sekwencje autoryzującą.

– Ela–Piotr–Roman–Joanna–16.

Szedł za medykami zupełnie bezwiednie.

Na placu przed hangarem stał oddział dziesięciu wojskowych. Wszyscy w pełnym ekwipunku, nad nimi krążył transportowiec, schodząc w dół po ciasnej spirali. Miesiące szkolenia robiły swoje, zanim maszyna siadła na betonowej płycie, cały kombinezon wraz z oporządzeniem miał na sobie. Trap otworzył się z cichym sykiem sprężonego powietrza, wszyscy ruszyli truchtem do środka. Nie było żadnego rozkazu, nikt o nic nie zapytał ani nic nie powiedział. Po prostu wszyscy wiedzieli, że powinni to zrobić i już. Kilka sekund później wznieśli się, wstrząsy i wycie silników sugerowały, że lecą szybko i raczej nisko. Czasami przeciążenie wciskało w uprząże, tylko po to, by po nagłym zwrocie próbować z nich wyrwać i rzucić na przeciwległą ścianę. Rozglądał się po twarzach innych, pięciu wyglądało identycznie jak on. Zupełnie go to nie dziwiło, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Wszyscy wydawali się spokojni, jednak ciekawość i zdziwienie można było wyczuć w ich rozbieganych spojrzeniach.

W interkomie rozległ się cichy pisk, po czym usłyszeli pilota: „Minuta do zrzutu, teren czerwony”. Wszyscy przystąpili do ostatniego sprawdzenia broni, po chwili trap desantowy zaczął się otwierać. „Zrzut bez zatrzymania z krótkim przysiadem, nie guzdrać się”, poinformował ich znajomy głos, po czym pojazd wykonał ciasny skręt i zniżył mocno lot. Prawie szorowali po ziemi, w interkomie rozległo się ponaglące pikanie. Ruszył biegiem, wyskoczył.

Leżał na swojej pryczy w koszarach, wciąż czuł oszołomienie. Jego krew była pełna różnorodnej chemii i hormonów. Mógł się założyć, że czarna jak smoła śmierdziała szaleństwem. Nie co dzień człowiek trafia w sam środek wojny. Nie jakiejś tam symulowanej, tylko prawdziwej, z latającymi flakami, krzykami i śmiercią. Co gorsza jako jednostka, która ma uratować niedobitki innych i odeprzeć zmasowany atak rozpędzonego wroga. Żył tylko dzięki szczęściu oraz ostatnim sześciu tygodniom morderczego treningu. Gdyby nie wykute na blachę zachowania, byłby sztywny i zimny. Zastanawiał się, co z jego żoną i dzieckiem? Czy są bezpieczni? Gdzie się podziewają? Okolica nie przypominała terenów w pobliżu ich miasta. Z drugiej strony, lot transportera nie trwał zbyt długo. Mogli przelecieć zaledwie kilkanaście kilometrów, zdecydowanie za blisko. Wstał i ruszył do drzwi, musi poszukać kogoś, kto mu nakreśli sytuację. Co tu się właściwie dzieje? Z kim walczą? Dlaczego i po co? Wcześniej nie było na to czasu, trzeba było przetrwać.

Teraz jednak czuł, że musi otrzymać kilka odpowiedzi.

Na zewnątrz koszar stało dwóch sierżantów, palili papierosy, rozmawiając przyciszonymi głosami. Podeszedł do nich.

– Czołem, chłopaki, szukam kogoś starszego stopniem.

– Nowy? – odparł ten wyższy, odwracając się w jego stronę. – Z porannego naboru?

– Wieczornego... chciałbym się dowiedzieć, co się tak naprawdę dzieje.

– Jasna sprawa, stary! Masz, mi już nie będzie potrzebny. – Nieznajomy wyjął z kieszeni małą kartę pamięci, obrócił ją kilka razy w rękę, po czym wyciągnął rękę.

– Co to jest? – spytał Mirek. – Jakies plany operacyjne?

– Odpowiedzi, młody, odpowiedzi. Każdy taką dostał, wgraj sobie i poczytaj.

– Ja nie dostałem... – stwierdził z wyrzutem.

– To już masz. Proponuję legnąć w wyrze, zanim odpalisz – dorzucił ten, który się przysłuchiwał. – Wiesz, od tych rewelacji może ci się zakręcić w głowie. Jak zobaczysz, zrozumiesz.

– Dzięki... – Schował nabytek do kieszeni, po czym chciał o coś jeszcze spytać, ale zmienił zamiar. Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do koszar.

– Młody... – rzucił za nim jeden z nowo poznanych.

– Co?

– Wyśpij się. – Weteran zaciągnął się głęboko fajką. – Serio, nie zawsze będzie okazja.

– Spróbuję...

Leżał na pryczy, obracając w palcach czip. Nie mógł się zdecydować, czy otworzyć czy nie. Cholera, chciał odpowiedzi, ale od żywego człowieka! Nie z kawałka bezdusznej elektroniki. Pewnie siedzi tam jakieś nadęte pisemko, przygotowane gdzieś w zaciszu sztabu głównego. Chociaż, jak znał życie, to raczej wynajęli agencję od PR-u, aby przygotowała zgrabny folder dla takich jak on. Bo pani „Zosia” mogłaby mieć problemy ze stworzeniem czegoś patetycznego w stylu: „Walczcie za swoich bliskich, w imię pokoju...” czy coś w ten deseń... W końcu zirytował się rozmyślaniami do tego stopnia, że umieścił kartę w slocie za uchem. Po chwili pojawił się piktogram gotowości do uruchomienia osadzonego programu. Aktywował go. Ujrzał małe śmigielko informujące, że coś się tam dzieje, zapytanie o pozwolenie skorzystania z sieci taktycznej. Certyfikat palił się na zielono, znaczy bezpiecznie. Zgodził się. Kilka sekund później ujrzał wielki napis „F.A.Q.”, przewinął do treści i zaczął czytać:

*Poniższe F.A.Q. składa się z części statycznej oraz interaktywnej. Znajdziesz tutaj odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania skierowane do nas przez twoich poprzedników. Kolejność została ustawiona specjalnie pod twój profil psychologiczny. Jeśli chciałbyś uzyskać dodatkowe informacje, możesz to zrobić na ostatniej stronie.*

*Q: Gdzie jestem i co tu robię?*

*A: Znajdujesz się na planecie Arcade 177-1-A. Zostałeś wybrany do udziału w misji o charakterze bojowym. Na mocy porozumienia podstawowego punkt 15a*

twojego klona wcielono do armii zarządzanej przez A.I. Hogux.

Q: Co z moją rodziną?

A: Twoja rodzina została na rodzimej planecie, wraz z twoim oryginałem. Zostałeś powielony i przeteleportowany do tej jednostki w celach militarnych.

Q: Kiedy znowu ich zobaczę? Czy coś im grozi?

A: Twój powrót nie jest uwzględniony w świetle porozumienia podstawowego. Twój świat, a wraz z nim rodzina, przyjaciele oraz twój oryginał nie są w żaden sposób zagrożone.

Q: Czy mogę się z nimi skontaktować?

A: Nie. Zgodnie z porozumieniem podstawowym punkty 18, 20, 34 twój fakt istnienia oraz aktualna sytuacja są tajne. Nie masz możliwości ani prawa do prób kontaktu z nikim, kogo znasz z okresu życia na planecie rodzimej.

Q: Co jest celem tej wojny?

A: Cele są zmienne, należą do większej kampanii mającej na celu zdobycie przewagi A.I. Hogux w teatrze wojennym. Konkretnie cele taktyczne misji, w których będziesz brał udział, zostaną ci przedstawione w odpowiednich momentach.

Q: Dlaczego ja?

A: Twoje osiągnięcia, poziom wyszkolenia, zaangażowania, stan psychofizyczny oraz pozostałe parametry zostały zaklasyfikowane jako wysoko pożądane do wykonania określonej misji. Ona podstawie porozumienia podstawowego punkt 15 (wraz z podpunktami) twoja kopia posiadająca wymienione wyżej cechy została wcielona do sił zbrojnych.

Q: Widziałem inne osoby wyglądające identycznie jak ja, czy zostałem powielony więcej niż raz?

A: Tak, w zależności od wymagań oraz oszacowania zapotrzebowania możesz spotkać wiele kopii tej samej osoby. Poszczególne osobniki mogą pochodzić z wcześniejszych lub późniejszych skanów, w zależności od zapotrzebowania na określone umiejętności, które oryginał mógł posiadać lub osiąść.

Q: Dlaczego nie mogę się skontaktować z bliskimi mi osobami, ani ujawnić swoje istnienie?

A: Jest to sprzeczne z porozumieniem podstawowym. Uznano, że takie działanie będzie szkodliwe dla społeczeństwa, z którego pochodzi twój oryginał.

Q: Czy mogę zginąć? Czy to jest tylko symulacja? Jakiś rozszerzony program szkoleniowy?

A: To nie jest symulacja, wszystkie działania odbywają się naprawdę. Śmierć, rany i kalectwo są bardzo prawdopodobne. Powinieneś starać się przetrwać, bazując na umiejętnościach nabytych podczas szkoleń na poligonach.

Q: Co ze mną będzie, jeśli zostanę kaleką?

A: Zostanie podjęte leczenie. Jeśli przypadek nie będzie rokował możliwości powrotu do służby czynnej, kopia zostanie usunięta.

Q: Zabijecie mnie, jeśli nie będę w stanie walczyć?

A: Tak.



*Z analizy twoich poprzednich kopii wynika, że oczekiwałeś odpowiedzi na te pytania. Czy chciałbyś zasięgnąć informacji w innych kwestiach?*

Mirek leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, nowo poznany sierżant miał rację. Dobrze, że leżał, bo ledwo mógł w to uwierzyć. Gdyby stał, to pewnie nogi by się pod nim ugięły po tych rewelacjach. Myślał, czy chce coś więcej wiedzieć. Miał pustkę w głowie, dzisiejszy dzień jeszcze dobrze nie przebrzmiał. Wciąż widział ludzi, których zabił, wtedy jeszcze myślał, że to symulacja w rzeczywistości rozszerzonej. Mieli kilka szkoleń tego typu, wprawdzie nie tak realistycznych... Odsunął te myśli na bok, skupił się na FAQ, który miał przed oczyma. Wybrał opcję NIE, na jego siatkówce pojawiły się kolejne napisy:

*Czy chcesz zapoznać się z pełną treścią porozumienia podstawowego? Zawiera ono punkty, które nie zostały wcześniej przedstawione twojemu oryginałowi na planecie macierzystej.*

NIE

*W każdej chwili możesz skorzystać z tej karty pamięci, aby uzyskać dodatkowe informacje, które będą dla ciebie ważne. Możesz ją również przekazać dowolnej spotkanej osobie, dane są personalizowane poprzez jej identyfikację liniową.*

*UWAGA: Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że chcesz skorzystać z punktu 39 porozumienia podstawowego. 99% kopii twojego oryginału skorzystało z takiej opcji. Czy chcesz się zapoznać z tą klauzulą?*

TAK

*Porozumienie podstawowe, wersja pełna, punkt 39.*

*Każda kopia, w dowolnej chwili licząc od momentu jej stworzenia (w miarę możliwości technicznych w danej sytuacji, dokładne wytyczne w punkcie 39b), posiada niepodważalne prawo do wymazania pamięci i zastąpienia jej odpowiednio spreparowanymi wspomnieniami. Modyfikacja może obejmować jedynie elementy, które nie wpływają negatywnie na sprawność bojową. Wszczepione wspomnienia powinny zostać dobrane w sposób poprawiający samopoczucie psychiczne związane z traumatyczną zmianą realiów, w jakich dany osobnik się znajduje. Jeśli w wyniku manipulacji wystąpi choroba psychiczna, dewiacja lub inne zaburzenie dyskwalifikujące dalszą przydatność osobnika, zostanie on wyeliminowany. Procent osób, które trzeba będzie poddać eutanazji, nie znosi tego prawa kopii. Nawet jeśli 100% operacji wszczepiania pamięci zostanie zakończonych niepowodzeniem, a kolejne osobniki będą chciały poddać się zabiegowi, A.I. nie może odmówić. To prawo jest niezbywalne.*

*Czy chcesz zapoznać się z wytycznymi podpunktów 39a–39f? Zawierają one specyfikacje techniczne i dodatkowe obowiązki A.I. związane z tym punktem.*

NIE

*Czy chcesz skorzystać z prawa przysługującego ci zgodnie z punktem 39? 100% twoich poprzedników rozważyło tę opcję. 99% twoich poprzedników skorzystało z tego prawa (w tym 27% wybrało tę opcję w ciągu 2 godzin od zapoznania się z punktem 39). 0,2% twoich poprzedników zostało uznanych za niezdolnych do pełnienia czynnej służby po zabiegu. 99% twoich poprzedników skorzystało z tego*

*prawa w ciągu 14 dni czynnej służby. Czy chcesz, aby wszczepiono ci zastępcze wspomnienia?*

Ciężki transportowiec zbliżał się do planety Arcade 177-1-A. W jego komorach kriogenicznych znajdowało się ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. W skład armady wchodziły jeszcze cztery jednostki, w sumie ponad półtora miliona ton zaopatrzenia i sprzętu. Po wejściu na orbitę właściciel wywołał gospodarza planety.

Uril: Hej, jesteś?

Hogux: Siema, jasne. Co tam?

Uril: Masz jakieś wolne sloty?

Hogux: Coś się znajdzie, ale na małą skalę. Mam wolną jedną strefę na około cztery miesiące, konflikt do półtora tysiąca punktów. Zainteresowany?

Uril: Trochę mało, nie dałoby się rozszerzyć? Powiedzmy do dwóch tysięcy?

Hogux: Nie... sorry, szykuję się na większą kampanię. Gramy w zespołach trzy na trzy. Muszę oszczędzać zasoby.

Uril: Niech będzie, jakie zasady?

Hogux: Dowolna broń osobista, bez biologicznej, chemicznej i nuklearnej. Sprzęt do stu ton masy. Pasuje?

Uril: Brzmi spoko, losujemy strony i scenariusz? Chcę zacząć zrzut sił do swojej strefy, póki jasno.

Hogux: Już się robi, gramy priva czy otwarty? Może coś wpadnie na zakładach...

Uril: Dawaj otwarty, jest szansa, że skoczę w drabinie.

Hogux: Może, może...

# Krzysztof T. Dąbrowski

## W TYM ROKU ŚWIĄT NIE BĘDZIE

Był już tym wszystkim niewiarygodnie zmęczony.

Stał przed lustrem, przyglądając się swojemu odbiciu. Coraz bardziej drażniło go to, co widział – a przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz:

Zżółknięta broda w okolicy ust (oczywiście od nadmiaru wypalonych papierosów) wyglądała przekomicznie w połączeniu ze śnieżnobiałą resztą tak zwanego zarostu paszczowego.

Ale jemu nie było do śmiechu. Tym bardziej, że ze wszystkich świętych, to właśnie on jawił się najbardziej depresyjnym typem, jakiego można było sobie wyobrazić.

Ogromny brzuch ciążył niemożebnie. Ale cóż poradzić – takie są wymogi. Święty Mikołaj musi być brzuchaty. I musi nosić czerwone fatałaszkę. I idiotyczną czerwoną czapę z kretyńskim pomponem. I nie ma, że boli!

A boli jak cholera!

– Ho! Ho! Ho! – z ust Mikołaja wydobył się znienawidzony okrzyk bojowy.

Święty potoczył po pokoju przymglonym spojrzeniem i łyknął wódki. Wprost z butelki.

Miał już mocno w czubie, ale cóż – jak wolne, to wolne, a skoro tak, to przecież luz blues. Nikt się nie mógł przyczepić, że ulżył sobie w cierpieniu.

Przygnębiała go świadomość, że już za dwa dni znowu zacznie się piekło. Jak co roku.

Na razie mógł się jednak uchlać, porzygać i doprowadzić do zerwania kontaktu z centralnym układem nerwowym. A dzięki temu na parę chwil dane mu będzie zapomnieć o cierpieniach duszy.

Nazajutrz zaś obudzi się z potwornym kacem.

Pojutrze po kacu nie będzie ani śladu, za to znowu rozpocznie się orka.

Jak co roku. Jak kurwa co roku!

A tymczasem:

– Ho! Ho! Ho! Wasze zdrowie!

Czuł się staro i był stary.

Stary od zawsze – od chwili, gdy go stworzono. Nie pamiętał siebie w innym wydaniu.

Święty Mikołaj nie wiedział, jak to jest być dzieckiem. Nie przechodził też naznaczonego buntem okresu dorastania. Kryzys wieku średniego zdawał się pojęciem równie egzotycznym, co dla Eskimosa tropikalne lato.

Święty po prostu od zawsze był stary.

To znaczy nie od zawsze – a od chwili, gdy przyszła pora by zmienić „zużytego” Świętego Mikołaja.

Gdy powołano go do istnienia, pojawił się przed drzwiami swego przyszłego domu jako nowy Święty Mikołaj. Na dodatek od razu wiedział, kim jest i co ma robić.

Bezceremonialnie otworzył drzwi. Zupełnie jakby wchodził do siebie.

Jednak nie był jeszcze do końca u siebie...

Na fotelu siedział brodaty jegomość wyglądający identycznie jak on.

– No nareszcie! – udręczonym głosem wysapał zużyty Święty Mikołaj i zaczął powoli znikać.

– Poczekaj – krzyknął nowy, pragnąc wypytać o wiele istotnych spraw, ale było już za późno. Stary zniknął.

Teraz naprawdę był u siebie.

A to było tak dawno temu...

Te wszystkie lata zlewały się Świętemu w wielką pstrokatą breję.

Na widok zabawek i dzieci chciało mu się już rzygać.

Na widok tego zapuszczonego mieszkania, w którym tak długo musiał urzędować, też chciało mu się rzygać.

I na widok tego cholernego magazynu, do którego co roku musiał wchodzić po zabawki, również zbierało mu się na wymioty.

Rzygać! Rzygać! Rzygać!

Pociągnął z flaszki solidny łyk wódki.

Skrzywił się i puścił pawia.

Święty Mikołaj nie miał pojęcia, co za sadysta go stworzył.

Nie miał też pojęcia, co będzie, gdy już przestanie istnieć.

Jedno było pewne – znajdował się w piekle.

A może faktycznie jestem w piekle? Może to kara za grzechy?

Może dusze grzeszników oczekują w nieskończenie długiej kolejce, by móc odpokutować swe grzechy – by na wiele zafajdanych lat stać się Świętym Mikołajem?

Kto wie?

A może kiedyś byłem kimś innym?

Może byłem dzieckiem, a potem dorosłem i się zestarzałem?

Może ktoś mi wtedy skasował pamięć i wszczepił do umysłu te wszystkie nakazy i zakazy. Może nakłamał mi, że wcześniej nie istniałem, że powstałem jako Święty Mikołaj?

Nie, to nie miałyby sensu.

I to całe znikanie zużytego...

Nie, to się nie klei.

Czasami zastanawiał się, czy jest jakieś życie po „zniknięciu”.

Czy tak po prostu pstryk i następuje nicość? Czy wręcz przeciwnie – i dusza idzie do jakiegoś nieba wszystkich Świętych Mikołajów i tkwi tam w nieskończonej nudzie wśród puchatych obłoczków i kiczowatych aniołków?

A może istnieje Mikołajowa reinkarnacja? Może po odbyciu kary odrodzi się jako człowiek? Normalny człowiek.

Czasami pragnął tak po prostu zatonać w niebycie, zużyć się i przestać istnieć.

Owszem, bał się tego, co go czeka po drugiej stronie, ale obecne życie tak go umordowało, że czasami miewał już zapędy samobójcze – chwile, gdy uważał, że cokolwiek tam jest, nie może być bardziej gówniane od tego, w czym teraz utknął.

Nie, teoretycznie mogła jednak istnieć gorsza opcja!

Zawsze przecież mógł wrócić na koniec kolejki ze świadomością, że gdy dotrze na jej początek... wtedy ponownie odrodzi się jako Święty Mikołaj, który ma odpokutować samobójstwo, jakie popełnił, będąc wcześniejszym Świętym Mikołajem.

Pewnego dnia, gdy solidnie popił, nie wytrzymał i postanowił ze sobą skończyć. Postanowił się powiesić.

A był tak pijany, że się nie bał.

Z pętlą na szyi rozbijał stół i po krótkiej chwili wahania po prostu go przewrócił.

Święty wisiał i się dusił i... to jego wiszenie i duszenie się, ta mordęga do innych niepodobna trwała bite dwa tygodnie.

Aż dwa tygodnie, bo pomimo znacznej nadwagi ofiary sznur okazał się wyjątkowo mocny.

W końcu nastąpiło tak zwane zmęczenie materiału i Mikołaj grzmotnął na posadzkę.

I wiedział już, że samobójstwo jest bez sensu.

Mając do dyspozycji tak dużo wolnego czasu, Święty przeczytał wszystkie książki, jakie go zainteresowały. Przesłuchał każdą płytę, której recenzja go do tego zachęciła. Obejrzał wszystkie warte obejrzenia filmy i seriale.

A gdy tak czytał i oglądał, to zazdrościł ludziom tego, że mogą się kochać, tworzyć związki i zakładać rodziny. Bardzo im tego zazdrościł.

On miał tylko samotność...

No, może nie do końca – była jeszcze wódka i lustro. Towarzysze niedoli.

Czasami zdarzało mu się oglądać porno.

Jak każdy facet, mimo wieku, miał swoje potrzeby.

Ale mógł tylko oglądać – niestety nie mogło być mowy o tym, by mógł sobie zrobić dobrze.

Bo i cóż poradzić, gdy debilne wdzianko jest przyrośnięte do ciała?

Co zabawniejsze, mimo że pił i jadł za trzech, to jeszcze nigdy nie zdarzało mu się wydalac ( jeśli nie liczyć wymiotów).

Udręka udręką poganiana – ni mniej, ni więcej. Tak wyglądało jego życie.

Życie? Hm, raczej „nieżycie”, bo ciężko to było nazwać życiem.

A jak wyglądały jego obowiązki?

Chyba każdy kojarzy te wypasione zaprzęgi. I renifery. I ogromny wór – skarbnicę dóbr wszelakich i różeg dla niegrzecznych dzieciaków.

Tyle jeśli chodzi o stronę wizerunkową.

Biorąc pod uwagę fakt, że marka musi być godnie reprezentowana – ostatniego dnia, już po zgromadzeniu prezentów, Święty doprowadzał się do porządku (a raczej stanu względnej używalności) i wtedy rzeczywiście przypominał tego słynnego Świętego Mikołaja, jakiego wszyscy znamy.

Nieco wcześniej udawał się do magazynu z wtłoczoną mu do głowy przez nie wiadomo kogo listą prezentów.

Jego umysł był wtedy tak przeciążony nadmiarem informacji – że nie dziwiło go,

iż czasami słyszał głosy. Na dodatek przemawiały one w jakimś kompletnie niezrozumiałym języku, więc z czasem przestał zwracać na nie uwagę.

Raz nawet chciał się nauczyć tego języka – zrozumieć, co do niego mówią. Ale biorąc pod uwagę jego antytalent do języków obcych i fakt, że nigdzie nie znalazł odpowiedniego podręcznika czy choćby słownika, który dopomógłby mu zidentyfikować egzotyczne narzecze... nigdy się go nie nauczył.

Magazyn był nieskończenie wielki – nawet Mikołaj nie miał pojęcia, gdzie się kończy.

Jednak w jego świecie sporo było dziwów, do których należało się po prostu przyzwyczaić – jak choćby owe głosy czy magiczny worek.

Ów worek też był w pewnym sensie nieskończony – wrzucał do niego miliony przedmiotów (w większości zabawek), a one wszystkie się w nim mieściły, i na dodatek nie był zbyt ciężki. Oczywiście gdy Mikołaj roznosił prezenty, musiał się odrobinę wysilić i poudawać, że dźwiga wielkie ciężary. Jednakże dla Świętego najdziwniejszą cechą worka był fakt, że zawsze wyciągał z niego właściwe prezenty, które na dodatek były już zapakowane. Zupełnie jakby urzędowały tam jakieś małe istoty, które pilnują porządku i wszystko odpowiednio przygotowują.

Pewnego razu Święty Mikołaj nie wytrzymał i z ciekawości zajrzał do środka – ale nikogo tam nie zauważył. Pojemnościowo ów worek też był jak każdy inny.

Zabawne – niby najzwyczajniejszy w świecie wór, a jednak magiczny.

Opisywanie roznoszenia prezentów można sobie właściwie darować – każdy wie, jak to wygląda. Nie dość, że nieraz sobie człek dupę w kominku przypali, nie dość, że często go jakiś nadgorliwy Burek pogryzie, to jeszcze od czasu do czasu trafiają się śmierdzące stare skarpety czekające na włożenie prezentów. Ble!

Czy na taką okazję nie można by choć raz uprać tej cholernej skarpety? Czy naprawdę jest to aż tak trudne?

No i te choinki...

Ileż to razy musiał wygrzebywać szpilki z pokłutego nosa!

A poza tym to nudna, marudna harówka i jeszcze trzeba się przymilać do tych wszystkich rozwydrzonych bachorów. Uff!

Zapłakany Ken spojrzał na Robocopa.

Twarz cyborga była rozmazana i nie mógł dojrzeć jego zasłoniętych obudową oczu, ale był pewien, że gdyby mógł, to dostrzegłby w nich troskę. Troskę spowodowaną jego trwającym od roku dramatem.

– Ja nie potrafię bez niej żyć, nadal nie potrafię! – łkał Ken.

Robocop podrapał się po blaszanej obudowie i odparł:

– Wiesz... tego kwiatu jest pół świata. Tu są miliony Barbie i wszystkie wyglądają identycznie.

– I co z tego? To już nie będzie ta moja, rozumiesz? To już nie będzie to samo!

Robocop milczał, nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Zwyczajnie zabrakło mu słów.

Wielki czerwony stwór regularnie nawiedzał ich krainę. Rok w rok bezceremonialnie zabierał im bliskich, wrzucając ich do wielgachnego wora i

unosząc Bóg wie gdzie.

Znikali z Magazynu na zawsze.

Czy tak wygląda śmierć?

Czy ta wielka brodata istota to śmierć?

Jeśli tak, to była okrutna – tym bardziej że gdy tylko przekraczała progi Magazynu, to natychmiast pokrzykiwała tubalnym głosem:

– Ho! Ho! Ho!

Zupełnie jakby chciała, by wiedzieli, że właśnie nastał czas strachu i terroru – czas gdy nikt nie zna swego dnia ani godziny.

Nie... w zasadzie to dzień był nam doskonale znany – ów demoniczny stwór pojawiał się zawsze tego samego dnia i miesiąca.

Potwór w czerwieni nigdy nie słuchał próśb, gróźb ani błagań – po prostu robił swoje.

Nieraz któryś z nas proponował, by jego zabrać, a w zamian oszczędzić bliskich – ale jednak na okrutniku nie robiło to żadnego wrażenia.

I te podkrążone, przekrwione oczy, ten wzrok szaleńca...

– A gdyby się zbuntować? – Oczy Kena rozbłysły nadzieją. – Przecież nas jest wielu, a on sam jeden!

– To chyba nie jest dobry pomysł – stęknął metalicznie Robocop.

– Ależ jest! – wykrzyknął jeden z pluszowych Kubusiów Puchatków. – On ma rację! Razem możemy go zniszczyć!

– O tak, możemy go wybrykać na kawałki! – dorzucił zachwycony Tygrysek, wyrrywając się z tłumu mu podobnych.

Wkrótce wszyscy mieszkańcy Magazynu podchwycili pomysł Kena.

Każdy chciał mieć swój udział w historycznej walce z bezwzględny tyranem.

Wreszcie byli gotowi!

– Ho! Ho! Ho! – zakrzyknął Święty Mikołaj, otwierając wrota Magazynu.

Były to jego ostatnie słowa, gdyż zwała się nań sterta żądnych zemsty zabawek.

Nim się zorientował, co jest grane, był już martwy.

Rozszarpały go chore z nienawiści.

W tej samej chwili przed drzwiami domu Świętego Mikołaja pojawił się nowy Święty Mikołaj. Zakodowano mu informację o buncie zabawek.

Co więcej, „Nowy” był doskonale przygotowany, by ów bunt stłumić...